

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/242

1967



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. GRZĘDZIŃSKI :

KONSERWATYZM I KŁAMSTWO

L. TYRMAND :

JASNOŚĆ BARW TĘCZY

W. GOMBROWICZ :

FRAGMENT Z DZIENNIKA

V. FAY :

SOWIECKI BILANS REWOLUCJI

SPIS RZECZY

Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	3
Jan Leszcza:	<i>Nowoczesny witraż</i>	12
" "	<i>Umarli wiszą w powietrzu</i>	12
" "	<i>Brat Sebastian</i>	13
Tymon Terlecki:	<i>Dziennik z Ghany — 1966 (2)</i>	14

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Tytuł pozostaje ten sam</i>	33
Victor F a y:	<i>Sowiecki bilans październikowej rewolucji</i>	43
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	55

K R A J

January Grzędziński:	<i>Konserwatyzm i kłamstwo</i>	63
Leopold Tyrmand:	<i>Jasność barw tęczy</i>	72
Bogdan Mieczkowski:	<i>Cykliczne wahania w ustroju komunistycznym</i>	82

S A S I E D Z I

Michel Aucouturier:	<i>Niezaproszeni na uroczystość</i>	92
—	<i>O obecnej sytuacji na Ukrainie</i>	93

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Józef Łobodowski (opr.):	<i>Wspomnienia Janusza Radziwiłła (dok.)</i>	99
--------------------------	--	----

KRONIKA KULTURALNA

Panas Fedenko:	<i>Na stulecie Mychały Hruszewskiego</i> ..	111
—	<i>Komunikaty</i>	123
	a) <i>25-lecie Polskiego Inst. Naukowego w Ameryce.</i>	
	b) <i>Nagroda Fundacji Kościuszkowskiej.</i>	
	c) <i>Międzynarodowy konkurs.</i>	

K S I A Ż K I

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Banda gangsterów</i>	125
George Gömöri:	<i>Recepta na polski best-seller</i>	128
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	133



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	134
------------	----------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	142
--------------	----------------------------	-----



A. Bardecki, R. Gutowski, M. Kałuski, M. Kukiel, T. Romer, Cz. Seyfert, L. Szankowskyj:	<i>Listy do Redakcji</i>	144
--	--------------------------------	-----



<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za r. 1967</i>	149
---	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień — Décembre 1967

INSTYTUT



LITERACKI

Ś. † P.

WACŁAW LEDNICKI

urodzony 28 kwietnia 1891 roku w Moskwie.

Ochotnik I-go Pułku Ułanów Krechowieckich, odznaczony Krzyżem Walecznych, Orderem Polonia Restituta i Komandorią Orderu Leopolda I-go Belgijskiego, Profesor Zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, Profesor Uniwersytetu w Brukseli, Profesor Uniwersytetu w Harvard, wieloletni Profesor i Dziekan Wydziału Literatur i Języków Słowiańskich Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, Doctor Honoris Causae Uniwersytetu Kalifornijskiego, autor szeregu prac naukowych w wielu językach, członek Polskiej Akademii Nauk i wielu innych polskich i zagranicznych instytucji naukowych, zmarł 29 października 1967 roku,

O czym zawiadamiają Syn w Ameryce i Córka w Polsce.

NOTA BIOGRAFICZNA

Panas FEDENKO, ur. 13. grudnia 1893, niedaleko Krzywego Rogu (Krywj Rih). Studia na Wyższej Uczelni Historyczno-Filologicznej (historia i filologia klasyczna) w Petersburgu (1913-1917).

Członek rewolucyjnych parlamentów Ukrainy w Kijowie: Ukraińska Centralna Rada (1917-1918) i Trudowy Kongres (1919). Redaktor prasy Ukraińskiej Partii Socjaldemokratycznej. Uczestnik walk o niepodległość Ukrainy. Od r. 1921 na emigracji. Od 1925 r. profesor historii na Wyższej Ukraińskiej Uczelni Pedagogicznej w Pradze Czeskiej.

Autor prac naukowych z historii dawnej Ukrainy, z epoki nowszej i z historii ruchu komunistycznego. Autor powieści historycznych z okresu kozackiej Ukrainy, wydawanych w Pradze, Londynie i Monachium. Przewodniczący Ukraińskiej Partii Socjalistycznej na obczyźnie.



WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

S.B. — Pamięci moim zmarłym (W. Brytania)	F. 67,50
Bezimiennie (Francja)	F. 38,00

DZIĘKUJEMY!

Fragment z dziennika

27. X. 67

Henryk. Nie Henryk, przecież! A jeśli Henryk, to chyba Fernando!

Basilio nawet nie zadaje sobie trudu w liście, by wytłumażyć, dlaczego Henryk. Czemu nie Rodryg? Hiacinto, Pedro może? Dalej, dalej tak, a ujrzymy go jeszcze jako Estebana, Tadeusza, tak, tak, dlaczegożby nie Tadeusza?

Rosa! Niewyraźna, zamierzchła, mulatka.

Siedzę na prowizorycznym stołku w okrągłościach pustego jeszcze gabinetu. Notuję na bloczku, na kolanie. Cała radość z willi wśród sosen, pejzażów, radość z przeprowadzki, z meblowania — do diabła! Ta ciemna mulatka jest jak wodorosty na dnie i majaczy się, jak czarniawa kępa... źle widać... nie widać...

I już oczywiście ploteczki (bo, przypuszczam „Henryk” musi tu mieć kogoś, inaczej by nie przyjeżdżał). Alastair, powróciwszy ze spaceru z Psiną, powiedział mi wczoraj z odrobiną zażenowania, że nasz brodaty Wiking zapytywał go w La Régence „czy pan Gombrowicz oczekuje przybycia kogoś z rodziny?”

Rosa — nie, nigdy sobie tego nie przypomnę — Rosa — nie pamiętam — Rosa — nie wiem — Rosa — wieki upłynęły — Rosa — utonęła — Rosa — utopiona — Rosa — na dnie — Rosa...

Niewyraźna mulatka na dnie.

A on jest maniak, maniak, maniak!

O tym, żeby syna mieć, ja nigdy w życiu nie myślałem. I, właściwie, dosyć mi obojętne, ślubny, czy nieślubny. Mój rozwój duchowy, cała moja ewolucja intelektualna, były tego rodzaju, iż dziś jestem poza orbitą tego dylematu. I to, że jakiś pół-mulat

zgłasza się do mnie z czułym „ojczulku”... skąd, jak, dlaczego?... niech tam, oswoiłbym się w końcu, przyzwyczaił. A co do szantażu...

Kto mu dał pieniądze na podróż z Brazylii? I te ciągłe wolty, finty, piruety z nomenklaturą, z imieniem, po co? Żeby zaskoczyć? Żeby oszołomić, osłabić? Czy kombinuje, że wieloimieniem płasem meteka, tym tańcem wojennym apasza, zdoła przyprowadzić mnie o zawrót głowy, on, rzekomy (bo i to nie jest pewne) syn niewyraźnej mulatki, poczęty z nocy przypadkowej, mimochodem, przejazdem niejako, z nocy hotelowej, która zapadła się w noc niepamięci?... Nic nie wiem. Nie pamiętam.

Z pustej czerni wyłania się syn!

Kupiłem foteliki Louis Philippe, trzeba dać nowe pokrycie, ciemnozielone.

ROZMOWY Z DOMINIEM DE ROUX

III. Iwona

Mimo wszystko Pamiętnik z okresu dojrzewania wciągnął mnie w świat artystyczny i przysporzył pewnego prestiżu w kołach awangardy. Zaczęłem bywać w kawiarniach literackich Warszawy, ale bynajmniej nie w najlepszym towarzystwie. Grupa poetów *Skamandra* i ich tygodnik, *Wiadomości Literackie*, przewodziły młodszemu pokoleniu, tam rozdawano honory i robiono reklamę. Jakoś nie przylgnałem do stolika kawiarnianego Skamandrytów — bo może moja wiejska nieśmiałość drżała przed ich wielkowiejskością — a może nie chciałem pojawić się w roli nowicjusza — i może chciałem być panem na własnym folwarku — dość, że sprawiłem sobie własny stolik, niesamowity, z udziałem aspirantów i pretendentów, na pół jedynie urodzonych w sztuce, prowincjonalnych grafomanów, rozwichrzonych myślicieli, młodych poetów zgłodniałych, niewymytych marzycieli — wszystko okraszone kilkoma rzeczywistymi talentami — i w tym to gronie ja z niezmordowaną wytrwałością, z żelazną, godną podziwu, konsekwencją mówiłem, mówiłem i mówiłem, co wieczór, co noc, głupstwa, głupstwa, głupstwa..., które jednak nie były głupstwami, bo jednak były gdzieś jakoś moimi prawdami. Utrzymanie stylu stało się najwyższym prawem. Przyznaję, nie robiłem zbyt poważnego wrażenia i nawet robiłem wszystko, by nie robić poważnego wrażenia. Opętany formą, byłem gotów stać się jej błaznem wieczystym.

Nawiązałem przyjaźń ze świetnym (za mało znanym w świecie) Brunonem Schulzem, z Adolfem Rudnickim. Przeważnie

Żydzi byli mymi intelektualnymi przyjaciółmi i oni też stanowili większość mojej publiczności. Zwano mnie niekiedy żydowskim królem. (Żydom bardzo wiele mam do zawdzięczenia).

Co robić? Wciąż nie czułem się na siłach by podjąć rozgrywkę z moim losem. Aby zyskać na czasie zabrałem się do pisanía sztuki teatralnej. Tak narodziła się Iwona, księżniczka Burgunda.

Ten utwór zgotował mi niespodziankę. Ogłoszona w roku 1935 (jeśli dobrze pamiętam) w miesięczniku *Skamander*, Iwona, nie zwróciła na siebie większej uwagi i przedwojenne teatry polskie nią się nie zainteresowały. (Dostałem wówczas manii gardzenia aktorkami i żeby upokorzyć najślawniejsze przedstawiałem się im za każdym razem, gdy je widziałem; kiedy po raz piąty przedstawiłem się szarmancko jednej z nich na jakimś przyjęciu, złapała szklankę z wodą i chlusnęła mi w twarz krzyżąc „teraz pan mnie zapamięta!”. Może, gdybym nie przedstawiał się tak tym aktorkom...). Dość, że Iwona w Polsce przedwojennej nie została zauważona, a ja, gdy wojna mnie odcięła w Argentynie, prawie o niej zapomniałem. W dziesięć lat potem, jak dojrzały owoc z drzewa, spadły na mnie jej sukcesy w Paryżu, w Sztokholmie i gdzie indziej, był to niespodziewany sukces w ciężkiej bitwie, jaką wiodły moje powieści.



Tragikomiczną historię Iwony ująć można w paru słowach. Księżę Filip, następca tronu, spotyka na spacerze to dziewczę niepociągające... odpychające... Iwona jest rozlazła, apatyczna, słabowita, nieśmiała, nudna i trwożliwa. Księżę od pierwszej chwili nie może jej znieść, zanadto go denerwuje; ale zarazem nie może znieść tego, że musi nienawidzić nieszczęsnej Iwony. I wybucha w nim bunt przeciw prawu natury, które młodzieńcom nakazuje kochać tylko powabne dziewczęta. — Nie poddam się temu, będę ją kochał! — rzuca wyzwanie swej naturze i zarcza się z Iwoną.

Iwona, wprowadzona na dwór królewski, jako narzeczona księcia, staje się czynnikiem rozkładowym. Obecność niema, zaszczona, jej rozlicznych defektów sprawia, iż każdemu przychodzi na myśl własne jego tajone braki, brudy, grzeszki... i wkrótce dwór zamienia się w wylęgarnię potworności. I każdy z tych potworów, nie wyłączając księcia, poczyną dyszeć żądzą zamordowania nieznosnej Cimcirynei. Dwór mobilizuje w końcu wszystkie swoje blaski, wszystkie wyższości i wspaniałości i „z wysoka” ją zabija.

Oto historia Iwony... czyż aż tak trudna do zrozumienia? Ale skłonny jestem przypuścić, że mam jakiegoś pecha, dzięki któremu to co najprostsze, najwyraźniejsze, w moich utworach jest odbierane w sposób najbardziej fantastyczny i dzisiaj jeszcze zdarza mi się czytać recenzje z Iwony w których mowa, że to satyra polityczna na reżym komunistyczny w Polsce, że Iwona jest Polską, czy też wolnością, lub że to „satyra na monarchię”. Uff! Mniejsza z tym, co innego wydaje mi się godne podkreślenia. Naprzód, że Iwona bardziej jest rodem z biologii, niż z socjologii. Po wtóre, że jest rodem z owego bezdroża mojego, gdzie mnie dopadała nieograniczona dowolność kształtu, ludzkiego kształtu, jego rozwiążność, jego wyuzdanie. Ciągłe więc to we mnie było... i ja byłem w tym...

IV. *Ferdydurke*

Iwona, wie pan, to nie było to... nie było to, czego potrzebowałem. To była gra na zwłokę. Czas mijał. Dochodziłem do trzydziestki.

A „*sytuacja moja na kontynencie europejskim stawiała się z każdym dniem przykrzejsza i bardziej niewyraźna*”.

Co robić?

Jak związać moje pisanie z moją rzeczywistością?

To prawie to samo pytanie, które dziś sobie stawiam, u schyłku, w tych naszych rozmowach... *éternel retour!* Przyrzemy się w każdym razie bliżej utworowi, który przed laty trzydziestu zrodził się z tego pytania: powieści, czy może raczej pamfletowi, *Ferdydurke*.



Obrona osobowości. Wiedziałem, co mam napisać. Bronić siebie samego! Narzucić siebie ludziom! Walczyć o siebie! Ten nowy utwór mnie miał służyć, mnie osobiście. I to miało być gwarancją jego osadzenia w rzeczywistości. Gdyż rzeczywistość (myślałem) ta ogólna, obiektywna, nie jest żadną rzeczywistością. Prawdziwa rzeczywistość, to ta własna, prywatna.

Nie wolno mi napisać „zupa pomidorowa jest dobrą zupą”. Cóż za uzurpacja! Ale jestem w moim prawie, gdy mówię „mnie smakuje zupa pomidorowa”. To właściwy sposób mówienia! Oto styl!

Niech utwór stanie się mną.



Niedojrzałość. — Zawsze ze wzruszeniem wykrywam upartą obecność logiki w chaosie mojej egzystencji.

Pan już wie: byłem złożony z trzech (co najmniej) istot, z których jedna była ziemiańsko-szlachecka, naiwna, niezręczna, maminsynkowata. To moje ja wiejskie dopadło w strachu mego tomu nowel i w ostatniej chwili opatrzyło go niezgrabnym tytułem *Pamiętnik z okresu dojrzewania*.

I w konsekwencji gazety zawołały z uciechą: Patrzcie! Niedojrzały!

Więc teraz, zaczynając *Ferdydurke*, podjąłem ten zarzut niedojrzałości. Z niedojrzałości — kompromitujące, nieprzyjemne słowo — zrobiłem mego *cheval de bataille*.

Gdyby nie tytuł pierwszej książki, nigdy chyba nie stałbym się piewą niedojrzałości. A i piewą formy, w tym przynajmniej jej związku z niedojrzałością.

Przypadek? Nie tak bardzo. Ten tytuł nie był przypadkowy. Nie było przypadkiem, że moje ja, niezgrabne, kompromitujące, dopadło w ostatnim momencie błyskotliwego tomiku, by wycisnąć na nim swoje piętno. W ten sposób mój tomik został *wzbogacony i pogłębiony*... tym właśnie „ja”, które miało pozostać w ukryciu.



FERDYDURKE nie chce mnie bronić. Tak, będę się bronił! Wyszydę szyderców! Ja niedojrzały? To głupota wasza opatruje mnie stemplem niedojrzałości! Oto więc belfer Pimko zachodzi do mnie, niby z wizytą, pogaduje o tym i o owym, aż znienacka zaczyna mnie egzaminować! Robi ze mnie ucznia! Zły stopień mi stawia! I wreszcie, pupę dziecinną z nagłą przyprawiwszy, mnie, trzydziestolatka, oddaje tryumfalnie do szkoły!

Przypominam sobie doskonale, że na tych pierwszych stronach *Ferdydurke* moje ambicje nie sięgały poza dowcipną satyrę, która by mnie wywyższyła ponad wrogów.

Ale wkrótce utwór tak gwałtownie mi się roztańczył, tak zaczął ponosić w stronę najbardziej zwariowanej groteski, że musiałem przerobić cały początek nadając mu to samo groteskowe nasilenie. I poczułem że *Ferdydurke* wymyka mi się, nie chce mi służyć, zaczyna żyć własnym życiem, rządzić się własnymi prawami i, zamiast godzić w moich wrogów, wiedzie mnie ku czemuś innemu.

Och, wie pan, mogę nie bez przyjemności powiedzieć majestatycznym moim kolegom po piórze, co to piszą dla Ludzkości i w imię Ludzkości, że nie napisałem jednego słowa w innych

celach, jak najściślej egoistyczne; ale zawsze utwór mnie zdradzał i odrywał się ode mnie.

Tak też stało się z *Ferdydurką*.

Ale... co się stało?



Spróbujmy opowiedzieć jak najprościej dlaczego utwór po-
częty z osobistych zadrażnień doprowadził mnie do sprawy tak
uniwersalnej, jak dramat formy ludzkiej, jak to bolesne zmaganie
się człowieka z własną jego formą (co znaczy: z jego sposobem
bycia, uczucia, myślenia, mówienia, działania, z jego kulturą,
ideami, ideologią, hasłami, wiarą... ze wszystkim, w czym on
się na zewnątrz objawia).

Tak, *Ferdydurke* miała być obroną mej osobowości. Ale jakiej
to osobowości, z wielu moich, miałem bronić?

Przypominam jeszcze raz: „*sytuacja moja na kontynencie
europejskim stawiała się z każdym dniem przykrejsza i bardziej
niewyraźna*”.

Ba, już wiadomo, Dominiku, byłem zlepkiem rozmaitych świa-
tów, ni pies, ni wydra. Nieokreślony. Ale tylko ktoś idący za
mną krok w krok i podglądający mnie we wszystkich zetknię-
ciach z ludźmi mógłby zdać sobie sprawę, z jakim ma do czy-
nienia kameleonem. Zależnie od miejsca, osób, okoliczności, by-
łem mądry, głupi, prostak, wyrafinowany, milczek, *causeur*, niż-
szy, wyższy, płytki lub głęboki, byłem lotny, ociężały, ważny,
żaden, wstydlivy, bezwstydnny, śmiały lub nieśmiały, cyniczny
albo szlachetny... czymże nie byłem? Byłem wszystkim!

Jakież niewyrobieństwo! Ale może lepiej podać tytułem przy-
kładu kilka moich gaff z owego czasu.

Proszę, taki drobiazg. Gdy parę miesięcy upłynęło od uka-
zania się mego tomiku opowiadań, sporządziłem zestawienie po-
chlebniejszych cytatów z prasy by je rozdawać znajomym. Na-
zywało się to „Prasa o Pamiętniku do dnia...” (tu data). To
„do dnia” jest rozczulające! W takie dzieciństwa popadał już
prawie trzydziestoletni autor książki awangardowej i ostrej, wca-
le nie dziecinnej... takimi bzdurami wydawałem siebie na pastwę
tym właśnie krytykom gazeciarskim, z którymi miałem walczyć
o własną dojrzałość.

Umarł mój ojciec. Dziękując komuś za przesłane kondolencje
zrobiłem plamę atramentową na liście. Wysłałem list z plamą...
że niby, w takiej chwili tragicznej, plamy nie mają znaczenia.

Do dziś się rumienię. Umyślnie ograniczam się do takich
głupstw maleńkich. Ale jakaż ich potęga, jeśli po trzydziestu
latach jeszcze się rumienię.

Jakże ktoś taki mógł pretendować do satyry, krytyki, do wyższości i pewności siebie, do rozprawy z wrogami?

Posuńmy się dalej. Gdyby ten szpieg, idący za mną krok w krok, zapuścił się w ślad za mną w ciemne zaułki u wylotu ulic dalekich, zdumiałby się jeszcze bardziej... i może zarumienił... Na progu trzydziestki nie miałem za sobą jednej normalnej miłości. Z przyczyn mi nieznanych nie chciałem miłości i nawet jej nienawidziłem, erotyzm mój był tragiczny, fizyczny, zawsze szukający na oślep czegoś bezcennego, o czym wiedziałem, że tylko w najniższych rejonach życia może się znajdować, popęd erotyczny był zawsze we mnie siłą ściągającą w dół. W najwyższych swoich zapędach mógł dostąpić charakteru koleżeńskiej, lekkomyślnej, zabawnej miłości, a w najniższych... Dość, pominiemy przepychy tej nędzy, jej świętość. Gdyby więc ten szpieg, idący za mną, zdybał mnie w pewnych sytuacjach, ujrzałby może kogoś zgoła nieprzewidzianego, nacechowanego być może zdumiewającą łatwością, o oczach, rękach, odmiennych, poniekąd zbrodniczych, a może swawolnych, może rozbrajających... *Sapienti sat.*

Mógłbym dodać jeszcze ze sto, dwieście sposobów bycia mego... luzem chadzących, niespolonych.

Na jakąż wypowiedź literacką mogłem się zdobyć? Jak walczyć o siebie w tych warunkach?



Francuz, Anglik, nie doświadczają takich dysonansów, przynajmniej w tym stopniu. Francuz, Anglik, jaki by nie był osobiście, wewnętrznie rozdarty, od razu wchodzi w pewną formę narodową, angielską, francuską, od wieków wypracowaną, gotową.

Ja byłem Polakiem.

Ustępy mojego Dziennika, dotyczące polskości, zostały bardzo niedokładnie przeczytane przez czytelnika zachodniego. Mówiono mi nawet: lepiej by było żeby pan to usunął, coż nas to może obchodzić! Czas już by synowie kultur wyższych przestali zbyt pośpiesznie zadzierać nosa. Podstawcie pod słowo „Polska” Argentynę, Kanadę, Rumunię itd. a moje wywody (i moje cierpienia) rozszerzą się wam na sporą część świata, na wszystkie kultury europejskie wtórne, drugorzędne. Przyjrzyjcie się jeszcze lepiej: zobaczycie, że to sprawy jadowite, które i was nie oszczędzają.

Byłem Polakiem. Znajdowałem się w Polsce. Czymże jest Polska? Jest to kraj między Wschodem a Zachodem, gdzie Europa już poczyną się wykańczać, kraj przejściowy, gdzie

Wschód i Zachód wzajemnie się osłabiają. Kraj przeto formy osłabionej... Żaden z wielkich procesów kultury europejskiej nie przeorał naprawdę Polski, ani renesans, ani religijne walki, ani rewolucja francuska, ani rewolucja przemysłowa; tu tylko złagodzone echa dochodziły. A współczesna rewolucja rosyjska też nie została przeżyta, tylko skutki jej dostały się (przymusowo) Polsce, już gotowe. Katolicyzm? Kraj jest wprawdzie w orbicie Rzymu, ale polski katolicyzm jest bierny, polega na ścisłym przestrzeganiu katechizmu, nigdy nie był twórczą współpracą z kościołem.

Na tych więc równinach, otwartych na wszystkie wiatry, odbywała się od dawna wielka Kompromitacja Formy i jej Degradacja. Rozmazywało się to, rozlało... Tu kultura była równinna, wiejska, pozbawiona wielkich miast, silnego mieszczaństwa, gdzie życie się skupia, komplikuje, piętrzy, nabiera rozmachu, zasila tysiącem splotów międzyludzkich. Była szlachecko-chłopska, proboszczowska, szlachcic na folwarku siedział, chłopem poganiał, a ksiądz proboszcz był wyrocznią. Poczucie bezformia, dręczące Polaków, ale też wypełniające ich jakąś dziwaczną wolnością, było u źródła ich uwielbienia dla polskości.

Proszę więc zrozumieć dodatkową trudność mojej sytuacji w porównaniu z artystami Zachodu. Gdybym się urodził Francuzem, czy Anglikiem, lepiej umiałbym się zachowywać! I jakże ja mogłem w rozgrywce o moją osobowość oprzeć się na mojej kulturze narodowej? Owszem, ta forma polska, styl sarmacki, istniały, nawet dość jaskrawo... ale to było za kuse i tkwił w tym element rozkładowy słabości. Gdzież była polska myśl oryginalna, polska filozofia, polski udział intelektualny i duchowy w tworzeniu Europy? Literatura od stu pięćdziesięciu lat była zakorkowana dramatem utraty niepodległości, sprowadzona do lokalnych nieszczęść. Największa figura tej literatury to Mickiewicz. Jakże ja mogłem oprzeć się na Mickiewiczu, wspaniałym poecie, ale o koncepcjach i horyzontach pobożnego dziecka, zabłąkanego w kiepskie mistycyzmy? W oparciu o to miałem walczyć o siebie? Wystarczy porównać Mickiewicza z Goethem aby pojąć całe szaleństwo takiego zamiaru.

Pisarze polscy mego pokolenia mieli na ogół do wyboru dwie drogi. Mogli ograniczyć się do polskiego terenu, ale wtedy skazani byli na podrzędność; albo mogli aspirować do europejskości, ale w tym wypadku też skazani byli na podrzędność, gdyż to była europejskość z drugiej ręki, która jedynie starała się dorównać Europie i powtarzać Europę.

Zapyta pan może: ależ dlaczego nie poszukać oparcia w wielkich prądach epoki, które też są swego rodzaju ojczyznami?

Jeśli nie w katolicyzmie, to w komunizmie, lub w faszyzmie?

Katolicyzm? Ja, niewierzący?

Komunizm, lub faszyzm? Ja, niewierzący?

Nie, najmniejszego powołania nie miałem na mnicha, który wierzy, boi się nie wierzyć, nie dopuszcza zwątpienia, utwierdza się w wierze. Teorie? Idee? Od zawsze wiedziałem, że to sita, przez które życie przecieka. A rola postępowego intelektualisty „zaangażowanego” i pouczającego ludzkość jaka ma być jej droga, wyglądała mi i zbyt pretensjonalnie i frywolnie. Pragnę mówić z panem o moim życiu w sposób możliwie najprostszy, więc i tutaj przytoczę tylko najmniej skomplikowany z moich argumentów. Gdzieś dyplom, mówiłem sobie, który mnie upoważnia do przewodzenia ludzkości, a nuż jestem głupcem, który wprowadza tylko zamęt i utrudnia innym pozytywną robotę? Czyż historia nie roi się od dusz szlachetnych, których nieposkromiona szlachetność narobiła okropnego bigosu i stała się zarzewiem długotrwałych mordobić? Pilnuj tedy własnego podwórka, nie zaglądać do cudzych. Dla mnie, widzi pan, ten postulat, by przemawiać tylko we własnym imieniu, był nie tylko elementarnym warunkiem dobrego stylu, był także wyrazem mojej moralności i mego poczucia odpowiedzialności. (I, jak zawsze bywa, ujęto to na opak i poczytano mi skrupuł moralny za oschłość, egoizm i pychę).

A poza tym... ja, Polak, ufający teoriom? Ależ groteskowe! Na niebie polskim, tym niebie omdlewającej, kończącej się Europy, zbyt wyraźnie widać jak skrawki papieru nadlatujące z Zachodu zniżają lot by osiąść w błocie, na piasku iż by jedynie chłopa pasące krowy mogły z nich zrobić wiadomy użytek... ale ta teoria, pędząca górą, staje się też śmieszna, ślepa, podła, krwawa, bzdurna, delikatne myśli brzemienne są górami trupów. Cóż pan chce, każdy widzi świat ze swego miejsca. Nie darmo byłem rodem z równin, które Europę dzielą od reszty świata.

Komunizm, faszyzm, kościół, jakakolwiek wiara? Nie.

1. XI. 1967

Rosa, Rosa, Rosa i Henryk, Henryk, Henryk i Rosa, Rosa, Rosa i Henryk, Henryk, Henryk.

Jaki tam Henryk!

W okrągłościach mego gabinetu.

Witold GOMBROWICZ

NOWOCZESNY WITRAŻ W KOŚCIELE METODYSTÓW W PALO ALTO

*na suchych patykach
symbolu*

*na szkłe
zrudziła pajęczyna*

*niedokomponowany
Chrystus
poprawiający palcem
wizję raju*

UMARLI WISZĄ W POWIETRZU

*umarli wiszą
w powietrzu*

*twarzą zwrócen
ku Andromedzie*

*są to przeważnie
figury zdeformowane*

*duże oczy
w rogowej oprawie*

*oczy jaszczurki
żrenice salamandry*

*niektórzy umarli
zdołali utyc*

*inni to kształty
z bibułki*

*odlatują
jak klucze żurawi*

*ku moczarom
Ameby*

*ku kwiatom
pierwszych komórek*

*wtedy zdejmują
kształt figuratywny*

*z idei formy
człowieka*

*i głową zredukowaną
do wielkości protonu*

*skaczą w dół
pionowo*

*po nowe życie
nowy kształt*

BRAT SEBASTIAN

*brat Sebastian
sługa boży
pilnujący kościółka
z dojrzałej słomy*

*nim ziewnął
między jednym
a drugim grzesznikiem
w konfesjonale*

*nad budką
do wysiadkiwania cnót
uniósł się
siwa gołębica*

Jan LESZCZA

Dziennik z Ghany - 1966 (II)

Czwartek

Rano odwiedzam księgarnię uniwersytecką. Nie jest gorsza, uboższa niż księgarnie wokół *campusu* The University of Chicago. Książki angielskie i francuskie, ani jednej niemieckiej. Klasycy. Gide, Giraudoux, Camus. Na innym stoisku dzieła Marxa i Lenina. Są także — co mi bardzo sympatyczne — książki Nkrumy, nawet jego hagiografie. W albumowych wydawnictwach o Ghanie na homagialnej stronicy doklejono pod portretem skrawek papieru stwierdzający z rzeczowym spokojem: *deposed in February 1966 by a „coup”*. Wolę to od wycinania kart w encyklopediach, od przystrajania i przysmaczania historycznej „prawdy” w kolejnych wydaniach tych samych książek.

W głębi skweru stoi centralna biblioteka uniwersytecka. Przed jej frontem rosną palczaste czy dłoniaste palmy. Za bramą otwiera się uroczne *patio*. Wewnątrz panuje chłód i cisza. Na parterze w środku doskonałe katalogi, obfita biblioteka podręczna. Na pierwszym piętrze czytelnia czasopism. Za nią sala z napisem: AFRICANA.

Dwa rzędy bliźniaczych stołów z przegrodami pośrodku jak w British Museum. Dwa rzędy drzwi po obu dłuższych bokach sali, otwarte na przestrzał, patrzące na *patio* zewnętrzne i jedno z dwu wewnętrznych. Książki pachną wilgotną, korzenną pleśnią. Dzwon na wieżycze wybija kwadrans i godziny. Jego dźwięk rozbrzmiewa w całym budynku i w każdym fibrze ciała jakby na ostrzeżenie, że czas mija szybciej, gdy się go usiłuje wypełnić jakąś treścią.

Tak, od tego nie można tutaj uciec. Temu trzeba spojrzeć w oczy. Trzeba się wpatrzeć w starą rycinę przedstawiającą

seating plan okrętu z niewolnikami. Figurki jak wycinanki z czarnego papieru leżą jedna obok drugiej, ramię przy ramieniu, stopy jednego rzędu na głowach drugiego. Leżą ciasno jak trupy w masowym grobie. To stąd, z tego brzegu w skrzypiących krypach wieziono ich na drugi brzeg oceanu. Wożono ich przez trzy stulecia.

Zaczęli Portugalczycy. Przypłynęli z końcem XV wieku na ścigłych karawelach, żeby wejść na flankę Maurów, żeby wyrwać Berberom monopol handlu tutejszym złotem, prowadzonego przez pustynię. Ale prawie jednocześnie zaczęli wywozić żywy towar, żywy heban, czarną siłę roboczą — wprzód do Europy, później do Ameryki. Pobudowali dla tego celu zamczone fortece na wybrzeżu, które stoją do dzisiaj, odbijają echem rozpacz ludzi wyrwanych z ziemi i sprowadzonych do poziomu zwierząt pościagowych, czekających w więziennych warunkach na przerzucenie przez wielką wodę.

Musiał to być proceder lukratywny, jeśli tyle krajów stanęło do konkurencji, jeśli wypychali się wzajemnie: Portugalów Niderlandczycy, Niderlandczyków Duńczycy i Szwedzi, Skandynawów Anglicy itd. W tym wyścigu do handlu ludźmi nie brakło nawet Brandenburgii. Myślę z ulgą, że brakło Polski, lecz jest to dosyć cierpka pociecha i tylko imiona Pawła Włodkowica, Andrzeja Frycza, Braci Polskich łągodzą tę cierpkość.

Na dobrą sprawę nikt nie wie jakie rozmiary osiągnął proceder zaczęty przez Portugalczyków. Znajduję gdzieś szacunkową liczbę, mówiącą że w ciągu tylko XVIII wieku wywieziono na pracę niewolną 20 milionów, a więc prawie trzy razy tyle, ile dziś wynosi cała ludność wolnej i niepodległej Ghany. Wolę przyjąć inną propozycję, ostrożniejszą, która sugeruje, że w XV wieku wywożono 9.000 ludzi rocznie, w XVIII wieku osiem razy tyle czyli 72.000. Handel trwał do pierwszej, drugiej dekady XIX wieku.

Jest to hańba na kulturze, którą nazywa się także chrześcijańską (pastor Thompson, pierwszy misjonarz, uważał, że handel niewolnikami był w zgodzie z „zasadami ludzkości i prawami religii objawionej” i tak brzmi tytuł jego broszury z 1772 r.). Jest to plama której nie można zmazać, wina, której nie wolno zapomnieć. Tak jak nie można zmazać, nie wolno zapomnieć ludobójstwa Żydów w drugiej wojnie światowej.

Oczywiście łatwo przytaczać argumenty historyczne i okoliczności łągodzące: że instytucja niewolnictwa jest równie stara jak człowiek, że wzrosły na niej wielkie kultury, także grecka i rzymska, że obie Ameryki wyhodowały ręce czarnych niewolników, że ich mózół założył podstawy potęgi Stanów Zjednoczonych. Nie zmienia kwalifikacji moralnej fakt, że Afrykańczycy,

nawet murzyńscy, mieli swój udział w handlu niewolniczym, jak jej nie zmieniają przestępstwa Żydów wobec Żydów. W obu przypadkach działał brak wyobraźni. Ale handlarze niewolników, jak nowocześni ludobójcy jasno wiedzieli co robią. Z rozmysłem rozbijali rodziny, skazywali ludzi na niemość i bezbronność zwierząt.

Można powiedzieć *let bygones be bygones* — życie byłoby nie do zniesienia bez zdolności i woli zapomniania. Ale wolno dopuścić tylko „zapomnienie warunkowe”. Boleśnie zdumiewa mnie, że ludzie mogą rozprawiać o antysemityzmie i praktykować antysemityzm po ludobójstwie dopełnionym przez Hitlera, jak rozprawiali, jak praktykowali go przedtem. A przecież to ludobójstwo zmieniło całą perspektywę moralną. Przecież po nim już wiadomo raz na zawsze, skąd to idzie i czym się to kończy. Wydaje się, że tzw. problem murzyński przybrałby inną postać, uprościłby się, gdyby go ustawiono w perspektywie tych trzech wieków, które go stworzyły.

Po południu zbiorowy wyjazd „w teren”. Jedziemy na zachód od Accry. Przecinamy strefę ślicznego, wysokopiennego starodrzewu z białymi budynkami — jest to Achimota College, zbudowany jeszcze przez Anglików (Nkrumah był jego uczniem, kształcił się tu na nauczyciela). Trochę dalej na Green Hill, bliźniaczym wzgórzu „naszego” Legon Hill wznosi się imponująca szkoła administracji, zbudowana już w latach niepodległości.

Wyjeżdżamy na główną szosę przecinającą kraj płaski i zielony. Dość chaotycznie, z lukami ugorów, porastają go pola kukurydzy, zagajniki palmowe, skupienia strzępiastych bananów i *plantains* (jest to drzewo rodzące owoce podobne do banana, ktoś mi mówi, że w botanicznej łacinie nazywa się ono *Musa paradisiaca* — bardzo ładnie!). Często migają w oczach czerwone kopce termitów wysokie jak bretońskie *menhiry*. Raz po raz podbiegają do drogi bezładne skupienia domów, krytych cienko i krostopato słomą, trzciną, liśćmi banana czy plantaina i niestety częściej, zapewne praktyczniejszą, lecz nieopisanie brzydką blachą falistą. Ściany niebielone, sklepane z glinianych cegieł, „lampaczy” (nagle wyskakuje na wierzch to słowo przechowane w jakimś zapamiętanym schowku pamięci — po powrocie stwierdziłem, że nie zna go ani „Słownik warszawski” ani słownik Doroszewskiego).

Mijamy ciężarówki wypchane pasażerami: siedzą na ławkach, z tyłu wyglądają jak kołyszące się kadłuby z odciętymi głowami. Jest to tutejsza komunikacja autobusowa. Prawie każdy wóz ma własny napis, hasło, sentencję. Są wśród nich nabożne, moralistyczne, filozoficzne, frywolne, sentymentalne, humorystyczne,

autoironiczne. Zaczyna się zabawa kolekcjonowania. Oto kilka: „God first”, „Fear God”, „Never despair”, „Nobody knows his end”, „Meet me tonight”, „Say more”, „Friends to-day”, „Tell what you like”, „Forget me not”, „Oh, say”, „Born again”, „Original shadow”, „High baby”, „Slow boy”. Jest to swoisty folklor — można by szukać jego źródeł, systematyzować jego wytwory etc.

Po dwu godzinach jazdy skręcamy w bok, w lewo, na polną drogę wijącą się sepiowym szlakiem wśród zielonego wąwozu. Przedłuża się ona w jeszcze węższą, szarą, dymiącą lotnym kurzem. Mijamy jedną wieś i drugą: obie w stanie entuzjastycznego pogotowia. Wszystkie pokolenia wyległy na przyzby, starzy i dzieci wiwatują na naszą cześć.

Wreszcie jesteśmy u celu podróży we wsi, która nazywa się Atwia albo według obocznej, oczywiście angielskiej, pisowni także — Atwea. Autobusy wspinają się na wzgórze, na którym stoi spory, lecz nagi betonowy budynek: miejscowa szkoła. Na prawo widać z niego cichy zalew. Poprzez palmy tu i ówdzie przebłyskuje morze.

Ale od tego znieruchomiłego, zaczarowanego krajobrazu odwołuje nas inny widok. Jesteśmy otoczeni podwójnym pierścieniem: jeden tworzą dzieci rozmaitego wieku, drugi starsi, głównie kobiety i przeważnie z niemowlętami na plecach. Oba pulsują szumem, nastają szeroko otwartymi oczami. Co waleczniejsi spośród nas ostrzeliwiają się gęsto z aparatów fotograficznych. Ja wolę patrzeć w ślicznie toczone, sine gałki oczu, na kędzierzawe, harmonijne główki, brać w siebie to zainteresowanie, zadziwienie, oczarowanie. Jest ono obustronne.

Niedługo tego, bo za chwilę zaczyna się nowa niespodzianka: ceremonia powitania przez naczelnika Atwii. Jest nim — kobieta: Nana Okoampa VI (cyfra przy jej imieniu wskazuje, że jest to jak się zdaje godność dziedziczna). Stoi na górnym zakrzywieniu dwójkęgu w towarzystwie starszych w różnokolorowych togach (niektóre zszyte z wąziutkich, ręcznie tkanych pasków wełny i jedwabiu są niezmiernej piękności, fałdują się majestatycznie i rzeźbiarsko). Najbliższy z nich, stojący po prawej stronie trzyma w ręku oznakę urzędu, laskę wysokości pastorału ze złocym lwem siedzącym na szczycie. W rejestrze takich odwiecznych symbolów zestawionym przez Kofi Antuban w książce „The Cultural Heritage of Ghana”, liczącym sto kilkanaście pozycji, ten znak znajduje się na pierwszym miejscu.

Rozlega się gęsty, chrapliwy, beczący głos dwóch rożków z kości słoniowej i zaczyna się rytuał powitalny. Podchodzimy kolejno (a jest nas prawie setka) do rzędu dostojników, kolejno ściskamy suche, szorstkie ręce w niskim, odwzajemnionym ukło-

nie. „The Queen” — jak ją instynktownie nazywamy — nie minęła chyba jeszcze trzydziestki, jest pulchna jak pączek, ma powieki obficie podmalowane henną, twarz grubo osypaną pudrem koloru *chypre*. Jej kopiastą, czarną koafiurę spowija szeroka jedwabna szarfa ze złocistego atłasu. Przelewne kształty otacza suknia z tego samego materiału. Z bliska widać ile na niej jaskrawo żółtego, miejscowego złota: trójkątna blacha na piersiach, kolce, pierścienie, bransolety. Tylko kij, na którym się wspiera lewą ręką jest wymyślnie inkrustowany biało-czarno. Na nogach nosi olbrzymie, paradne sandały, wystające daleko poza stopę, lśniąco i ozdobione złotymi guzami. Stać w tym od biedy można, lecz jak się w tych postołach chodzi? Zapewne się nie chodzi. Zbliżając się do niej, widzę, że Jej Naczelnikowska Mość Okoampa VI ma ciężkie powieki wstydliwie opuszczone, lecz raz po raz strzela spod nich czarnym płomieniem kobiecej i dziecinnej ciekawości. Gdy ktoś z nas coś do niej mówi przechodzi to następujący alembik: jeden z naszych gospodarzy przekłada to na tutejszy język „Fante”, a dzierżyciel laski z lwem na szczycie czyli *okyeame*, to znaczy *spokesman*, nadworny mówca, tłumacz powtarza to jeszcze raz królowej zapewne w formie godnej jej czcigodnych uszu. To co ona ma do powiedzenia przechodzi tę samą drogę. Tylko tak jej majestat obcuje ze zwykłymi śmiertelnikami. Wszystko razem, całe to powitanie, ma w sobie coś z hieratycznego protokołu i coś z chłopskiej godności.

Po tym obrzędzie zjeżdżamy kilkadziesiąt czy kilkaset metrów w dół z powrotem do wsi. W jej środku, w ciasnym otoczu glinianych chałup ze strzechami stoi — teatr. Zbudowali go zbiorowym wysiłkiem mieszkańcy Atwii i okolicznych osad, rybacy i farmerzy, dla produkcji dramatycznych i muzycznych. Samorzutnie wynaleźli dla niego nazwę *Kodzidan*, co się wyklada mniej więcej: Dom Bajdy (*Kodzi* w mowie tego regionu oznacza wszystkie tradycyjne rodzaje sztuki opowiadania, mariaż słowa, muzyki, ruchu dramatycznego, tańca). Ten osobliwy teatr znajduje się pod opieką uniwersytetu ghanajskiego, służy za laboratorium dla studiujących folklor afrykański, za miejsce spotkania z ludźmi, którzy go jeszcze samorzutnie tworzą i żyją nim na codzień.

Budynek jest samą prostotą. Podłużny dach wspiera się na słupach wewnętrznych i zewnętrznych. Nakryta nim przestrzeń jest otwarta z trzech boków. Czwartą stronę zamyka cyklorama, mur wygięty półkoliście. Po środku znajduje się prostokątne wgłębienie — estrada *à rebours*. Patrzy się na wykonawców nie z dołu w górę, lecz ze wzniesienia, zresztą nieznacznego, ku dołowi.

Przez czysty przypadek siadamy na podłużnym boku. Mamy

przed sobą właściwie dwie sceny, dwa widowiska. Po lewym, węższym boku siedzi królowa na świętym, wygiętym nieckowato stolcu, będącym również oznaką jej godności, z sandałami rozstawionymi na płowej skórze, z nieodstępnym kijem w ręce. *Okyeame* jest oczywiście po jej prawej ręce, starcy otaczają ją w koło. Patrzą tyle samo na to co się dzieje przede mną, jak i na tę oficjalną część widowni, bo tłum, który nas witał na wzgórzu, został na zewnątrz, opasał budynek czarnym, dyszącym wałem. Przez kilka godzin przepływają przeze mnie fale ubawienia i wzruszenia, mieszają się w jakiś intensywny amalgamat.

Bawi widok kacyka w kiece. Widzę jak całą duszą bierze udział w tym co się dzieje, uśmiecha się szeroko, objawia niezadowolnienie, raz i drugi nawet grożąco podnosi królewski kostur, raz i drugi nachyla się ku swoim rajcom z naganą. Majestatycznie udziela wykonawcom przyzwolenia i pochwały dwoma palcami, wskazującym i środkowym, uniesionym do góry jak w geście papieskiego błogosławieństwa. Jest w tym całe stopniowanie od ledwie widocznego, prawie niechętnego poruszenia do najmilszego, entuzjastycznego, oświetlonego promiennym uśmiechem uniesienia całej ręki ponad głowę. Wyraźnie ta królowka jest jedną z nich, z tych, którzy tańczą i śpiewają. Nuci półgłosem. Wybija takt laską. Ma się wrażenie, że jeszcze chwila i zerwie się ze stołka, zamiesza się w tańczącą i śpiewającą gromadę. Ku memu cichemu rozczarowaniu nie dochodzi do tego, lecz w jakimś momencie Nana Okoampa VI wysuwa stopy z sandałowych dybów, jak nieraz białe damy robią z pantofelkami pod stolikiem kawiarni lub pod fotelem w teatrze.

Jednocześnie wszystko na co patrzę i czego słucham, wzrusza mnie aż do głębi. Nie można mieć wątpliwości, że to jest prawdziwe, autentyczne. Ortodoksi, folklorystyczni maksymaliści, etnomuzykologiczni puryści (a z nimi mam tu głównie do czynienia) szemrzą, że wykonawcy zostali wyjęci ze swego naturalnego otoczenia, że są skrępowani mikrofonem (także wolałbym, żeby go nie było, lecz nie mam wpływu na radio Ghany), że już sama obecność kogoś z zewnątrz narusza czystość, spontaniczność, bezinteresowność przeżycia, ale wydaje mi się to tylko szlachetną przesadą. Nie uchodzi zresztą również i mojej uwagi, że za jednym gadułą ciągnącym długie, zmienne w rytmie, dramatycznie stopniowane opowiadanie kryje się wyrostek suflujący z kartki. Ale bezzębne babiny, starzy, szczapowaci chłopcy przyszli tu wprost ze swego życia, z sąsiedniego obejścia, z jednej i drugiej wsi położonej opodal. To co robią jest razowe, zgrzebne, pierwotne. Nie ma nic udanego w tym wysokim, prawie ślepym starcu z otoczenia królowej, który na początku schodzi w środek wgłębienia, ulewa na kamienie strumyczek alkoholu ze szklanki i —

jak objaśnia później tłumacz — modli się długo do wszechmocnego Boga i duchów za naszą pomyślność. Jest pierwotna, szorstka teatralność w śpiewie i tańcu, w śpiewo-tańcu wojennym („Asafo”). Inny, „Kurunku”, brzmi i kołysze się żałobą i zgryzotą. Długo snuje się opowieść prowadzona przez koryfeusza i bohatera, podtrzymywana przez chór, przetykana intermediami śpiewnymi i tanecznymi w tonie serio i buffo. (Nareszcie widzę ucieleśniony termin Tadeusza Zielińskiego „trój-jedyna choreja”, oznaczający połączenie słowa, muzyki i tańca, z którego pod innym niebem poczęła się tragedia i komedia). Siedmiu trębaczy z Gomoa wygrywa na rożkach z kości słoniowej całą symfonię. Stare kobiety śpiewają pieśni miłosne ze swojej młodości, już prawie zmarłe. Dzięki temu czego jesteśmy świadkami, przetrwają one w nowym pokoleniu, które kończy długi program.

Zapada już zmierzch, gdy wychodzimy z tej gorącej kąpieli wzruszenia. Na małym placu przed *Kodzidanem* rozpętuje się orgia, bachiczne szaleństwo. Wśród buczenia bębnow, grzechotania kołatek, myczenia rogów tańczą wszyscy: gospodarze i goście, biali i czarni, starzy i dzieci. Taniec staje się wyrazem ludzkiej, odwiecznej i dowiecznej wspólnoty.

Gdy ruszamy w miękki mrok, Nana Okoampo VI stoi wśród wiwatującego tłumu, w otoczeniu całej świty i żegna nas już bez pompy, zwyczajnie powiewając tłustą łapką nad z lekka przekrzywionym turbanem. Jak starych znajomych.

Adinkera — Atwia! Goodbye. We shall not forget you. We shall never forget you...

Sobota

Dzisiejszy „Daily Graphic”, wydawany oczywiście nie w Londynie, lecz w Akrze, ukazał się z manszetem przez całą szerokość strony: *Nkrumah — dishonest wealthgrabber*. Wszystko co zarabiał, kapitalizował na swoje potrzeby, kaprysy i zachcianki, czerpał bez kontroli ze skarbu państwa, rujnował go na białe metresy (czarne byłyby zapewne mniejszą zbrodnią — trudno się w tym nie dosłuchać rasizmu na odwrót), itd. Wczoraj czy przedwczoraj w taki sam sposób piętnowano, że niedawny wódz i zbawca narodu bezprawnie przywłaszczał sobie tytuł doktora filozofii. Mimo że od zniesienia dyktatury i obalenia pomników minęło pół roku, ciągle odbywa się publiczny proces: badanie dokumentów, przesłuchiwanie świadków przed komisją parlamentu, oświadczenia prawników. Nasi gospodarze, kulturalnicy nie politycy, traktują byłego prezydenta z pobłażliwym, dosyć

lekceważącym uśmiechem. Do Amerykanów mówią o nim ironicznie: — *Your friend*.

Nkrumah, póki był u władzy wzbudzał we mnie nieodpartą antypatię. Wydawał mi się groteskową odbitką Stalina, Hitlera, Mussoliniego i Franca, czarną żabą podstawiającą łapę ruchem zdiablonych koni, narcystycznym samodurem, megalomanem i mętniakiem. Ale odkąd przebywam w jego ojczyźnie, sprawa nie przedstawia mi się aż tak prosto.

Koniec końców był to architekt niepodległości Ghany i główny twórca jej obecnego kształtu. To on stanął na czele rewolucji inteligentów (*elementary school leavers*) i związał ich w nowoczesne stronnictwo Convention's People Party. W r. 1951 siedział w brytyjskim więzieniu i został wybrany posłem *in absentia* z Accra Central (otrzymał wtedy 22.780 głosów na 23.122). Wprost z celi więziennej zawieziono go do Christianborg Castle, siedziby gubernatora i z jego ust usłyszał propozycję, żeby stanął na czele pierwszego rządu Gold Coast. Było to wstępne zwycięstwo czarnego nacjonalizmu w historii Afryki. W r. 1957 przejął z rąk brytyjskich suwerenną władzę nad nowym krajem, narodem i państwem noszącym nową nazwę Ghana (o ile wiem wywodzi się ona z arabskiego *Ghain* lub marokańskiego *Giawa*, co oznacza czarny). Było to pierwsze niepodległe państwo afrykańskie w obrębie Wspólnoty Brytyjskiej. Ale już w dwa lata później stworzył *un parti unique*, otwarcie mówił o *emergency measures of a totalitarian kind*, sięgnął po władzę dyktatorską. Stał się czarnym cezarem i carem. Małą przedrzeźniającą Ludwika XIV choćby w tak wystylizowanym tytule: „Ghana: the Autobiography of Kwame Nkrumah”. Despotą o pretensjach do boskości. Domniemanym samorządcą przyszłego wszechafrykańskiego imperium.

Warto by się pokusić o psychoanalizę Nkrumy i ktoś to zrobi a może już zrobił. Wiadomo, że wyszedł z dołów i otrzymał wychowanie katolickie. Za swoich *Lehrjahre* w Stanach Zjednoczonych (na Lincoln University) uległ urzeczeniu syjonizmem murzyńskim, podczas pobytu w Londynie fascynacji marksizmem. W dobrym i złym był tworem Zachodu. Mieszanka katolicyzmu i jego świeckiej herezji, marksizmu okazała się w nim wyjątkowo niebezpieczna.

A może jest on potwierdzeniem już aksjomatycznej, banalnej i zbanalizowanej prawdy sformułowanej przez Lorda Actona: „Każda władza demoralizuje, totalna władza demoralizuje totalnie” (przytaczam z pamięci). Nkrumah pokalał sam siebie; niewątpliwy bohater narodowy sprofanował swoją własną zasługę.

Nachylając się nad tym losem, myślę o mechanizmie demokracji. Bywa on tępy, niesprawiedliwy, lecz właściwie jest jedy-

nym zabezpieczeniem człowieka władzy przed nim samym i społeczeństwa przed szaleństwami jednostki zdemoralizowanej władzą. A może i ten mechanizm nie wystarcza, jeśli zawiedzie instynkt moralny i zabraknie poczucia humoru, w którym na swój sposób przejawia się ten instynkt.

Kwame Nkrumah jest posępnym zjawiskiem. Wzbudza głębooki smutek.

W południe oglądam gromadną, towarzyską sję jaszczurek. I te miniaturowe odlewane z jasnego mosiądzu i te antydyluwialne pasiaste olbrzymy leżą w cieniu rozpląszone na płytach kamiennych z łapkami wyciągniętymi szeroko na boki jak w preparacie spirytusowym. Wytrzymują nieruchomo atak mojej ciekawości aż do ostatniego momentu i nagle podrywają się wszystkie jednocześnie i śmiesznie raczkując rozbiegają się na wszystkie strony.

Po jaszczurce i naszej sje (zbyt krótkiej jak na parny upał) odbywa się pokaz tańców. Tym razem nie w zamknięciu, lecz na zielonej murawie obok tutejszej, uniwersyteckiej, szkoły muzyki i tańca. Na nasz benefis sprowadzono bez mała dziesięć grup: z głębokiej, stepowej północy, przytykającej do pustyni, z Togoland, który geograficznie rzecz biorąc jest przedłużeniem Ghany, wąskim skrawkiem lądu wykrojonym wzdłuż jej jednego boku, z Nigerii, która jest jednym z najbliższych jej sąsiadów, bardziej bogatym i mniej szczęśliwym.

Siedzimy po zacienionej stronie zielonego prostokąta. Naprzeciwko rozłożyły się zespoły, każdy inaczej ubrany, inaczej wyposażony — w sumie ze dwie setki ludzi. Wprzód jest genezyjski chaos, aparaty fotograficzne i filmowe unoszą się nad wodami. Wszyscy chodzą tam i sam, usadzają się, kokoszą. Wszyscy naraz próbują instrumentów i tańców. Po stronie widzów krąży palmowe wino — biała mętna ciecz uderzająca w nozdrza ostrym fermentem. Nie odważam się tego skosztować, ale ktoś zapewnia mnie, że ten płyn świeżo utoczony z arterii łączących pień palmy z koroną jest najbardziej delicyjnym, orzeźwiającym, upajającym napojem świata. Wierzę na słowo. Zresztą obserwuję, że nawet w tym sfermentowanym stanie wprowadza on co niektórych współtowarzyszy w stan euforii. Ale i bez tego panuje nastrój doskonałego odprężenia. Wszystkim udziela się spokój organizatorów i beztroska ptaków gospodarujących na sąsiednich dachach.

Wreszcie ściągnięto perypatetyków i fotomanów z pola, wszyscy usiedli i zaczęły się produkcje. Usiłuję zapisywać ich nazwy, lecz uświadamiam sobie, że mało co znaczą bez opisu. A taniec trzeba by opisywać terminami technicznymi, które są

szyfrem specjalistów i dla profanów nie mają żadnej siły wywoławczej. Poddają się więc biernie feerii przetwarzającej się przed oczami, konotując w głowie pojedyncze, często uboczne szczegóły.

„Sisale” z głębokiej północy tańczą przy wtórze bębnow i piszczałek chłopcy w niebieskich szortach. Tworzą koło coraz to zmieniające rytm i tempo. To co robią wydaje mi się tańcem doskonale „abstrakcyjnym”, „czystym”. Taniec „Igaw” z wschodniej Nigerii nazywam dla siebie tańcem turoniów, bo odtwarza go pięciu mężczyzn z wyobrażeniami rozmaitych zwierząt na głowach; jedno z nich — krokodyl, kogut — są naturalistyczne, inne tak wystylizowane, że niełatwo je zidentyfikować; wszystkie jaskrawo polichromowane. Tancerze mają twarze zasłonięte, bardzo kolorowe stroje, ogony z patyków, brzękadła z orzechów przywiązane do kostek, w prawej ręce mieczyki, w lewej chustki. Wszystko razem niezmiernie malownicze.

W pewnej chwili widzę, że opodal mnie Mr. Opoko filmuje. — *Rough source material* — woła do mnie porozumiewawczo, jak myśliwy na polowaniu. Może już w przyszłym roku szkolnym jego uczniowie będą ćwiczili ten taniec w „ulepszonym”, uszczelnionym wydaniu.

Nadchodzi teraz „Dugu”, jakiś murzyński *reel*, taniec czysto rozrywkowy. Trębacze bucą na bawolich czy antylopich rogach, bębny dudnią jak spod ziemi, a tancerze choć z dalekiej północy niestety już w europejskich strojach, drobią nogami, poruszają grzecznie pierściami i brzuchami. Dopiero na końcu okazuje się, że jest to długi wstęp do nagłego wybuchu, do krótkiego szału. Czterej goli adonisi jak z rzeźby, w przepaskach wokół bioder, z pasiakami skrzyżowanymi przez piersi i w opaskach na głowie prezentują bitny szczep „Lobi”. Inny szczep, nazywający się dla naszego ucha zabawnie „Fra-Fra” tańczy taniec „Kobina”, który służy jednako na okazje ślubne i pogrzebowe. Z pierwszym zastosowaniem zdaje się kłócić ponury akompaniament dobywany z dwóch pustych czerepów, z drugim — spodnie w biało-czerwone kraty.

Drugim clou programu — obok „turonów” i „lajkoników” — jest taniec „Gokta” znad górnej Volty. Polega on na tym, żeby jak najwyżej i w jak najszybszym tempie wyrzucać w górę jednocześnie obie ręce i obie nogi. Trwa to równie krótko jak orgazm, krócej niż orgazm. Na kilku kolejnych wykonawcach widać jak to jest nie tylko ekspensujące, lecz i trudne. Co młodszy i mężczyźni zdobywają się na ledwie przybliżony kształt, pozostając w tyle za piekielnym rytmem muzyki. Tylko jedna kobieta osiąga w pełni to, o co tu chodzi. Nadchodzi mnie wątpliwość, czy jest to taniec w naszym rozumieniu słowa, czy tylko wyczyn

ekwilibrystyczny? I zaraz myśl: co by o tym powiedział Valéry pisząc swój traktat o tańcu, o „duszy tańca”?

„Kanjaga”, osobliwy taniec z Togo. Tańczą go kobiety zgięte w pół, z wypuczonymi pośladkami i głowami przychyłonymi do ziemi. Drobią stopami i obu rękami prostopadłe opuszczonymi do ziemi wykonują faliste ruchy. Na poczekaniu odczytują to jako taniec roboczy, taniec naśladujący pracę w polu, żęcie lub zbieranie. Fatalne pudło. Okazuje się, że chodzi tu o wyrażenie szacunku, czołobitności. Potwierdzają to trzej fleciści, którzy wraz z grającymi instrumentami przyginają się aż do zielonej darni jakby bili pokłony. Tylko bębniści pozostają wyprostowani: ich arystokratyczne, dumne instrumenty nie dopuszczają takich prostacji.

Na zakończenie popisuje się jeszcze jedna grupa nigeryjska tańcem ceremonialnym, może magicznym, tańczonym przed polowaniem lub wyruszeniem na połów. Tańczą młode kobiety ustawione w krąg, jednakowo ubrane jak w balecie, z chusteczkami w obu rękach. Wszystko jest kierowane gwizdkiem prowadzycy i wydaje się zbyt składne, aż zbyt wdzięczne, aż zbyt uładnione. Jest to zapewne grupa ludowa produkująca się przed publicznością, jakby jeszcze jedna faza wyprzedzająca szkołę pana Opoko i „Mazowsze”. Ale podoba się ogólnie: co raz ktoś podbiega z „widowni” i ze „sceny” by przykleić pieniążek do czoła wybranej tancerki. Tak tutejszy zwyczaj pozwala objawić swoje zadowolenie i zachwyt.

A potem powtarza się to samo, co było wczoraj w Atwii. Padają wszystkie przedziały. Grają naraz wszystkie instrumenty, tańczą w uniesieniu naraz wszyscy tancerze i wszyscy widzowie. Jakby moszcz palmowy uderzył do wszystkich głów i rozwiązał wszystkie ciała. Delirium saltans. Taneczny amok.

Niedziela

Wycieczka do Akosombo, do tamy na rzece Volta. Znowu jesteśmy na tej samej autostradzie prowadzącej do Temy. Obserwuję teraz jak jej betonową gładzinę z wszystkich boków, z luki między dwoma pasmami atakuje vegetacja. Jakieś bodiaki, trawy o wysokich, ostrych piórach, anonimowe krzaczki naskakują, podsuwają się chyłkiem, tworzą malutkie przyczółki i gniazda oporu, podkopują się cierpliwie pod powierzchnię.

Długo podbiega pod koła i odchyła się wstecz kraj płaski, jednostajnie zielony. Nagle ni stąd ni zowąd wyskakują wpoprzek drogi wielkie bulwy kamienne wyglądające jak moreny, skały narzutowe. Również i one są pod stałym, upartym ostrzałem ży-

wej zieleni; już jej poddały wgłębienia i rozpadliny, spychają napastników tylko z odkrytych gładzisz.

W pewnej chwili termitiery zmieniają barwę z ciemno-czerwonej na szaro-czarną. Są to sygnały, że wjechaliśmy w obszar innej gleby, że zasłona zieleni okrywa inną tkanę ziemi, jakby powiedział Wierzyński. Przyglądam się tym gotyckim mrowiskom: na niektóre z nich wspinają się pnącze; jednego uczepiło się niemowlęce drzewko zarumienione świeżą zielonością. Czy to oznacza, że ustał w nich pierwotny ruch, wymarło ostatnie pokolenie pracowników?

Dojeżdżamy do wspaniałego mostu rozkroczonego nad szeroką, burą rzeką (skąd w niej tyle wody, jeśli gdzieś zagrodzono jej drogę). Patrząc na nią znad parapetu, trudno zgadnąć w którą stronę płynie. Tylko ledwie poruszający się listek niechętnie zdradza sekret. Po drugiej stronie, wśród otwartego rozlewu widać wyspy nieuchwytniej i nieopisanej urody: jedną, drugą, trzecią. Są intensywnie, po Courbetowsku zielone, przybrane w pióropusze drzew i jeszcze wyżej zwieńczone wysokopiennymi palmami. Jedna z tych wysp wydaje mi się scenerią, w której mogłoby się rozegrać „Zwycięstwo” Conrada i skończyć przeraźliwą klęską, klęską bez pocieszenia.

U wylotu mostowego sprzedają *tigernuts*, czarniawe ziarna wielkości bobu tylko bardziej kanciaste, gdy się je gryzie trzące się po zębach suchymi włóknami, nie puszczające prawie żadnego określonego smaku i czerwonawe, obłe jak kasztany orzechy *kola*, pradawny, tak dawny jak złoto surowiec wywożony z tego kraju. Nie mam pojęcia co się z nich robi poza lekarstwem na niskie ciśnienie krwi i Coca Colą. Nikt z moich towarzyszy również nie wie.

Za mostem autobusy wjeżdżają w gardziel między stromą pochyłością a rzeką i pną się pod górę. Wjazd na teren tamy zagradza szlaban, ale jego strażnicy są dla nas bardzo łaskawi. Domki robotnicze, lokalny targ, niedzielnie opustoszały i kawiarnia. Patrzymy z jej tarasu na olbrzymie morskie oko wśród ciemnych zboczy, patrzące ciemną żrenicą w zakryte niebo. Widać stąd terasowate nasypy położone wpoprzek wody, tuby żelaznych organów, przez które teraz posłusznie przepływa i olbrzymie pole generatorów elektrycznych.

Podjeżdżamy później na sam brzeg tamy. Z bliska widać, że „oko” wodne jest bardziej wodną rozgwieżdżką, wczepioną promieniami czy kolcami pomiędzy stoki górskich kopców. Po wewnętrznej stronie tamy wije się śliczna droga samochodowa. Z prawego boku, na wysokim wzniesieniu stoi wśród drzew biały rozległy dom, patrzący w sztuczne rozlewisko i w naturalną panoramę górską. Ktoś opowiada, że to Tyberiuszowski

kaprys, Berchtesgaden, pałacowa willa Nkrumy niedostępna z ziemi, do której zjeżdżał helikopterem. (Później okazało się to legendą, jedną z wielu, które już zdołały narosnąć wokół eksdyktatora).

Nie ma żadnych zmyśleń, upiększających szczegółów w tym co świetną angielszczyzną opowiada młody człowiek należący do zespołu inżynierów. To co mówi jest rzeczowe, precyzyjne i przeświecone humorem. Volta Dam nie jest największym co do wytwarzanej siły, lecz największym co do powierzchni sztucznym jeziorem stworzonym przez człowieka. Żywi produkowaną energią elektryczną cały pas pobrzeżny, za kilka lat, gdy się wypełni wodą do pełnej pojemności, będzie jej dostarczał całemu krajowi, będzie ją eksportował za granicę. Ubocznym wkładem jest rybołówstwo i nawadnianie zakładanych w sąsiedztwie pól ryżowych. Głównymi konstruktorami byli Włosi, lecz bez mała dziesiątek innych krajów dostarczył rozmaitych urządzeń. Tama wyrosła z ambicji i woli Murzynów, ale jest dziełem europejskiego, zachodniego geniuszu technicznego. Wśród liczb, informacji, nazw błyska nagle prawie wolteriański prześmiew, gdy nasz przewodnik opowiada o kłopotach i korowodach z wsiami i ich mieszkańcami, których trzeba było ruszyć z odwiecznych siedzib. Jeszcze trudniejszy problem niż ludzie od pokoleń wkorzeni w ziemię jak drzewa, stanowiły święte fetysze. Trzeba było nakładu perswazji i przemysłnych wybiegów, żeby je przekonać do przeniesienia się na inne miejsce. Jeden objawił przez usta swego kapłana, że owszem jest skłonny się na to zgodzić, ale pod warunkiem, że drogę do nowego sanktuarium odbędzie w prezydenckim helikopterze. Co się też stało...

Na obiad jedziemy do klubu obsługi inżynieryjnej. W jednym pawilonie poją wszystkim czego dusza zapagnie, także szkocką whisky, także „Martellem”, ale nikt się do tego gorliwiej nie przykładą, może z powodu prażącej spiekoty. W innym pawilonie znowu obsługujemy się sami czerpiąc z kociołków, waz i półmisków drobnoziarnisty ryż, kawałki kury, egzotyczną włoszczyznę i piekielnie ostre sosy.

Na końcu stołu opodal nas siedzi nieznany blondas z uderzająco białą cerą i jasno niebieskim spojrzeniem, z rozporcem koszułi zapienionym szafranowymi włosami. Gdy mu ktoś zdradził moje zainteresowania teatralne, szybko się dogadujemy. Nowy znajomy nazywa się Willis Bell, jest Amerykaninem urodzonym w Indiach, mieszka w Ghanie już dziesięć lat (*I speak Akan pretty well* — stwierdza bez przechwałki), właśnie wrócił z wyprawy na *canoe* górnym biegiem Volty, gdzie rośnie nietknięty *bush* i ludzie chorują na śpiączkę. Jest zawodowym fotografem i architektem-amatorem. Okazuje się, że to on projektował Ko-

dzidan w Atwii, w którym byliśmy dwa dni temu i spędziliśmy kilka pamiętnych godzin. Pytam go z miejsca, co w tym teatrze znaczy, skąd się wzięło owo prostokątne wgłębienie pośrodku, „estrada” *à rebours*. Mr. Bell mówi, że chciał w tym budynku odtworzyć naturalne warunki widowisk, na które jest przeznaczony. Odbывают się one na podwórzach otoczonych domami; ich widzowie siedzą na przyzbach, stoją na ławach, oglądają aktorów raczej z góry, niż z dołu. Z dalszej rozmowy wynika, że zaplanował także studio w Akrze, własny dom i jeszcze inne budowle, w sumie bez mała dziesięć. Chciałby mi coś z tego pokazać. Umawiamy się, że któregoś dnia przyjedzie po nas do *campusu*.

Już nas wołają na pokaz. Schodzimy w kotlinkę ocienioną drzewami. Ociężali od wrażeń i jadła rozsiadamy się na krzesłach, ławkach i fotelach. Występuje grupa chłopów zza Volty, mieszkających trzy mile za tamą, w Akwamu. Są prymitywni, upracowani, mają nabiegłe krwią oczy. Wszyscy noszą „togi” z bawełny ręcznie drukowanej wzorzystymi klockami, z europejskich fabrycznych perkalów; jeden stary, z guzem jak pięść pośrodku czoła paraduje w pluszowej kwiaciastej kapie na łóżko, dosyć zużytej i przybrudzonej. Zauważam, że w tej dziedzinie panuje konwencja obowiązująca w wysokich sferach zachodnich: żeby materiały i wzory się nie powtarzały; są to same modele od Diora. Obfite płaty materii opasujące korpus, przerzucone obu końcami przez lewe ramię, tworzą strój naturalnie ekspresyjny. W stanie spoczynku i w tanecznym ruchu raz po raz się je poprawia, układa w coraz nowe spływy, zbiera w bałdę spienioną na brzuchu.

To na co patrzymy należy do teatru epickiego. Jest długą opowieścią ciągniętą śpiewnym duktem przez koryfeja, którą chór przerywa okrzykami zdziwienia i grozy, gromadną aprobatą lub zawrożeniem. Od czasu do czasu odrywa się ktoś z grupy i tańczy w pojedynkę z twarzą zwróconą nie do widzów ale do aktorów. Wszystko kołysze się na nieprzerwanym, gwałtownym warkocie bębnow. Ze zdumieniem widzę, że para naszych seniorów (folklorystka z Anglii i etnomuzykolog ze Stanów) śpi błogo w tym hałasie. Budzą się oboje momentalnie i jednocześnie, gdy hałas się urywa.

Pod koniec produkcji następuje, widać, zwyczajowy rewanż widowni. Niespodzianie dla nas wszystkich wskakuje w środek jeden z naszych przewodników, niepokazny wegetarianin (wyznawca Mahometa?) z zębami rosnącymi naraz we wszystkich kierunkach, rozstrzępionymi w ustach jak zużyte zgrzebło. Na tę okazję jest przybrany w tradycyjny strój z żółtej, czarno i czerwono drukowanej materii. Gubiąc ją i zbierając, strosząc przed sobą odtwarza taniec wojenny i myśliwski z niewidzialną strzelbą czy

rusznicą. Po nim kurtuazyjnie drobią pantofelkami na wysokich *stiletto*s Agnes i Margaret, urodziwe uczennice szkoły tanecznej, towarzyszące nam w tej wycieczce. Ktoś im przykleja monety do czoła, lecz oddają je właściwym bohaterom popołudnia. I na koniec przed wysokim bębnem staje rośli dorodny Murzyn z Nigerii, uczestnik konferencji, mimo upału noszący nienagannie czarny europejski garnitur. Zaczyna uderzać zgiętymi, kolankowatymi pałeczkami w napięty pergamin. Od razu widać, że mistrz, „co gra, nie odpycha”. Jest to popis wirtuozowski, brawurowy, olśniewający, jakiś tutejszy koncert Jankiela. Wprawia chłopów w stan zachwytu. Oklaskują bębniście-gościa jeszcze goręcej niż my, jeden po drugim z wylaniem ściskają mu ręce.

Jest późne popołudnie — czas wracać. Jedziemy tą samą drogą, lecz nasycona wrażliwość opornie odbiera bodźce z zewnątrz. Podrywa się znowu na krótkim postoju obok przydrożnego targu, sprowokowanym przez amerykańską fotomankę, która pstryka Leicą bez przerwy, na jawie i we śnie. Mimo niedzieli można na nim kupić gotowane raki spiętrzone w piramidę, żółte owoce podobne do pomidorów, białe słodkie bułki z pszenicznej mąki, którą się tu przywozi z zagranicy. W cieniu drzewka fryzjer pilnie strzyże kędzierzawą czuprynę. Pośrodku wyboistego placu przechadzają się sępy w rajskiej zgodzie z koźletami. Jedno z nich, świetlicie beżowe, stoi nieruchomo, zagapione przed siebie z głupiutką miną. W pewnej chwili sępy bez pośpiechu przenoszą się na płaski szczyt drzewa i usadzają się tam posągowo jak na wysokim zielonym cokole.

Na płaski kraj nasuwa się zmierzch tropikalny. Już wśród ciemności w jakiejś innej wsi migają białe karbidowe płomienie oświetlające ludzi przy stołach. Dalej przed chatami, często w zewnętrznych ścianach chat żarzą się czerwono ogniska. Noc jest tutaj ciepła i wydaje się łaskawa, domowa jak dzień.

Poniedziałek

Rano po nocnym deszczu ziemia pachnie pieprzem i rozkładem.

W *campusie* wszystko zamknięte na cztery spusty: księgozbiór w Commonwealth Hall i główna biblioteka, poczta, kantory bankowe, nawet *buttery* czyli sklep uniwersytecki. Bank Holiday! St. Bank's Day — jak tę instytucję nazwał Pietrkiewicz. Ten relikt kolonialny wydaje mi się niepojęty i nawet trochę drażniący. Może dlatego, że nieoczekiwanie pozbawił mnie nałogowej dawki lektury. Korzystam ze sposobności, żeby trochę pochodzić po *campusie*. Na dobrą sprawę można sobie w nim ucho-

dzić nogi po same pachy. Tybulcy przeważnie tylko jeżdżą po wytyczonych drogach, na piechotę chodzą skrótami w wysokiej ościstej trawie. Trzeba je odkrywać jak przesieki i dróżki w *bushu*.

University of Ghana rozbudowuje się w szybkim tempie. Bliżej środka w ostatniej fazie wykończenia są cztery jednakie, trzypiętrowe *dormitoria* męskie. Za biblioteką już pod dachem stoją trzy budynki: dom mieszkalny dla studentek, szkoła administracji i laboratorium chemiczne. Wszystkie są inne, niż budynki powstałe na pierwotnym, osiowym planie. Nie mają tego fantazyjnego orientalizującego piętna i zrywają ze stylem niskiej zabudowy ceglanej na rzecz wielkich bloków żelbetonowych. Zwłaszcza trzy stojące w prawym kącie *campusu* (patrząc od wejścia) ukazują naocznie *malléabilité* żelbetonu, jego plastyczność, podatność na swobodne kształtowanie. Są to jednocześnie budowle o zakroju uniwersalnym, zachodnim, i budowle przystosowane do klimatu tropikalnego. W rozmaity sposób zapewniają one maksimum zacienienia i maksimum przewiewu. Założone wokół podwórców mają odsłonięte klatki schodowe i wejścia do sal wykładowych, gabinetów profesorskich, pokoiów mieszkalnych z wewnętrznych ganków. Przeziory na zewnątrz wypełniają w jednym z nich podłużne balaski, w drugim krzyżujące się płyty, tworzące skrzynie bez dna i bez wierzchu. W obu ładnie współgrają gładkie, równe i półkolistie wzdęte powierzchnie. Laboratorium bardzo w stylu Le Corbusiera i nawet wprost przywodzące na pamięć jego kościół w Rochamps, zapewnia cień i ruch powietrza w sposób najbardziej nieortodoksyjny. Ściany nie mają okien, ale niewielkie otwory różnego rozmiaru i kształtu na rozmaitych wysokościach. Dopiero gdy się wejdzie do wewnątrz, widzi się, że za tym jakby forttecznym murem są ściany z oknami z wąskich szybek otwierających i zamykających się jak weneckie żaluzje. Wchodzi przez nie do laboratoriów światło już przesiane, ściemnione i powietrze jakby naturalnie ochłodzone.

Zabawny szczegół w planie *dormitorium* dla dziewcząt stanowi to, że nie ma ono wejścia. Wchodzi się do niego przez jeden z dawnych pawilonów (Volta Hall), przez jedno, drugie i trzecie *patio*, przez zielone i kwitnące wirydarze. W tym budynku i w szkole administracji są już pozakładane wewnętrzne ogródki, rabaty, posadzone egzotyczne drzewka. Ze sporego ogrodu, zacienionego wysokim, białym murem moje zjawienie się podrywa w powietrze stado synogarlic czy turkawek, smukłutkich, wyciągniętych w proporcjach, jakby je ulepił i wypalił na terrakotę wyrafinowany manierysta. Wszędzie już stoją meble, w audytoriach piętrzą się amfiteatralnie ławki.

W południe siedzę dłuższą chwilę nad sadzawkami w środkowym, podłużnym *patio* Commonwealth Hall. Z dwóch powodów.

Dlatego, że popielate żaby wychylają łebki wielkości sporej renklody i szeroko rozwierają pyszczki. Można z ich rozmiarów obliczyć natężenie skrzeku, który się tu rozlega wieczorem; właściwie „słyszysz się” go oczami jak krzyk w niemym filmie.

Drugi impuls daje chęć przeniknięcia tajemnicy rządzącej oczajami lilii wodnych. Ta nazwa jest zresztą czysto umowna, prywatna, bo chociaż ich liście płasko ułożone na wodzie są może podobne do naszych nenufarów, białe lub błękitne kwiaty stoją na prostych, cienkich łodygach z drutu i bardziej przypominają tulipany niż lilie wodne. Zdawało mi się, że regularnie zamykają się w ścisłą szypułkę na noc, otwierają się szeroko do światła. W tej chwili po burzliwej nocy jest dzień słoneczny i płatki są stulone; tylko podkładające je zielone listki są rozpostarte poziomo na kształt kryzy. I jak tu wyrozumieć kobiecą logikę?

Po obiedzie przed jednym z tych basenów tańczy wędrowną, pół zawodowa grupa z Nigerii. Tancerze, młodzi mężczyźni, mają czerwone przepaski na biodrach, strzeliste kity z boków głowy, *whisks* z końskiego włosia lub krowich ogonów w rękach i brzękadła na nogach. Krążą w koło wśród wyrzucania rąk i nóg twarzami do siebie, później twarzami do widzów, potem w rozmaitych, dość wymyślnych układach. Nie umiem ocenić autentyczności tego występu. Może są to — jak mówił z jadowitym przekąsem pewien już nieżyjący etnomuzykolog — *les employés de banque qui singent les paysans*? Ale napewno tło akustyczne jest prawdziwe, pierwotne. Co do tego nawet po krótkim pobycie w Afryce trudno się pomylić.

Dzisiejszy *workshop* mniej spektakularny i zabawny niż poprzedni, lecz bodaj bardziej istotny. Holenderska brzydula, nauczycielka w Sierra Leone otłukuje sobie ręce na małym flaszko-watym bębnie jakby chciała odbić wszystkie gorycze staropanień-stwa, lecz przeważają specjaliści. Analizują i zapisują poszczególne frazy bębnienia, nagrywają na taśmę magnetofoniczną.

Dłuższą chwilę przysłuchuję się młodemu bębniście, który z wielkim wdziękiem i jeszcze większą cierpliwością wtajemnicza nas w poezję bębnową, poezję bez żadnej przenośni, w literaturę wygraną na tzw. bębnach mówiących czy rozmawiających (*talking drums, atumpan*). Jest ich zazwyczaj dwa: „mężczyzna” i „kobieta”, bo różni je różnica tonu. „Rozmawiają” one z sobą. Albo: bębniarz wyraża poprzez nie tradycyjne prawdy i wieczne zamyślenia człowieka. Na jednym wybija się pytanie, na drugim odpó-

wiedź. Na przykład: P. „Co jest starsze, ścieżka czy rzeka?”. O. „Ścieżka”. Takich zagadek, przysłów, porzekadeł podłożonych pod uderzenia membrany, wyrażanych odmiennymi rytмами, kombinacjami rytmów dzisiejsza Ghana zna podobno coś siedemdziesiąt. Jest w tym zapewne jakiś pradawny sens magiczny, jest motyw zabawy, jest w końcu zastosowanie praktyczne. Bębny mówiące służyły porozumiewaniu się na odległość, były sposobem sygnalizowania, pozdrawiania się, ostrzegania. Przedłużały nośność ludzkiego głosu, jak proca czy łuk przedłuża zasięg ludzkiej ręki. Nazywa się je obrazowo *the bush telegraph*.

Spędzam dużo czasu przy ksylofonach. Ich klawisze wystrugane z twardego jak metal i jak metal dźwięcznego drzewa są luźno zawieszone na dwulinii sferycznej od góry do dołu, od górnego rejestru do dolnego. Pod spodem są podwieszone puste „kalabasze”, czyli tykwy służące jako rezonatory. W klawisze uderza się miękkimi młoteczkami. Rezonatory pomnażają dźwięk z własnej ochoty.

Wieczorem koncert wokalny i instrumentalny, który jest recitalem kompozytorskim i dyrygenckim Ephraima Amu. Osobiście jest on na pewno zjawiskiem niezwykłym i sympatycznym. Łysy, chudy, ascetyczny wygląda jak mnich średniowieczny, jak anachoreta tylko na hebanowo. Ale kompozycje chóralskie, które prezentuje, po tym co słyszeliśmy, co słyszymy ciągle, co wibruje w uszach, nawraca poprzez sen — wydają się obojnakie, hybrydyczne i nikłe. W substancji jest to muzyka zapatrzona we wzory zachodnie, wcale nie najlepsze, usiłująca połączyć elementy rodzime z przywoźnymi. W sumie: muzyka z epoki kolonialnej, przednacionalistycznej. Czuję się wobec niej szowinistą afrykańskim. Ale tutejsi młodzi otaczają starego muzyka rewerencją i mówią o nim: dr Amu. Wyobrażam sobie jakby to brzmiało powiedziane na serio: dr Karol Szymanowski lub dr Roman Palester.

Trochę pociesza mnie początek drugiej części koncertu. Zjawiają się w niej oryginalne instrumenty: piszczałki proste z pięciu otworami i zakrzywione, których otworów nie mogę się doliczyć, flety z bambusu. Kompozytor gra na nich solo i z kimś drugim, przy akompaniamencie fortepianu. Ale i ta muzyka, którą już kilka razy słyszałem, wydaje się tutaj wykastrowana, wyżęta ze swojej pierwotnej ekspresyjności.

Właściwie bardziej niż estrada interesuje mnie widownia. W teatrze często żałuję, że nie mam dwu Janusowych twarzy, że nie mogę jednocześnie patrzeć na aktorów i widzów. Na sali jest dziś sporo nie-kongresowiczów; wśród nich kilka par czarno-białych. W naszym rzędzie siedzi cała rodzina: młoda Murzynka

Tytuł pozostaje ten sam

W październiku br. minęło 30 lat od ukazania się w Warszawie nakładem „Polityki” książki Adolfa Bocheńskiego pt. „Między Niemcami a Rosją”. Problem ujęty w tytule nie stracił niczego ze swej aktualności. Treść naszego historycznego scenariusza ulega radykalnym zmianom, lecz tytuł pozostaje ten sam.

Powtarzamy w kółko i do znudzenia, że Polska leży między Rosją a Niemcami. Lecz co to właściwie znaczy? Czy to jest niezmienny fakt geograficzny, niepodlegający zmianom i ewolucji? Niestety to jest problem dynamiczny, a nie statyczny, i w konsekwencji — jeżeli wolno się tak wyrazić — Polska jest coraz bardziej między Rosją a Niemcami a nie coraz mniej. Proporcje owego problemu stale rosną i to na naszą niekorzyść.

Olgiert Górka w swej pracy o przyczynach upadku i odrodzenia Rzeczypospolitej przytacza następujące dane cyfrowe z okresu pierwszego rozbioru. Prusy Fryderyka II liczyły około 4 milionów mieszkańców, Rosja Katarzyny II około 20 milionów, a Rzeczpospolita Polska 12 milionów. Innymi słowy Prusy i Rosja łącznie dysponowały dwukrotnie większym potencjałem sił i możliwości niż Polska. Stosunek Rzeczypospolitej do obu jej sąsiadów wyrażał się proporcją 1:2.

W czasie drugiego rozbioru ów stosunek wyrażał się już proporcją 1:3,5.

W roku 1937, kiedy Bocheński pisał swoją książkę — ów stosunek przybrał proporcje 1:8.

A dziś w roku 1967? Polska według świeżo ogłoszonych danych liczy 32 miliony mieszkańców. Według ostatniego wydania „Dictionary of Politics” Rosja Sowiecka liczy 226.253.000 mieszkańców (Źródła amerykańskie podają cyfrę 235 milionów). Niemiecka Republika Federalna liczy 58.587.000 a NRD — 16.116.000 mieszkańców. Zaokrąglając powyższe cyfry można przyjąć, że łączny potencjał Rosji Sowieckiej i (zjednoczonych) Niemiec

wynosi ponad 302 miliony mieszkańców. Z powyższych danych wynika, że o ile za czasów pierwszego rozbioru stosunek Polski do obu jej sąsiadów wyrażał się proporcją 1 : 2, — dziś wyraża się proporcją niemal 1 : 10.

Twierdząc, że nie coraz mniej lecz coraz bardziej jesteśmy między Rosją a Niemcami miałem na myśli ów stały wzrost owej proporcji na naszą niekorzyść.

Adolf Bocheński nie był pierwszym ani ostatnim, który podjął analizę tego zagadnienia. Problematyka polityczna Niemiec i Rosji — na przestrzeni ostatnich lat 30-tu uległa zmianie i reorientacji. Lecz Polska jest nadal między Rosją a Niemcami i studium Bocheńskiego nie utraciło niczego ze swej aktualności — choć rozwój wydarzeń przekreślił pewne jego koncepcje i wnioski.

Uczyć się należy na błędach wybitnych polityków i publicystów — ponieważ błędy przeciętnych publicystów i polityków doprowadzą tylko, że nie rozumieli zagadnień, którymi się zajmowali.

Bocheński przed 30-tu laty — w pewnej mierze jak i my dzisiaj — największego niebezpieczeństwa dla Polski dopatrywał się w porozumieniu naszych sąsiadów. Pakt Ribbentrop-Mołotow, którego Bocheński nie przewidywał — był *de facto* wstępem do czwartego rozbioru Polski.

Antagonizm niemiecko-rosyjski leży w naszym interesie. Doświadczenie uczy, że w każdej sytuacji tego typu — jedna ze stron wykazuje zawsze większą skłonność do porozumienia niż strona druga. Bocheński głosił, że powinniśmy popierać sąsiada, który wykazuje bardziej nieprzejednane stanowisko a nie sąsiada gotowego do układów. 30 lat temu Rosja Sowiecka wykazywała skłonność do układów i porozumienia — natomiast Niemcy zajmowały stanowisko nieubłagane antysowieckie.

Autor omawianej książki wnioskował następująco. Najniebezpieczniejszą z wszystkich możliwych kombinacji jest porozumienie rosyjsko-niemieckie. Antagonizm rosyjsko-niemiecki jest dla nas korzystny — lecz nigdy nie trwa długo. Przed widmem porozumienia rosyjsko-niemieckiego mogłaby nas trwale uchronić tylko likwidacja jednego z naszych sąsiadów. Niemcy — według teorii Bocheńskiego dążyły do rozczłonkowania nie Polski lecz Rosji Sowieckiej. Oto charakterystyczny cytat: „Dziś od czasów Ludendorfa i jego 'Balticum', wielkie, potężne, rozbudzone aspiracje ekspansji niemieckiej w głąb Rosji, bezsprzecznie wzięty górę nad małym planem imperialistycznym zdobywania w porozumieniu z Rosją piaszczystych powiatów Pomorza”.

Zwolennicy tych poglądów równocześnie przeceniali i nie doceniali Niemców. Nie doceniali ich zachłanności terytorialnej, która powodowała, że patrzyli łakomie nawet na piaszczyste powiaty Pomorza. Przeceniali natomiast niemiecki geniusz polityczny. Niemcy nie są i nigdy nie byli imperialistami. Imperialistami byli Anglicy i Francuzi. Imperialistami są Rosjanie. Niemcy są najeźdźcami i do upadku Trzeciej Rzeszy wierzyli, że polityka zagraniczna jest ubocznym produktem działań wojskowych.

Niemcy zdradzili Clausewitza ponieważ odwrócili jego tezę. Uważali bowiem do końca, że operacje wojskowe rozwiązują wszystkie problemy polityczne. Niemcy w stosunku do Rosji Sowieckiej nie mieli żadnych planów ani żadnego programu politycznego i ponieśli klęskę ponieważ narodom Związku Sowieckiego nie mieli niczego do zaoferowania prócz niewoli.

Myślą przewodnią rozważań Bocheńskiego jest zawsze widmo porozumienia niemiecko-rosyjskiego, którego uniknąć należy za wszelką cenę. Jest oczywiste i logiczne, że likwidacja Rosji czy Niemiec — wyłączałaby raz na zawsze możliwość porozumienia rosyjsko-niemieckiego. Przez lata powtarzaliśmy porzekadło o dwóch kamieniach młyńskich, które nas miażdżyły. Oczywiście rozbitcie jednego z owych kamieni uwolniłoby Polskę od katastrofy.

Przeprowadzamy w tym artykule analizę problemu niepodległościowego tak, jak go rozumiał Bocheński — jeden z najświatlejszych reprezentantów młodego pokolenia okresu dwudziestolecia. W jego rozumowaniu trudno dopatrzeć się błędu logicznego, choć rozwój wydarzeń nie potwierdził jego analizy i wniosków.

Całkowicie błędną okazała się teoretycznie logiczna teza, że likwidacja jednego z naszych sąsiadów wyłącza porozumienie rosyjsko-niemieckie a tym samym umacnia i zabezpiecza naszą niepodległość. To jest logiczna teza pod warunkiem, że likwidatorem Niemiec nie będzie Rosja lub odwrotnie — likwidatorem Rosji nie będą Niemcy. Pod koniec drugiej wojny światowej Niemcy uległy likwidacji lecz Polska nie odzyskała niepodległości. Gdyby Niemcy wygrali wojnę i pobili Rosję — Polska również nie odzyskałaby niepodległości.

Okazuje się więc, że rozbitcie jednego „kamienia młyńskiego” bynajmniej nie przynosi automatycznie poprawy sytuacji Polski.

Bocheński nie doceniał znaczenia swoistego *balance of power* pomiędzy obu naszymi sąsiadami. 30 lat temu — podobnie jak dziś — przebudowa Związku Sowieckiego leżała w polskim interesie — lecz pod warunkiem, że owa przebudowa nie oznaczałaby znacznego wzmocnienia Niemiec. Dziś Niemcom nie chodzi o „piaszczyste powiaty Pomorza” lecz o ziemię nad Odrą i Nysą. Z tych przyczyn o ile niepodległa Ukraina umniejszałaby naszą zależność od Rosji, co byłoby pożądane — o tyle ta sama niepodległa Ukraina w sojuszu z Niemcami wydatnie pogarszałaby naszą sytuację.

Czy jest rzeczą możliwą w praktyce oceniać każdy projekt polityczny według kryterium rosyjsko-niemieckiej równowagi sił i dążyć równocześnie do uniezależnienia się tak od Niemiec jak od Rosji? W gruncie rzeczy to jest sytuacja bez wyjścia bo naszym naturalnym sojusznikiem przeciwko Niemcom jest Rosja a naszym naturalnym sojusznikiem przeciwko Rosji muszą być Niemcy. Zwycięstwo którejkolwiek ze stron — czy to Rosji czy Niemiec burzy równowagę pomiędzy naszymi sąsiadami, stającą warunkiem niepodległości. Wchodząc w sojusz z Rosją prze-

ciw Niemcom uzależniamy się od Rosji — wchodząc w sojusz z Niemcami przeciw Rosji uzależniamy się od Niemiec.

Rozważając powyższe sprawy po trzech dekadach musi się dojść do wniosku, że problem niepodległości Polski w granicach z 1939 r. był kwadraturą koła. Bocheński miał rację głosząc, że Polska (ówczesna) musi być krajem rewizjonistycznym, dążącym do zmiany *status quo*. Miał również rację twierdząc że antagonizm niemiecko-rosyjski jest fazą przejściową.

Państwo, które może istnieć tylko tak długo jak długo jego obaj sąsiedzi żyją w niezgodzie — w rzeczywistości nie jest państwem niepodległym. Niepodległość takiego państwa ma charakter czysto koniunkturalny i automatycznie dobiega kresu kiedy pomiędzy jego sąsiadami następuje porozumienie.

Człowiekiem, który w pełni zdawał sobie sprawę z tego problemu był Józef Piłsudski. Jego koncepcja wschodnia zmierzała do wyprowadzenia Polski z błędnego koła rosyjsko-niemieckiego.

W styczniu 1920 r. Piłsudski proponował sojusz wszystkich narodów byłego imperium rosyjskiego z Polską i z demokratyczną Rosją i dał do zrozumienia, że niepodległość Ukrainy musi być uznana. (P. Wandycz — „Z zagadnień współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919-20” — *Zeszyty Historyczne*, nr 12).

Niestety nie było wówczas demokratycznej Rosji i propozycje Piłsudskiego uznali za niemożliwe do przyjęcia zarówno bolszewicy jak i biali Rosjanie.

Bitwę pod Warszawą ogłoszono za jedną z najważniejszych bitew w nowoczesnych dziejach Europy. Z polskiego punktu widzenia było to tylko odroczenie klęski o 19 lat. Wygraliśmy bitwę lecz przegraliśmy program wschodni. Wygraliśmy bitwę lecz przegraliśmy wojnę.

Wydaje się, że zbyt mały procent społeczeństwa polskiego w pełni rozumiał o co toczyła się walka. Polaków można zawsze zmobilizować lokalno-patriotycznym hasłem jak Obrona Lwowa. Polacy mając do wyboru Zaolzie lub Federację Polsko-Czechosłowacką wybiorą Zaolzie, mając do wyboru Lwów lub sojusz z niepodległą Ukrainą — wybiorą Lwów. Zawsze znajdują się „niezłomni” którzy głupotę i krótkowzroczność przysłaniają gestem Reytana.

Historycy przytaczają dziesiątki przyczyn klęski programu wschodniego Piłsudskiego. Faktem jest jednak, że wówczas mieliśmy jeszcze szansę podjęcia koncepcji wschodniej samoistnie — we własnym imieniu. Pokój Ryski stanowił płytę położoną na grobie samodzielnej polskiej polityki wschodniej.

Bocheński wnioskował, że nową próbę wschodnią możemy podjąć już tylko jako partner Niemiec.

Łatwo jest dziś krytykować, a jeszcze łatwiej potępiać. Bocheński szukał w ówczesnych warunkach wyjścia z owej historycznej pułapki w jakiej znalazła się Druga Rzeczpospolita. Można krytykować Becka i obóz sanacyjny — obiektywnie należy jednak stwierdzić, że z tej pułapki nie było wyjścia. Gdyby program wschodni Piłsudskiego, choćby tylko w zasadniczych punk-

tach został zrealizowany — gdyby powstało niezależne państwo ukraińskie, związane sojuszem i umowami gospodarczymi z Polską — wówczas można by uznać, że Druga Rzeczpospolita wydobyla się z potrzasku rosyjsko-niemieckiego i uzyskała podstawy prawdziwej niepodległości.

„Cud nad Wisłą” stanowił odepchnięcie wroga spod bram stolicy lecz nie był zwycięstwem, które umożliwiłoby narzucenie Rosji polskich warunków. Niemniej legenda „Cudu nad Wisłą” zrodziła fałszywą teorię mocarstwowości, która nawet trzeźwym głowom z okresu dwudziestolecia utrudniała obiektywne rozpoznanie rzeczywistości.

Gdyby ktoś w roku 1937 napisał, że Polska jest państwem sezonowym — oskarżono by go o zdradę i współpracę z propagandą niemiecką. W rzeczywistości byliśmy państwem sezonowym, ponieważ nasz byt niepodległy zależał w całości od stosunków rosyjsko-niemieckich, na które nie mieliśmy wpływu. Byliśmy w znacznie gorszej sytuacji niż w okresie pierwszego rozbioru. W owym czasie Polska liczyła trzykrotnie więcej mieszkańców niż Prusy i mieliśmy możliwości dyplomatyczne i polityczne. Osobiście uważam, że anty-rosyjska polityka Sejmu Czteroletniego była błędna — niemniej istniały jeszcze wówczas różne rozwiązania dające możliwość wyboru. W ostatnich latach dwudziestolecia niepodległości polska polityka nie miała żadnego wyboru i każde rozwiązanie prowadziło prostą drogą do katastrofy. Porozumienie rosyjsko-niemieckie — oznaczało nowy rozbiór, wojna rosyjsko-niemiecka przyniesić musiała zwycięstwo albo Rosji albo Niemcom i w konsekwencji pełne uzależnienie Polski od zwycięskiego sąsiada. Totalna klęska zarówno Niemiec jak i Rosji — stanowiła szansę jedną na milion.

Nie tylko nie mieliśmy możliwości wydobycia się z tego fatalnego koła lecz obręcz owego koła stawała się z każdym rokiem trudniejsza do rozbicia. Pragnę przez to powiedzieć, że nasi sąsiedzi stawali się coraz potężniejszymi sąsiadami zarówno w proporcjach potencjału ludnościowego jak i przemysłowego. Nie leżało w naszej mocy zmienić faktu, że stosunek potencjałów sił (ludność plus przemysł) naszych sąsiadów rósł szybciej niż potencjał Polski i w rezultacie Polska proporcjonalnie stawała się coraz słabsza a nie coraz silniejsza *vis-à-vis* Niemiec i Rosji. Nie możemy przeciwstawić się owemu procesowi bo w chwili gdy Polaków przybędzie 8 milionów i osiągniemy cyfrę 40 milionów — Niemców w tym samym okresie przybędzie nie 8 milionów, jak Polaków, lecz 16 milionów. W konsekwencji w stosunku do naszych obu sąsiadów stajemy się z każdą dekadą coraz mniejszym i coraz słabszym narodem.

Gdyby nie było drugiej wojny światowej oraz gdyby nie dokonano wynalazku energii atomowej nie powstałyby super-mocarstwa tj. Rosja i Stany Zjednoczone. Ryzykuję pogląd, że Polska nie miała żadnych możliwości przetrwania w Europie dawnego stylu jako państwo niepodległe. Nawet gdyby nie było Hitlera — antagonizm rosyjsko-niemiecki wcześniej lub później

przekształciłby się w koniunkturalne porozumienie kosztem Polski. Gdyby historyczna epoka państw suwerennych trwała w Europie nieprzerwanie do połowy bieżącego stulecia — Polska musiałaby upaść bo nie była zdolna do obrony swojej suwerenności.

Gdyby nie było drugiej wojny światowej w której zginęło 20 milionów obywateli sowieckich — Rosja i Niemcy przytłaczałyby nas swoimi potencjami ludnościowymi. Piłsudski miał rację oceniając, że pomiędzy Rosją a Niemcami przetrwać może tylko mocarstwo a nie państwo średniej wielkości. Owa tromtadracja mocarstwowa, która doszła do szczytu po śmierci Piłsudskiego była nie tylko śmieszną manifestacją megalomanii lecz i przejawem podświadomego instynktu, który mówił nam, że Polska, by przetrwać, powinna być wielka. Ci sami ludzie, którzy przeklinali Piłsudskiego za wyprawę kijowską — w 18 lat później wygłaszali mocarstwowe slogany. Lecz wówczas było już za późno myśleć o mocarstwowości.

Anglicy czy Francuzi mogą na dzień duszy żałować przedwojennej Europy z „koncertem” suwerennych mocarstw, które nie oglądając się ani na Moskwę ani na Waszyngton decydowały o losach naszego kontynentu. Lecz Polacy nie mają powodu podzielać owych sentymentów, ponieważ w Europie suwerennych mocarstw nie było miejsca na niepodległą Polskę.

Przegraliśmy naszą szansę w 1920 r. ponieważ nie zdołaliśmy odbudować Polski mocarstwowej. Nie byliśmy już narodem mocarstwowym i dlatego koncepcja Piłsudskiego nie spotkała się z solidarnym masowym poparciem społeczeństwa, co było niezbędnym warunkiem sukcesu. Piłsudski miał za sobą tysiące dzielnych Kmiciców i Wołodyjowskich lecz nie miał wokół siebie budowniczych imperium, ani nie miał za sobą mocarstwowo myślącego społeczeństwa.

Historycznie, jesteśmy starym narodem — znacznie starszym niż Rosjanie. Fazę imperialno-mocarstwową mamy już za sobą i nikt nie robi z Polaków narodu imperialnego, tak, jak nikt nie robi narodu imperialnego z Hiszpanów. Zarówno Hiszpanie jak i my mieliśmy wielkie dni przed stuleciami.

Choć dziś jesteśmy państwem satelickim nasze perspektywy na dalszą przyszłość są lepsze niż w latach poprzedzających drugą wojnę światową. Jesteśmy nadal pomiędzy Rosją a Niemcami i jak dawniej nie można wyłączyć porozumienia rosyjsko-niemieckiego. Jednak Niemcy są podzielone i nie w pełni suwerenne. Na terenie zachodnich Niemiec stacjonują wojska amerykańskie. Europa suwerennych mocarstw, której świetność i rozkwit przypada na wiek XIX, kiedy Polska nie istniała nawet w formie państwa satelickiego — owa Europa należy do przeszłości.

Osobiście nie wierzę w restaurację Europy jako samoistnej „trzeciej siły”. Skłaniam się do poglądu wielu ekonomistów amerykańskich, że pod koniec bieżącego stulecia Japonia zdobędzie pozycję trzeciego super-mocarstwa świata.

Jestem przekonany, że rola Stanów Zjednoczonych w Europie będzie wzrastać a nie maleć. Z chwilą gdy Rosjanie przystąpili do budowy systemu obrony przeciw-rakietowej (ABM) — europejskie mini-potencjały atomowe zredukowały się niemal do zera. Być może sowiecki system ABM nie ochroniłby w pełni Rosji przed masowym amerykańskim atakiem atomowym — sądzę jednak, że można przyjąć za pewne, że ochroniłby całkowicie Związek Sowiecki przed atakiem miniaturowych sił atomowych francuskich czy brytyjskich.

Rosjanie będą mieli system ABM — natomiast nie wydaje się by Europa miała kiedykolwiek swój system ABM. W sumie, należy stwierdzić, że bezpieczeństwo Europy zachodniej w jeszcze większej mierze niż do tej pory — zależeć będzie od Stanów Zjednoczonych. Koncepcja suwerenności w oparciu o mini-potencjał atomowy okazała się na terenie Europy kosztownym niewypałem.

Od czasu do czasu w prasie światowej ukazuje się drobna wiadomość, która rzuca snop światła na niezmiernej wagi problem.

Arnaud de Borchgrave cytuje w swym artykule (*Newsweek* 16. X. 1967) charakterystyczne wyniki badań jednego z biur analizy opinii publicznej. Według cytowanych danych okazuje się, że tylko jeden Francuz na pięciu odnosi się z pewnym zaufaniem do Niemiec. W Niemczech sytuacja kształtuje się niemal identycznie. Równocześnie te same badanie wykazały, że Niemcy znacznie bardziej ufają Amerykanom niż Francuzom — a Francuzi ufają znacznie bardziej Amerykanom niż Niemcom.

Amerykanie nie wyjdą z Europy ponieważ narody europejskie bardziej ufają Stanom Zjednoczonym niż sobie nawzajem. I to jest czynnik może ważniejszy niż stale rozszerzająca się przepaść pomiędzy technologiczną potęgą Stanów Zjednoczonych a Europą.

Wszystko to oznacza, że choć Polska jest oczywiście nadal pomiędzy Rosją a Niemcami — to jednak ów fakt posiada dziś inny sens niż 30 lat temu. Nasz los przestał być funkcją stosunku Rosji do Niemiec i jest dziś w pewnej mierze funkcją stosunku Rosji do Stanów Zjednoczonych. Jakikolwiek zmiany w Europie wschodniej i środkowej nastąpić mogą tylko w konsekwencji porozumienia między Waszyngtonem a Moskwą. Żadne z mocarstw europejskich indywidualnie czy zbiorowo nie może zmienić *status quo* na kontynencie.

Mówiąc o *status quo* mamy zawsze na myśli „żelazną kurtynę”. W gruncie rzeczy *status quo* obejmuje jednak zarówno wschód jak i zachód Europy. W równej mierze Polacy nie mogą zmienić granicy polsko-czechosłowackiej jak Niemcy nie mogą przesunąć o milimetr swojej granicy z Francją. Nie wszystkie państwa europejskie są satelitami — lecz żadne państwo europejskie ani indywidualnie ani zbiorowo nie może pertraktować z Rosją czy ze Stanami Zjednoczonymi jako równy z równym.

Sowiety w ostatnich latach rozbudowały wydatnie konwen-

cjonalne siły zbrojne i prawdopodobnie byłyby zdolne zająć całą Europę zachodnią bez stosowania broni atomowej. Korespondenci pism amerykańskich w Związku Sowieckim podkreślają w swych ocenach politycznych paranoiczny lęk Rosjan przed zbliżeniem amerykańsko-chińskim. Wielu Rosjan podejrzewa, że Amerykanie po kryjomu pomogli Chińczykom w konstrukcji broni atomowej. Sowieccy specjaliści mają bardzo złą opinię o chińskiej technologii i trudno im uwierzyć, że Pekin wyprodukował broń nuklearną bez żadnej pomocy z zewnątrz.

Gdyby Rosjanie konwencjonalnymi siłami zajęli Europę Amerykanie nie zaryzykowaliby atomowego bombardowania Związku Sowieckiego. Lecz wówczas Waszyngton musiałby podjąć bardzo nieortodoksyjną politykę, by przywrócić zachwiany światowy *balance of power*. Zbliżenie z Chinami — choćby za cenę znacznych koncesji — byłoby wówczas posunięciem oczywistym w swej bezpośredniej celowości.

Bezpieczeństwo Europy w znacznej mierze zależy od sytuacji w Azji. Gdyby po śmierci Mao Tse-tunga doszło do wyrównania stosunków sowiecko-chińskich polityka Moskwy w Europie nabrałaby cech agresywnych. Nie oznacza to, że Rosjanie ruszyliby na podbój Francji — sądzę jednak, że usiłowałiby narzucić jednostronne rozwiązanie problemu Berlina.

Kwestia polska była przez stulecia kwestią ściśle i wyłącznie europejską. Zarówno dla księcia Adama Czartoryskiego jak i dla Adolfa Bocheńskiego — kwestia polska zaczynała się i kończyła w Europie. Tak dla Czartoryskiego jak i dla Bocheńskiego Europa była nie tylko koncertem suwerennych państw lecz i kontynentem, który tworzył Historię i przywodził światu.

Pewni historycy twierdzą, że starożytny Rzym upadł ponieważ 60 % swojego budżetu poświęcał na opłacanie widowisk. Europa upadła nie na skutek dekadencji ani nie na skutek klęski wojennej. Europejczycy wyprodukowali zmierzch swojego kontynentu w laboratoriach. Wynalazki i odkrycia naukowe, które stanowią fundament współczesnej technologii — powstały w Europie. Okazało się jednak, że technologia wymaga gigantycznych środków finansowych i bazy wielkoprzestrzennej ekonomii. Wyhodowaliśmy czarodziejską roślinę lecz Europa jest zbyt małą „doniczką” by owej roślinie zapewnić odpowiednie warunki rozwoju. Współczesna technologia — w 90 % pochodzenia europejskiego — przekształciła dwa poza-europejskie państwa-kontynenty w super-mocarstwa, których pojawienie się na scenie historycznej spowodowało zmierzch Europy.

Kwestia polska przestała być zagadnieniem ściśle europejskim, ponieważ dziś już nie ma zagadnień ściśle europejskich. Czy to jest zwrot na lepsze, czy na gorsze?

Mimo, że 10 wieków naszej historii łączy nas z Europą suwerennych mocarstw przywodzących światu, mimo, że Polacy są i zawsze byli patriotami europejskimi — w moim przekonaniu nie mamy powodu ronić łez na pogrzebie Europy dawnego stylu.

Gdyby kwestia polska była nadal kwestią ściśle europejską

oznaczałoby to zepchnięcie Polski w sytuację bez wyjścia. Pomiędzy Rosją a potężnymi, zjednoczonymi Niemcami bez kontrolera amerykańskiego — dla nas nie byłoby miejsca. Ci, którzy wysuwają jako odpowiedź program federacyjny — zapominają, że w takim układzie Niemcy po prostu nie zgodziliby się na żadną federację. Wystarczyłoby aby Berlin dał do zrozumienia Czechosłowakom i Węgrom, że federację z Polską uważa za akt nieprzyjazny w stosunku do Niemiec.

Potężne Niemcy nie kontrolowane przez nikogo — wysuwałyby pod naszym adresem niekończące się nigdy żądania terytorialne. Sojusz z Rosją przeciwko Niemcom — czy sojusz z Niemcami przeciwko Rosji — czy ani z Rosją ani z Niemcami w biernym oczekiwaniu rosyjsko-niemieckiego porozumienia — każdy z owych wariantów oznacza katastrofę.

Historyczną lekcję międzywojennego dwudziestolecia można ująć następująco. W niezależnej Europie suwerennych państw Polska może być albo mocarstwem albo Królestwem Kongresowym lub Generalną Gubernią. W naszym położeniu geograficznym w Europie dawnego stylu przetrwać mogło tylko mocarstwo a nie państwo średniej wielkości jak druga Rzeczpospolita.

Sceptyczny Czytelnik zauważy w tym miejscu, że super-mocarstwom coraz trudniej jest kontrolować mniejsze państwa. Jeżeli Rumunia w pewnej mierze wyłamała się z linii sowieckiej — gdzież są gwarancje, że Niemcy nie wyłamią się pewnego dnia spod opieki i kontroli amerykańskiej?

Emancypacja małych i średnich państw europejskich w obu strefach wpływów z całą pewnością będzie postępowała, co oczywiście jak najbardziej leży w polskim interesie. Super-mocarstwa nie rezygnują jednak z wyłączności w decydowaniu o sprawach wojny i pokoju. Niemcy mogą być mniej lub bardziej suwerenne lecz Moskwa i Waszyngton nie zgodzą się na układ który umożliwiłby Niemcom jednostronną decyzją zdetonowanie trzeciej wojny światowej. Gdyby Federalna Republika zechciała wyzwalać Niemcy wschodnie — Amerykanie użyliby najostrzejszych środków by zlikwidować owo „wyzwolenie” w zarodku. I odwrotnie, gdyby komuniści wschodnio-niemieccy zechcieli „wyzwalać” Federalną Republikę zostaliby brutalnie przywołani do porządku przez władze sowieckie.

Młodzi ludzie wychowani w powojennej Europie nie dziwią się niczemu. Dla mnie jednak — wychowanego w Europie suwerennych mocarstw — przepełniony Berlin jest zjawiskiem bardziej zdumiewającym niż lot na księżyc. W Europie dawnego stylu państwo dwukrotnie mniejsze od Niemiec nie zgodziłoby się nigdy na przepełnienie swojej własnej stolicy. Lecz dziś Berlin w pierwszej linii jest problemem amerykańsko-sowieckim a dopiero w następnej kolejności problemem europejskim i niemieckim. Dla Niemców Berlin jest zagadnieniem podstawowym i pilnym. Dla Rosjan i Amerykanów Berlin nie jest problemem ani podstawowym ani pilnym tylko jednym z wielu.

W Europie krystalizują się bardzo wolno nastroje neutralis-

tyczne. Neutralistyczne nastroje nurtują społeczeństwa, co znajdzie z czasem wyraz w politykach rządów. Kwestionuje się wysokość budżetów zbrojeniowych nawet w Niemczech i nawet w Niemczech mówi się o redukcji sił zbrojnych. Zarówno NATO jak i Pakt Warszawski tracą wyraźnie rozmach i dynamikę.

Trudno się dziwić tym reakcjom. „Człowiek na ulicy” wnioskuję następująco: jeżeli ktoś został pozbawiony prawa jazdy na całe życie — byłby szaleńcem gdyby opodatkowywał się na kupno kosztownego samochodu. Po co mamy wydawać miliardy na zbrojenia jeżeli odebrano nam prawo decydowania o wojnie i pokoju. Bez względu na to czy będziemy uzbrojeni czy nie będziemy uzbrojeni — o wojnie i pokoju decydować będą Waszyngton i Moskwa a nie stolicę europejskie.

Oczywiście rządy i *establishment* myślą jeszcze tradycyjnie i ewolucja w kierunku neutralizmu będzie postępowała wolno.

Siły zbrojne mają sens jeżeli można nimi zmienić, względnie obronić *status quo*. Żadna z europejskich sił zbrojnych nie odpowiada powyższemu kryteriom. Siły zbrojne Niemieckiej Republiki Federalnej stoją na straży *status quo* bo tego sobie życzy Waszyngton. Równocześnie rząd Federalnej Republiki głosi program *rewizji status quo*.

Nie ma polityki wolnej od sprzeczności. Lecz postęp i ewolucja zmierzają zawsze w kierunku eliminowania sprzeczności. Neutralne Niemcy w ramach neutralnej Europy wydają się daleko bardziej prawdopodobnym rozwiązaniem niż w pełni suwerenne Niemcy z własnymi broniąmi atomowymi.

Europejczyści tak wschodni jak i zachodni nie mają powodu dłużej „bawić się w Indian” — ponieważ choć wolno im produkować kosztowny sprzęt — nie wolno im go użyć. „Zabawa w Indian” została na naszym kontynencie w całości zmonopolizowana przez Rosjan i Amerykanów. Można przyjąć za pewnik, że nie będzie żadnej wojny europejskiej. Na terenie Europy może wybuchnąć tylko wojna sowiecko-amerykańska — żadna inna.

Pomimo, że jesteśmy dziś państwem satelickim uważam, że Polska pomiędzy Rosją a Ameryką jest w lepszej sytuacji niż kiedy była pomiędzy Rosją a suwerennymi Niemcami. Polska jest państwem satelickim lecz istnieje na mapie Europy i z mapy Europy nie zniknie. Kontrahentem Rosji na kontynencie są Stany Zjednoczone a nie Niemcy i szanse odwrócenia sojuszków i porozumienia rosyjsko-niemieckiego są mniejsze niż kiedykolwiek w przeszłości. Wylimitowanie Niemiec jako dominującego mocarstwa na kontynencie stwarza dla Polski możliwość przekształcenia się w pierwszoplanowe państwo wschodnioeuropejskie i zdobycie pozycji głównego partnera Rosji. Warunkiem ewolucji po tych liniach jest nie tylko stopniowe uładzenie kontynentu i rozwiązanie kwestii niemieckiej — lecz również odnalezienie historycznego sensu Polski w nowej Europie, w niczym do dawnej niepodobnej.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Sowiecki bilans październikowej rewolucji

W dniu 25 czerwca „Prawda” ogłosiła na 4 stronicach *Tezy* Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego, poświęcone 50-tej rocznicy rewolucji październikowej. Dokument ten, liczący 25.000 słów, zawiera 22 tezy zgrupowane w trzech rozdziałach. Rozdział pierwszy mówi o „ostatecznym zwycięstwie socjalizmu”, drugi — o „budowie komunizmu”, trzeci — o „rozwoju rewolucyjnym świata”. Korespondent moskiewski *Humanité* wskazał w swej depeszy, że ten „tekst podstawowy, opracowywany przez szereg miesięcy, jest kwintesencją obecnej sowieckiej myśli marksistowskiej”. Dodawał on, że „tekst ten analizuje w sposób krytyczny pół wieku historii pierwszego państwa socjalistycznego świata”.

Tezy zmierzają do udowodnienia stałego wzmacniania się państw i partii komunistycznych sprzymierzonych z wyzwolńczymi ruchami narodowymi. To udowadnianie jest do tego stopnia systematyczne, że przedstawia jako stały i nieustanny postęp to, co w życiu było serią postępów i cofań się, sukcesów i niepowodzeń. Autorzy *Tez* nie uwzględnili dostatecznie dialektyki historii i pół stulecia walk i konkretnych akcji sprowadzili do jakiegoś abstrakcyjnego schematu.

Czytający ten tekst ma wrażenie, że znalazł się wewnątrz zamkniętego świata, w którym nie istnieje żadna wątpliwość. Wszystko jest tam „naukowe”: i teoria, i działanie. Mimowoli nasuwa się pytanie, jak owo, tak „naukowe”, działanie mogło doprowadzić do tak ciężkich błędów, jak ten, który się wyraził w 25 latach „kultu jednostki”.

— *Eppur si muove* — ma się ochotę powiedzieć za Galileuszem. Bo w ten świat absolutnych pewników wkrada się myśl empiryczna, która przesłania twierdzenia doktrynalne. Stąd w dokumencie ta „dwoistość” stanowiska, jednocześnie dogmatycznego i pragmatycznego, w którym dogmat dominuje nad teorią, empiryzm zaś narzuca się praktyce. Dwoistość na dłuższą metę nie do utrzymania, czyniąca jałowymi zarówno myśl jak i działanie.

W *Tezach* pełno jest twierdzeń kategorycznych, i — co jest rzeczą zmienną — określenie „absolutny” jest prawie tak częste jak „naukowy”, widocznie autorzy nie zdawali sobie sprawy z tego, że te dwa określenia są ze sobą niezgodne. Tekst twierdzi, że „klasa robotnicza, cały naród sowiecki udowodnił swą absolutną wierność dla idei komunizmu”. A także, że „przejście od socjalizmu do komunizmu jest procesem nieuniknionym”. A przecież Marks zapowiadał w swoim czasie „albo socjalizm, albo cza-

sy barbarzyństwa". Tej drugiej alternatywy *Tezy* nie dopuszczają, nawet w wypadku wojny atomowej...

W przeciwstawieniu do sztywnego stanowiska maoistów, którzy wierzą, że wojna światowa mogłaby przyspieszyć nastanie socjalizmu, *Tezy* głoszą stosowanie taktyki „giętkiej i zróżnicowanej”, wykorzystywanie „środków walki pokojowych i niepokojowych, legalnych i nielegalnych”. Stawiając na tej samej płaszczyźnie te różne formy walki przywódcy sowieccy odmawiają pierwszeństwa akcji rewolucyjnej, wbrew stanowisku Lenina. Odnoszą się oni z nieufnością do partyzantki chłopskiej tak skutecznej w Wietnamie i szerzącej się w Ameryce Łacińskiej, która jednak odgrywała tylko drugorzędną rolę w wojnie domowej w Rosji. Co do tego punktu rozbieżność między nimi a Castryzmem jest podstawowa i żadna pomoc materialna dla Kuby nie może jej przesłonić.

W sprawie odchyień, *Tezy* potępiają „trockistów, którzy pod pokrywką lewicowej frazeologii starali się narzucić linię awanturniczą”, i którzy, domagając się wolności dla walki międzyfrakcyjnej wewnątrz partii, staczali się „na tory antysowietyzmu”. Jednocześnie oportuniści prawicowi oskarżani są o „ducha kapitulacji”. Jesteśmy więc daleko od oskarżeń o szpiegostwo i zdradę z czasów ery stalinowskiej, i widzimy dyskretne przejście od terminu „zdrada” do terminu „odchylenie”. Żaden z kierowników opozycji nie jest wymieniony i żaden nie został dotąd rehabilitowany.

Przyspieszone uprzemysłowienie i przymusowa kolektywizacja wsi nie spotykają się z żadną krytyką. „Okrażenie kapitalistyczne zmusiło ZSSR do przeprowadzenia przemian w niezwykle krótkich terminach” — piszą autorzy *Tez*. Nie wspominają oni ani słowem o ostrzeżeniach ze strony lewej opozycji, która od lat 1925-26 głosiła konieczność szybszego uprzemysłowienia kraju, gdy Stalin sprzymierzony z Bucharinem wypowiadał się wówczas za budowaniem socjalizmu „w złotym tempie” i proklamował wieczne przymierze z zamożnym włościanstwem.

„Utworzenie kołchozów odbywało się w zacieklej walce przeciw kułakom” — mówią *Tezy*. — „Opór wyzyskiwaczy wiejskich został złamany dzięki wysiłkom klasy robotniczej i biednego chłopstwa, przy ścisłym współdziałaniu z chłopstwem średniozamożnym”. Ten idylliczny obraz kolektywizacji rolnictwa pomija milczeniem deportację jakichś pięciu milionów chłopów, wśród których nie brakło biedaków, tyle tylko, że przywiązanych pomimo ubóstwa do swojej gospodarki rodzinnej.

Obie konstytucje, ta z roku 1924, i ta z roku 1936 — traktowane są jako „wydarzenia o olbrzymim znaczeniu historycznym”. Konstytucja z roku 1924 uświęcała charakter federacyjny i wielonarodowy państwa sowieckiego i pomijała wszelkie powoływania się na Rosję, która stawiała się tylko jedną z republik federalnych. Było to zatem — przynajmniej w intencjach Lenina — wyrzeczenie się hegemonii narodu rosyjskiego. *Tezy* zaś podkreślają, że „w realizacji narodowej polityki leninowskiej, wielka

rola przypadła rosyjskiej klasie robotniczej, ludowi rosyjskiemu". Nieco dalej *Tezy* podejmują ideę przewodnią Stalina, twierdząc, że „język rosyjski odgrywa rolę instrumentu przy porozumiewaniu się między sobą różnych narodów” Związku Sowieckiego.

W kwestii narodowościowej tradycja stalinowska trwa nadal, aczkolwiek zamaskowana. To prawda, że całe ludy deportowane na rozkaz Stalina pod oficjalnym oskarżeniem współdziałania z wrogiem, zostały rehabilitowane. Ale prawo narodów do stanowienia o sobie, aż do oderwania się włącznie, nigdy nie było stosowane, cały obszar ZSSR rządzony jest z Moskwy, zaś autonomia republik federacyjnych czy autonomicznych ma bardzo wąski zakres.

Prawdą jest, że poczyniono ogromne postępy w prowincjach zacofanych ZSSR i nie można zaprzeczyć istnienia pewnej tendencji do wyrównania poziomu życia. Związek Sowiecki zdołał przeprowadzić dekolonizację gospodarczą ludów tubylczych, zapewnił im szybki rozwój kulturalny, dbał o to, by z kultury „narodowej w swej formie, socjalistycznej w swej treści” mogły korzystać wszystkie terytoria i wszystkie grupy narodowe (z jednym tylko wyjątkiem — Żydów). Niestety — formuła ta, słuszna może w ujęciu abstrakcyjnym, doprowadziła do niejako automatycznego przekazywania kultury narodu panującego, to znaczy kultury rosyjskiej, w języki ludów mniejszościowych.

Tymczasem Lenin pragnął czegoś zupełnie innego. Pragnął on, i popierał z całą siłą, rozkwit kultur narodowych w tym, co stanowiło ich oryginalny charakter, i uważał, że дума narodowa Wielkorusów powinna im nakazywać zwalczanie tendencji asymilacyjnych „rusyfikatorów”. Okazał to przy sprawie gruzińskiej gdy zarzucał „szowinizm wielkoruski” Stalinowi (Gruzinowi) i Dzierżyńskiemu (Polakowi).

Konstytucja z roku 1936 ogłoszona w okresie masowych czystek przyznaje obywatelom swobody i prawa, które nigdy nie znalazły zastosowania. Głosi ona, że socjalizm został w ZSSR zrealizowany, gdy dla Lenina przymiotnik „socjalistyczny” figurujący w nazwie Związku Sowieckiego wskazywał tylko cel do osiągnięcia, a nie zamierzenie już zrealizowane. Czyż można zresztą zdecydować dekretem o stawianiu się nowego ustroju społecznego? O ile rewolucja wyznacza wyraźnie zerwanie ciągłości, o tyle przejście od okresu pośredniego między kapitalizmem a socjalizmem, okresu w czasie którego współistnieją i przeciwstawiają się sobie dawne i nowe warunki życia i produkcji, — do ery socjalizmu integralnego, jest długim procesem historycznym. To dopiero wnuki budowniczych socjalizmu będą miały kwalifikacje po temu, aby orzec *a posteriori*, w jakim stadium rozwoju zniknęły ostatecznie ślady kapitalizmu nie tylko w systemie produkcji, ale i w dziedzinie stosunku człowieka do człowieka.

Nowa Konstytucja, bardziej liberalna, jest w przygotowaniu od szeregu lat. Od usunięcia Chruszczowa przestano jednak o niej mówić.

Tezy usprawiedliwiają pakt niemiecko-sowiecki z września 1939 roku, mówiąc: „ZSSR zawarł z Niemcami pakt o nieagresji, który pomieszał rachuby imperialistów i pozwolił wygrać na czasie”. Krytyki dotyczą tylko „błędów popełnionych przy ocenie ewentualnego momentu napadu ze strony Niemiec hitlerowskich... i stąd wynikłych zaniedbań w przygotowaniu odporu”. Nie ma wzmianki o odpowiedzialności osobistej Stalina za początkowe klęski. Nazwisko dyktatora wymienione jest tylko w zdaniu: „Utworzona została Rada Obrony Państwa pod przewodnictwem Józefa Stalina”. Trudno jest o większą lakoniczność i dyskrecję.

„Bezsprzecznym wnioskiem, jaki należy wyciągnąć z wojny, jest to, że nie ma na świecie takiej siły, która by mogła zniszczyć socjalizm” — proklamują *Tezy* — „krajowi naszemu nie może już zagrozić niebezpieczeństwo odrodzenia się kapitalizmu”. Zapewne jest w tym dużo prawdy: obalenie ustroju, który zakorzenił się tak głęboko w ciągu pięćdziesięciu lat wydaje się nieprawdopodobne. Ale nie jest to „bezspreczny wniosek, wynikający ze zwycięstwa militarnego”. Jedną wojnę można wygrać drugą przegrać.

Tekst potępia „kult osobowości Stalina, który wykazywał sposób myślenia obcy marksizmowi-leninizmowi, wyolbrzymiając rolę jednego człowieka, odbiegając od leninowskich zasad zbiorowego kierownictwa i dopuszczając się bez powodu represji i pogwałceń socjalistycznej praworządności”. Tekst dodaje tu, że „te pogwałcenia nie zdołały zmienić głębokiego charakteru społeczeństwa sowieckiego i nie zachwiały podstawami socjalizmu”.

Czyż można „dopuszczać się bez powodu represji i pogwałceń legalności socjalistycznej”? Nigdy dotychczas nie spróbowano w ZSSR zanalizowania przyczyn obiektywnych, które pozwoliły dyktaturze stalinowskiej zaistnieć. Nie wystarczy tu mówić o odpowiedzialności osobistej Stalina, bo w ten sposób powraca się do dawnych i jakże niewystarczających koncepcji, według których historię kształtują wielcy ludzie, dobrzy lub źli. Marksizm szukał zawsze wytłumaczenia wydarzeń historycznych przez stosunki produkcyjne, przyznając jednostkom, nawet najwybitniejszym, tylko rolę dość epizodyczną. Dopuszczając, że pewne wydarzenia mogły mieć miejsce *bez powodu* — *Tezy* wyrzekają się dania im rozumowego wytłumaczenia, nie mówiąc już o tym, że takie stanowisko nie ma nic wspólnego z analizą materialistyczną.

Jeżeli „głęboki charakter” i „fundamenty socjalizmu” ograniczyć do struktur społeczno-gospodarczych — to twierdzenie *Tez* można uznać za usprawiedliwione. Ale jeśli realizacja socjalizmu ma przynosić ze sobą koniec alienacji i uzależnień oraz powstawanie zgrupowań producentów swobodnie stowarzyszonych — wówczas dwadzieścia pięć lat ucisku stalinowskiego odsunęło na dziesiątki lat nadejście społeczności socjalistycznej wolnej od przymusów i więzów.

„Obywatele sowieccy” — piszą *Tezy* — „nie znają już lęku

przed bezrobociem i ubóstwem". Jest to prawda, jeśli chodzi o bezrobocie, które istotnie nie istnieje w ZSSR, ale nie jest to ścisłe, gdy chodzi o ubóstwo. Wystarczy znać poziom życia chłopów kołchozowych i robotników niewykwalifikowanych, aby zdać sobie sprawę z tego, że pomimo olbrzymich postępów, ludność sowiecka zna ciągle biedę. A nawet jeśli chodzi o bezrobocie, to reformy ekonomiczne, wprowadzane obecnie w życie, dając dyrektorom fabryk dysponowanie masą globalną płac, pozwalają im na dowolne zmniejszanie ilości robotników. Już w Jugosławii, w Polsce, w Czechosłowacji i na Węgrzech pojawia się nowa „rezerwowa armia przemysłowa”.

„Kraj stał przed alternatywą: albo zgodzić się na dobrowolne ograniczenie poziomu życia... albo zostać zniszczonym przez zjednoczone siły reakcji” — mówi tekst. Każda początkowa akumulacja, zarówno kapitalistyczna jak i socjalistyczna, wymaga ofiar i ograniczenia poziomu życia. Należało tu jednak sprecyzować, kto chciał tych ograniczeń i komu zostały one narzucone.

BUDOWANIE KOMUNIZMU

Rozdział drugi *Tezy* traktuje o „budowaniu komunizmu”, które zostało umożliwione przez „ostateczne zwycięstwo socjalizmu w ZSSR”. Zasadą socjalizmu jest: „każdemu stosownie do jego pracy”, zasadą komunizmu: „od każdego stosownie do jego zdolności, każdemu — stosownie do jego potrzeb”. „Przejdźcie od jednego do drugiego nie odbędzie się spontanicznie. Jest rzeczą niezbędną — precyzują *Tezy* — stworzyć odpowiednie do tego podstawy materialne i techniczne”.

A więc *Tezy* uznają, że obecnie nie istnieje w ZSSR podstawa materialna i techniczna dla komunizmu. Kiedy zostanie ona stworzona? Chruszczow w swoim raporcie o nowym programie, który wygłosił na XXII Kongresie Partii w grudniu 1961 roku wyznaczał początek ery komunistycznej na lata około roku 1980. Jego następcy, bardziej ostrożni, nie mówią o żadnym określonym terminie. A co do Mao Tse-tunga — to przewiduje on terminy nieskończenie dłuższe: okres wielu pokoleń, czy nawet kilku stuleci.

Czy zbudowanie ustroju komunistycznego możliwe jest w ZSSR? *Tezy* stoją na stanowisku, że tak, dzieląc co do tego punktu opinie Chruszczowa. Natomiast w czasie polemik o możliwości budowania socjalizmu w jednym tylko kraju, Stalin, który wbrew lewej opozycji podtrzymywał ten punkt widzenia, przyznawał wielokrotnie, że komunizmu jednak nie można zrealizować inaczej, jak w skali światowej. Dopiero po drugiej wojnie światowej i po zwycięstwie rewolucji w Chinach Stalin, powołując się na nowy układ sił na terenie świata dopuszczał ewentualność zbudowania komunizmu w ZSSR.

Zamiast jednak wybiegać w daleką przyszłość, czyż nie byłoby lepiej zastanowić się nad teraźniejszością i postawić sobie py-

tanie, czy zasada: „każdemu stosownie do jego pracy” jest dziś w ZSSR stosowana? Zapewne — wszyscy pracownicy z wyjątkiem kołchoźników, otrzymują płacę roboczą, ale hierarchia płac jest o wiele szersza i wyższa, niż hierarchia kwalifikacji zawodowych. Rozpiętość pierwszej hierarchii, jest jak 1 do 50, drugiej — jak 1 do około 10. Inaczej mówiąc — płace najwyższe reprezentują nie tylko wynagrodzenie za pracę danej jednostki, ale także premie, mające na celu pobudzenie produkcji i rozwijanie kwalifikacji zawodowych. Premie te pochodzą z przeniesienia wartości stwarzanych przez inne kategorie pracowników, a mianowicie pracowników rolnych, którzy z kolei otrzymują płace niższe, niż wartość ich siły roboczej.

Pewne ściśnięcie tej hierarchii płac miało miejsce w ZSSR za czasów Chruszczowa. Zarobki najniższe zostały podwyższone, płace najwyższe — obniżone. W ten sposób pewne nadużycia ery stalinowskiej uległy pewnej poprawie, jednak zróżnicowanie płac pozostaje nadal bardzo duże i prawdopodobnie pozostanie tak długo, dopóki kwalifikacja zawodowa masy producentów nie osiągnie wyższego poziomu. „W okresie socjalizmu” — przyznają *Tezy* — „zachowuje się zróżnicowanie społeczne i ekonomiczne, stosownie do charakteru pracy”, gdyż „zrównanie dochodów zniszczyłoby zainteresowanie pracowników”. Tylko wielcy tego reżymu żyją w nim tak, jakby komunizm był już zrealizowany, gdyż Państwo zaopatruje ich we wszystko, czego tylko potrzebują. I to do tego stopnia, że często nie zdają oni sobie sprawy z siły nabywczej rubla i z rzeczywistych warunków istnienia przeciętnego człowieka.

Możemy tu jedynie wspomnieć o cyfrowych wynikach osiągniętych w dziedzinie gospodarczej, społecznej i kulturalnej. Są one uderzające, i nikt w dobrej wierze nie może zaprzeczyć temu, że ZSSR wyszedł z okresu niedorozwoju i że stał się wielkim mocarstwem przemysłowym. Chociaż trzeba mu jeszcze wielu wysiłków i czasu, aby „dośćgnąć” poziom produkcji na głowę mieszkańca Stanów Zjednoczonych, i chociaż perspektywa prześcignięcia tych ostatnich rozplywa się w nieokreślonej przyszłości — to niemniej prawdą jest, że ZSSR zdołał w rekordowym czasie i swymi własnymi środkami osiągnąć mniej więcej obecny poziom produkcji krajów przemysłowych Zach. Europy.

Stwierdziwszy to, musimy jednak zauważyć, że *Tezy* przesadnie upraszczają sytuację, podkreślając, że „średni roczny wzrost produkcji przemysłowej w latach 1929-1966 wynosił w ZSSR 11,1 %, w Stanach Zjednoczonych 4 % a w Wielkiej Brytanii i Francji — 2,5 %”, i że „swym rytmem wzrostu gospodarczego kraje socjalistyczne przewyższają kraje kapitalistyczne”. Cyfry te są prawdziwe, ale tendencja z nich wysnuta nie jest prawdziwa. W rzeczywistości bowiem rytm rozwoju gospodarczego, który był bardzo szybki w ZSSR w okresie pierwszych pięciolatek i odbudowy powojennej, słabnie, co jest rzeczą normalną w kraju rozwiniętym przemysłowo. Rytm ten jest obec-

nie bliski 8 % przyrostu rocznego. Ze swej strony kraje kapitalistyczne Europy Zachodniej osiągnęły 5 % przyrostu rocznego.

Ta tendencja do zwalniania się postępu gospodarczego w ZSSR da się wytłumaczyć dwoma względami: przede wszystkim tym, że akumulacja prymitywna w kraju rolniczym jest o wiele szybsza niż rozszerzona reprodukcja w kraju przemysłowym, a następnie tym, że autorytatywne i ultra-centralistyczne metody kierowania gospodarką, które w początkach uprzemysłowienia dawały wyniki względnie zadawalające w warunkach braku robotników i wykwalifikowanych techników — nie odpowiadają już obecnym koniecznościom. Stąd też obecna reforma metod gospodarczych, zaproponowana przez Libermana i Trapeznikowa, którą eksperymentuje się obecnie na wielką skalę w ZSSR.

Według *Tez* — „ta reforma gospodarcza oznacza nową koncepcję kierowania gospodarką: — powiązanie dyrekcji scentralizowanej ze swobodą działalności gospodarczej przedsiębiorstw, z bodźcami moralnymi i materialnymi, z korzyściami, jakie da się z nich wyciągnąć na podstawie socjalistycznej, ze względami handlowymi i monetarnymi, oraz związanymi z tym kategoriami zysku, cen, kredytu, etc.”.

Jest absurdem twierdzić, jak to czynią pewni ekonomiści zachodni i kierownicy chińscy, że w ZSSR odbywa się odbudowywanie kapitalizmu. Po prostu, aby położyć kres sklerozie biurokratycznej i konserwatyzmowi ludzi na stanowiskach, trzeba było dać bodźca produkcji nie tylko przez zachętę materialną, ale też przez wprowadzenie do pewnego stopnia praw rządzących rynkiem. A więc koszty produkcji mają być obecnie dokładnie obliczane i produkcje nieopłacające się zostaną zaniechane z wyjątkiem dziedzin czołowej techniki i obrony narodowej. Kredyty państwowe udzielane są obecnie nie na przepadłe, ale są normalnymi pożyczkami nawet oprocentowanymi, co ma zapobiegać inwestycjom wyłącznie prestiżowym.

Tezy nie wspominają o pewnych ujemnych stronach centralistycznego zarządzania gospodarką, jak: zły gatunek towarów, opóźnienia dostaw, załamywanie się planu, etc. Nowa metoda planowania, bardziej elastyczna i bardziej licząca się z potrzebami i popytem, już pozwoliła ulepszyć wydajność pracy i gatunek wyrobów, oraz obniżyć koszty produkcji. Ponieważ jednak tylko większa część przemysłu, a w rolnictwie — tylko sowchozy zostały objęte nowym systemem, za wcześniej więc byłoby wydawać sąd ogólny na podstawie już obecnie zachęcających wyników tej reformy. Tym bardziej, że wynikły pewne trudności co do obliczania kosztów produkcji. Przejście od dawnego do nowego sposobu ich obliczania dało powód do powikłań i błędów, których skutki mogą ponieść robotnicy.

Tezy kładą akcent na zagadnienia, jakie stawia naukowe kierowanie procesów gospodarczych i społecznych, a mianowicie na „możliwie najszersze udoskonalenie kierownictwa planowanego i scentralizowanego, na rozwinięcie zasad demokratycznych

kierowania i wprowadzenie do udziału w kierownictwie szerokich mas pracowników”.

Kierownictwo gospodarcze pozostaje zatem scentralizowane. Pragnie się jednak dać jednocześnie procesowi gospodarczemu kierownictwo naukowe, stosując metody studiowania rynku, przewidywań, etc. Natomiast „zasady demokratyczne zarządzania” a przede wszystkim „wprowadzenie do udziału w zarządzaniu szerokich mas pracowników” istnieją li-tylko na papierze. Fabryczne komitety zawodowe nie mają w praktyce żadnych uprawnień gospodarczych. Konferencje w sprawach produkcji mają charakter czysto doradczy i mają na celu przede wszystkim pobudzenie inicjatywy pracowników w dziedzinie racjonalizacji pracy, drobnych ulepszeń, etc.

Zresztą, samorząd fabryczny wywoływał tylko ironię u Chruszczowa, gdy w czerwcu 1963 roku był on z wizytą w Jugosławii. W sytuacji dzisiejszej kierownictwo gospodarcze jest udziałem techników i kierowników partii. Próba Chruszczowa, by częściowo zdecentralizować kierownictwo przez stworzenie autonomicznych okręgów gospodarczych (sownarchozów) załamała się i powrócono do ministerstw centralnych, specjalizujących się w poszczególnych gałęziach przemysłu.

Według *Tez* — „władza ludu w kraju spoczywa przede wszystkim w sowietach”... Formuła podejmuje więc, choć mniej jaskrawo, słynny slogan z października 1917 roku: „Cała władza sowietom”. Trudno jednak uważać, aby sowiety sprawowały rzeczywistą władzę w ZSSR. To partia komunistyczna kieruje krajem i wyznacza kandydatów do sowietów na wszystkich szczeblach. Głosowanie na jedyne go kandydata jest tylko formalnością, wyborcy bowiem nie mają przed sobą żadnego wyboru. Partia mianuje wszystkich urzędników, włącznie z członkami rządu, zaś decyzja o zmianie ich przydziału lub odwołaniu pobierana jest przez kierownictwo partii i tylko zatwierdzana przez organy państwa sowieckiego. Wszystkie próby przeciwstawienia państwa partii kończyły się klęską tych, którzy podejmowali taką inicjatywę. Tak na przykład Rykow, przewodniczący Rady Ministrów, został usunięty przez Stalina, sekretarza generalnego partii. Tak też, po śmierci Stalina, Malenkow, przewodniczący Rady Ministrów, został usunięty przez Chruszczowa, który przedtem pozbawił go stanowiska pierwszego sekretarza partii. Tak wreszcie w październiku 1964 Chruszczow, który łączył te obie funkcje, mógł zostać usunięty od władzy, ponieważ zaniedbywał swe stanowisko kierownika partii na rzecz obowiązków szefa rządu.

„Ze zwycięstwem socjalizmu państwo dyktatury proletariatu staje się organizacją polityczną całego narodu, z klasą robotniczą na jego czele. Państwo całego narodu oznacza rozwinięcie państwa socjalistycznego w system komunistycznego samorządzenia się społeczeństwa” — piszą autorzy *Tez*. Idea „państwa całego narodu” rzucona była przez Chruszczowa, aczkolwiek jest ona

całkowicie obca marksizmowi. Według Engelsa „państwo jest narzędziem ucisku jednej klasy przez drugą”. Koncepcja państwa ponadklasowego pokrewna jest idei „Volksstaat” u Lassalle’a, którą ostro zwalczał w swoim czasie Marks.

Ta nowa koncepcja państwa zmierza do odrzucenia teorii Stalina, według której, im bliższy jest socjalizm, tym bardziej zażarta staje się walka klas i — w konsekwencji — tym bardziej konieczna jest czujność i represja policyjna. Poza tym, wydaje się rzeczą pewną, że na czele państwa nie znajduje się dziś klasa robotnicza, lecz, że hegemonię w państwie sprawuje nowa klasa średnia, która obejmuje różne warstwy uprzywilejowane kraju.

Co do „samorządzenia się komunistycznego” — to instytucja ta jeszcze nie istnieje, z wyjątkiem skromnych „sądów ludowych” powołanych do sądzenia drobnych wykroczeń. Samorządzenie ma zastąpić państwo socjalistyczne gdy zniknie racja bytu tego państwa, to znaczy, gdy nie będzie już konfliktów wewnętrznych i zewnętrznych. Na to nie można liczyć w bliskiej przyszłości. Ten zwrot o komunistycznym „samorządzeniu się” można chyba uważać za pośrednią aluzję do teorii marksistowskiej o zanikaniu państwa, o której starają się w Sowietach nie mówić.

Jeżeli państwo stało się państwem całego narodu, to partia komunistyczna, która kieruje tym państwem przestała być partią proletariatu. Istotnie — robotnicy stanowią mniejszość wśród członków partii, chłopi są jeszcze mniej liczni. Jeżeli nie brać pod uwagę pochodzenia społecznego — to większość członków partii komunistycznej Związku Sowieckiego należy do średniej i niższej sfery kierowniczej kraju.

Chociaż dyktatura proletariatu przekształciła się w państwo całego narodu — partia komunistyczna zachowuje nadal monopol władzy. W myśl zasady, że w społeczeństwie bez konfliktu klas nie ma uzasadnienia na istnienie kilku partii politycznych walczących ze sobą o władzę, — żadna partia opozycyjna nie jest tolerowana. Tak samo, zakazane jest istnienie zorganizowanych tendencji w łonie partii.

Za czasów przedrewolucyjnych monopartyjność i monolityzm nie figurowały w programie bolszewickim. To tylko szczególne okoliczności doprowadziły do tego, że partia bolszewicka zaczęła sama sprawować władzę po zerwaniu z lewymi socjal-rewolucjonistami z powodu pokoju brzeskiego. To dopiero Stalin podniósł do rangi dogmatu formę monopartyjną, jaką przybrała w ZSSR dyktatura proletariatu. On też w imię monolityzmu zdławił wszelką opozycję w łonie partii, podczas gdy za życia Lenina, chociaż istnienie zorganizowanych frakcji było od 1921 roku zakazane, jednak przed każdym kongresem odbywała się dyskusja publiczna na łamach prasy i we wszystkich organizacjach partyjnych. Demokracja sowiecka wyrodziła się zatem stopniowo w dyktaturę — najpierw partii, następnie — aparatu partyjnego, w końcu — szefa tego aparatu.

Według Marksa i Lenina, w miarę realizacji socjalizmu państwo i wraz z nim wszystkie formacje o charakterze politycznym powinny zanikać. *Tezy* natomiast utrzymują, że „rola partii wzrasta w miarę rozwoju socjalizmu”. Jest to zaniechanie naczelnej idei o zaniknięciu nie tylko państwa ale i wszelkich instytucji politycznych. W rzeczywistości partia obejmuje rolę państwa i jego funkcje, co jest o tyle łatwe, że już teraz państwo sowieckie sprowadzone jest do roli aparatu wykonawczego, i właściwą funkcję polityczną państwa sprawuje partia komunistyczna.

Tezy głoszą: „troska o czystość partii, o godność, z jaką każdy powinien nosić i usprawiedliwiać zaszczytny tytuł członka K.P.Z.S. jest jednym z naczelnich praw naszej partii”. Ta przechwałka nie jest zbyt cenna. Pewne elity, w szczególności część młodzieży, odwracają się od partii, zarzucają jej dogmatyzm i konserwatyzm, starają się oswobodzić od jej opieki i wskazań. Stąd też *Tezy* przywiązują doniosłość do „wychowania komunistycznego jednostki, łączącej w sobie wysokie walory ideologiczne, zamiłowanie do pracy i karność, bogate życie duchowe, czystość moralną i doskonałość fizyczną”. O ile wierność ideologiczna i praca zdyscyplinowana stanowią istotnie podstawy wychowania komunistycznego — o tyle głoszenie czystości moralnej i doskonałej formy fizycznej sprawia raczej wrażenie pobożnego życzenia graniczącego z utopią.

W sprawie sztuki i literatury *Tezy* trzymają się linii pośredniej, wypowiadając się za „realizmem socjalistycznym, którego głównymi cechami jest głęboko przenikający go duch ludowy i partyjny”..., jak również za „nieprzejednanym stanowiskiem wobec ideologii burżuazyjnych”. „Sztukę sowiecką cechuje duch nowatorski i śmiałe poszukiwania” — dodają *Tezy*, co jednak wydaje się co najmniej przesadne, gdy się wie, do jakiego stopnia cenzura krępuje i kaleczy dzieła sztuki, do jakiego stopnia każdy duch nowatorski i każde śmiałe poszukiwania spotykają się z podejrliwością a nawet wrogim stanowiskiem urzędników powołanych do czuwania nad konformizmem sztuki sowieckiej.

ROLA ZSSR W ŚWIECIE

Trzeci rozdział *Tez* poświęcony jest międzynarodowemu ruchowi rewolucyjnemu i roli ZSSR na arenie światowej. Tekst piętnuje wojny lokalne i ekspedycje karne, jakich dopuszcza się imperializm i traktuje na równi „agresję imperializmu amerykańskiego w Wietnamie” i „napad najeźdźców izraelskich na kraje arabskie”.

Według *Tez* „światowy ruch rewolucyjny natrafia na wewnętrzne trudności, które związane są z jego szybkim wzrostem i różnorodnością sił społecznych biorących udział w walce antyimperialistycznej”. Druga część tłumaczenia jest bardziej prze-

konywująca niż pierwsza, gdyż trudności, na które natrafia ruch, są nie tyle spowodowane przez jego szybki wzrost, ile przez wewnętrzne rozdzwigi i przez konflikt, który politykę ZSSR przeciwstawia polityce Mao Tse-tunga.

Poza konfliktem z Chińczykami, Sowiety mają trudności jednocześnie z komunistami zachodnioeuropejskimi i z południowoamerykańskimi. Z pierwszymi — bo ewoluują oni ku programowi demokracji socjalistycznej i coraz bardziej stanowczo zaczynają odrzucać monolityzm i autorytaryzm stalinowski, z drugimi — ponieważ dają oni absolutne pierwszeństwo walce zbrojnej i przez swoje nieraz niewczesne inicjatywy mogą zagrozić zasadzie pokojowego współistnienia, która — pomimo zaciekłości wojny w Wietnamie — stanowi naczelny cel polityki sowieckiej.

Wydaje się, że w Sowietach nie zdają sobie sprawy z tego, że ich siła atrakcyjna osłabła, że Sowiety właściwie znajdują się w defensywie i strzegą swego *status quo* terytorialnego i społecznego nie tylko dlatego, że chcą uniknąć wojny światowej, albo, że czują się słabsze od Stanów Zjednoczonych, ale dlatego, że Zachód, jego cywilizacja, jego sposób i poziom życia wywierają coraz większy wpływ atrakcyjny na młodzież sowiecką.

Naturalnie, to zmniejszone promieniowanie ZSSR jest skutkiem zarówno demistyfikacji rzeczywistości sowieckiej jak i systematycznego atakowania ZSSR przez przywódców chińskich. ZSSR zachowywał aż do ostatnich czasów jak największą rezerwę wobec Chin, unikając publicznej polemiki ze swej strony. Czyńjąc to, sowiety zdołali izolować maoistów i odzyskać jako tako kierownictwo światowego ruchu komunistycznego. Zapewne — nie ma już mowy o monolityzmie stalinowskim; kierownicy sowieccy musieli dopuścić policentryzm i istnienie poszczególnych dróg mogących prowadzić do socjalizmu. Wzór sowiecki jest dziś proponowany innym krajom komunistycznym, nie jest już im narzucany.

Tezy przyznają również istnienie „trudności obiektywnych w rozwiązywaniu zagadnień żywotnych, jak stworzenie wielostronnej współpracy, zorganizowanie systemu międzynarodowego socjalistycznego podziału pracy”. Na pociechę po tych „obiektywnych trudnościach”, które uniemożliwiły ponadnarodowy Komekon i zagrażają spójności wojskowej Paktu Warszawskiego (trudności te stwarza głównie Rumunia) — *Tezy* oświadczają: „niesposób dość wysoko ocenić to, co zostało dokonane w ciągu 20 lat istnienia światowego systemu socjalistycznego”.

Jednocześnie rozluźnia się jednak solidarność między sobą partii komunistycznych, które po rozwiązaniu Kominternu przez Stalina w roku 1943, i Kominformu przez Chruszczowa w 1956, orientują się coraz bardziej ku policentryzmowi głoszonemu przez zmarłego Togliattiego, i podkreślają coraz bardziej niezależność swej polityki narodowej. Komunistyczne konferencje międzynarodowe w latach 1957 i 1960 próbowały zlutować na nowo jedność światowego ruchu komunistycznego. Nie zdołaly tego

osiągnąć. Od chwili zerwania z Chinami nie tylko jedność ideologiczna i polityczna, ale nawet jedność działania wszystkich partii komunistycznych stała się coraz bardziej iluzoryczna.

Tezy nie oszczędzają już „awanturniczej linii grupy Mao Tse-tunga, która doprowadziła do pogorszenia się pozycji partii komunistycznej i klasy robotniczej w Chinach i do rozpętania się drobno-burżuazyjnej anarchii”. — Dodają one, że „zdobycze socjalistyczne w Chinach są zagrożone”. Oskarżenie to oznacza, że kierownicy sowieccy nie liczą już na kompromis z ekipą znajdującą się obecnie u władzy w Chinach. Mają zapewne nadzieję, że po śmierci Mao zdobędą z powrotem władzę zwolennicy zbliżenia z ZSSR.

Kontrofensywa, która zarysowuje się w Moskwie, zmierza do tego, by dowieść, że ZSSR pozostając wierny zasadzie pokojowego współistnienia, popiera ruchy wyzwolenicze, narodowe i społeczne, jak to ma miejsce w Wietnamie, Egipcie i Syrii, gdy Chiny Mao Tse-tunga poprzestają na demagogicznych deklaracjach solidarności, utrudniając jednocześnie dostawę broni sowieckiej do Wietnamu.

Pomimo wszystkich tych trudności, pomimo olbrzymiej potęgi Stanów Zjednoczonych, pomimo ostrożnej rezerwy ZSSR, który chce uniknąć stawienia czoła „zębom atomowym” amerykańskiego tygrysa, pomimo tego, że konflikt chińsko-sowiecki osłabił obóz antyimperialistyczny — wydaje się jednak słuszne — jak to twierdzą *Tezy* — że „potęga ZSSR i krajów socjalistycznych stanowi rzeczywistą przeciwwagę dla agresywnych sił imperializmu”.

Nie przeszkadza to jednak w popełnianiu nieraz przez Sowiety poważnych błędów w ocenie sytuacji, jak to miało miejsce na przykład na Bliskim Wschodzie, gdzie zachęcając prezydenta Nassera Sowiety znalazły się w obliczu konfliktu zbrojnego, którego wcale nie pragnęły. Jak się zdaje, chciały one tylko spowodować dywersję dyplomatyczną, by skłonić Stany Zjednoczone do zgody na kompromis w Wietnamie.

Jeżeli chodzi o *Tezy*, to wydaje się w nich dużą przesadą deklaracja, że ZSSR stał się „niezwalczoną twierdzą socjalizmu, której wpływ na świecie wzrasta nieustannie”. Bo jeśli istotnie wpływy sowieckie są znaczne, a w szczególności w krajach arabskich — to nie jest rzeczą ścisłą twierdzić, że wzrastają one wszędzie i nieustannie.

Życie jest bardziej skomplikowane niż najlepiej opracowane *Tezy*. Rewolucja październikowa z roku 1917 nie potrzebuje bynajmniej upiększania po to, by narzucała się jako największe wydarzenie XX wieku. *Tezy* Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego, ukrywając jej błędy i ekscesy, prowadzą tylko do pomniejszania jej roli historycznej.

Victor FAY

(Tłumaczył z francuskiego Tadeusz Święcicki)

Kronika angielska

ŚMIERĆ POKOLENIA

Żadnej innej jesieni ostatnia strona londyńskiego „Dziennika Polskiego” — nie czerniła się tak żałobnymi klepsydrami jak w tym roku. Wśród zmarłych było wielu wybitnych ludzi, którzy byli żołnierzami i budowniczymi Drugiej Rzeczypospolitej.

Pokolenia wymierają ławą, ponieważ obejmują ludzi należących do tej samej grupy wieku. W okresie dwudziestolecia niepodległości różnice pomiędzy pokoleniami były bardzo nietypowe. Moi kuzyni, którzy byli ode mnie tylko o 8 lat starsi — należeli do innego pokolenia niż ja. Owe 8 lat różnicy wieku decydowały czy ktoś był w Legionach czy nie był — i czy brał udział w wojnie 1920 r. W roku 1920 miałem 14 lat i komendant P.K.U. w Limanowej, por. Pachonński wyrzucił mnie za drzwi gdy wraz z moim rówieśnikiem Tadeuszem Sitowskim zgłosiliśmy się jako ochotnicy.

Józef Piłsudski był przede wszystkim wodzem i w gruncie rzeczy nie można było być autentycznym Piłsudczykiem nie będąc jego żołnierzem z okresu walk o niepodległość. Podobnie, nie można było być napoleończykiem nie służąc wojskowo pod Napoleonem.

Piłsudczycy stanowili siłą rzeczy zamknięty klub obliczony na czasokres jednego pokolenia. W majątku mojego stryja, w którym spędzałem wakacje — bywało wielu oficerów legionowych a między innymi kuzyn mojej ciotki rotmistrz Henryk Dobrzański, późniejszy major Hubal — ostatni regularny żołnierz Drugiej Rzeczypospolitej.

Moi kuzyni i rówieśnicy w ostatnich latach przed wojną byli już porucznikami i kapitanami, lecz od rotmistrza Dobrzańskiego odcinało ich coś znacznie więcej niż starszeństwo stopnia. Dobrzański miał *Virtuti Militari*, Krzyż Walecznych z trzema okuciami, Krzyż Niepodległości i mnóstwo innych medali i odznaczeń. Natomiast moi kuzyni nie tylko nie mieli żadnych odznaczeń, lecz nawet nie mieli szansy ich zdobycia, ponieważ *Virtuti Militari*, czy Krzyż Walecznych mogą być nadane tylko w czasie wojny.

Stawoj Składkowski powtarzał zawsze, że Polacy lubią odznaczenia. Rozumiał przez to, że legioniści lubią odznaczenia. Gama dekoracji dla legionistów była olbrzymia, natomiast „cywil-banda” musiała się zadowolić Krzyżem Zasługi, który dla Polaków urodzonych w niewłaściwym czasie stanowił kres możliwości w tej dziedzinie.

W Drugiej Rzeczypospolitej cywilnymi odznaczeniami nagradzano nie zasługę, ale pro-rządowość. Bertrand Russell, znakomity filozof, który przez 70 lat swoją polityczną działalnością przysparzał nieprawdopodobnych kłopotów kolejnym rządów brytyjskim — posiada „Order of Merit”, najwyższy order brytyjski, do którego nie jest przywiązane szlachectwo. Stanisław Stroński, wybitny uczonek i świetny pisarz — zmarł w Londynie nie doczekawszy się żadnego polskiego odznaczenia.

Gdyby Polska po drugiej wojnie światowej należała do państw zwyciężskich — wszystko to zatarłoby się i wyrównało. W Rzymie, pod koniec kampanii włoskiej, widywało się wielu młodych oficerów i podchorążych równie pięknie dekorowanych jak piłsudczycy starszego pokolenia. W stosunku do tych ludzi — gdyby dane było nam wrócić — nie można by stosować polityki „zamkniętego klubu”. Druga wojna światowa wyrównała zasługi pokoleń czyniąc z piłsudczyków nie jedynych, lecz jednych z wielu, warunków Wojska Polskiego.

Piłsudczycy nie mają następców, lecz mają legendę. Napoleończycy również nie mieli następców lecz pozostawili legendę. Legenda nie jest prawdą historyczną lecz, w rzeczywistości, bywa czymś więcej niż prawdą historyczną. Tworzywem legendy jest sława i miłość. Sława zwycięstw i miłość żołnierzy dla wodza.

Trudno jest mówić o wielkich zwycięstwach armii Polski Ludowej, lecz jeszcze trudniej byłoby w szeregach żołnierskich wzbudzić przywiązanie i uwielbienie dla Spychalskich i Moczarów. Bezchwalebna małość tych panów stanowi kontrastowe tło dla legendy Piłsudskiego.

Naiwne wydać się muszą próby historiografów komunistycznych pomniejszenia jego postaci. Piłsudskiego pomniejszyć mógłby tylko wódz większy od niego, a takiego nie było.

Z wymierzającym pokoleniem Piłsudczyków zamyka się długi okres naszych dziejów, który przez tradycję powstań wiązał Drugą Rzeczpospolitą z przeszłością przed-rozbiorową. Piłsudski był ostatnim, który „wybrał, zamiast domu, gniazdo na skałach orła”. Dziś, nie gniazda na skałach orła lecz „szklane domy” prorokowanej rewolucji społecznej, która nie nadeszła burzą umysły najlepszych w młodym pokoleniu.

NOWA LITERATURA EMIGRACYJNA

Od Mickiewicza poprzez Tarnowskiego aż po Chrzanowskiego — literaturę oceniano w Polsce kryterium „przydatności dla sprawy narodowej”. Do czasu odzyskania niepodległości ów system oceny nie nasuwał większych trudności. Lecz w niepodległym państwie polskim pojawiło się pytanie: kto ma oceniać czy dany utwór literacki jest przydatny dla sprawy narodowej czy nieprzydatny. W okresie zaborów wyrokowali w tych sprawach fachowcy, tzn. krytycy i historycy literatury. Z chwilą odzyskania niepodległości, rząd uważał za swój przywilej i obowiązek decydowanie o przydatności czy nieprzydatności danej pozycji literackiej dla sprawy narodowej. Wiersz, „Rznij karabinem w bruk ulicy”, Tuwima był oczywiście utworem nieprzydatnym i w rezultacie Tuwim nie został akademikiem literatury. Inaczej oceniono „przydatność” ohydnej książki Ferdynanda Goetla pt. „Pod znakami faszyzmu” — ponieważ Goetel pozostał do końca pełnoprawnym członkiem Akademii. Po ukazaniu się tej książki — gdybym był Akademikiem — wystąpiłbym z Akademii Literatury na znak protestu. O ile mi wiadomo, nikt tego nie zrobił i... listu 34 również nie było.

Pod zaborami kryterium przydatności było równoznaczne z postawą patriotyczną i niepodległościową. W Państwie Polskim ta sama skala oceny przekształciła się w kryterium polityczne. O przydatności wyrokowała grupa

ludzi sprawujących władzę. Pisarz, który tych panów popierał, był przydatny — pisarz, który ich krytykował, był nieprzydatny.

Tylko w państwie prawdziwie demokratycznym i nie żyjącym w wiecznej obawie przed zakusami swoich sąsiadów — miałyby szansę zapuszczenia korzeni pogląd, że dzieła literackie dzielą się na dobre i złe i że zła książka nigdy nie jest przydatna, nawet wtedy, gdy jest pro-rządowa.

Władze Polski Ludowej kryterium przydatności doprowadziły do nienowoczesnej w naszych dziejach perfekcji. Partia jest jedynym wyrazicielem polskich aspiracji narodowych, strażnikiem interesów państwowych i w konsekwencji, wyrokuje arbitralnie jaka literatura jest przydatna a jaka jest nieprzydatna.

Komunizm nie wyłącza dobrej literatury. Polityka partii paraliżuje literaturę. Utalentowany pisarz, który jest przekonany komunistą może napisać znakomitą książkę. Broniewski w różnych okresach swojego życia uważał się za komunistę i pisał świetne wiersze. „Pamiętka z Celulozy” Igora Neverly jest bardzo dobrą powieścią.

Trzeba jednak podkreślić, że dobra literatura komunistyczna, przy najbardziej światłej polityce partii, byłaby zawsze literaturą mniejszościową i nie mogłaby zgłaszać pretensji do reprezentowania piśmiennictwa narodowego. Przekonanych komunistów jest niewiele i nie ma żadnych podstaw do przypuszczania, że kiedyś stanowią błąd większość.

Prawdziwie utalentowany pisarz komunisty różni się tym od dygnitarzy partyjnych z domowym wykształceniem, że nurtują go wątpliwości. Im jest bardziej utalentowany i im szerszy jest jego intelektualny horyzont — tym owych wątpliwości budzi się w nim więcej.

W tym miejscu zaczyna się dylemat. Wybitnego pisarza komunistę można by utrzymać w partii tylko za cenę przyznania literaturze znacznego marginesu swobody. Politbiuro nie rozumie, że margines swobody jest nieodzowny, przede wszystkim, dla pisarzy komunistycznych. W schematyzmie narzuconym przez partię daleko łatwiej „urządzi się” kolaborujący bezideowy pisarz, jak Iwaszkiewicz — niż pisarz, ideowy komunist. Kolaborant w nic nie wierzy i w nic nie wątpi. Uprawia literaturę bezpieczną, marginesową — zawsze sto mil od zasadniczych problemów. Lecz pisarz komunistyczny uważa, nie bez racji, że mówić prawdę o współczesności — choćby gorzką — jest jego powołaniem a nie Iwaszkiewiczów.

Pisarze odchodzą od partii, bo partia nie chce mieć dobrej komunistycznej literatury, tylko chce mieć literaturę przydatną, choćby nie komunistyczną. Przydatną z punktu widzenia partii jest literatura, która skrętnie wymija węzłowe zagadnienia ideologiczne i społeczne i tym samym stwarza pozór, że owe arcy-zagadnienia nie istnieją. To nie jest literatura ani dobra, ani ideowa, lecz jest przydatna, bo kto przemilcza ten nie protestuje. Wszystko co nie jest protestem, z punktu widzenia partii, jest przydatne.

W powołaniu pisarskim należy wyróżnić dwa elementy. Pisarz musi być świadkiem swoich czasów i musi mówić prawdę. Pisarz, który nie jest powołanym świadkiem swojej epoki — zadaje kłam swojemu powołaniu.

W bloku wschodnim w większym stopniu buntują się pisarze niż inteligenci z innych zawodów. Płyne to stąd, że jest niezmiernie trudno walczyć przeciwko własnemu powołaniu i w żadnym innym zawodzie niesprostanie zadaniu nie wywołuje tak gorzkiego poczucia frustracji i pohańbienia.

Z polityczno-socjologicznego punktu widzenia, sprawa jest wyjątkowo

prosta. Stalinizm został skompromitowany i napiętnowany. Jednak proces de-stalinizacji zatrzymano, ponieważ ów proces zaczął przybierać charakter rewolucyjny. Dziwić się należy, że doświadczeni komuniści lęczą się w tej sprawie. Dany proces społeczny przybiera charakter rewolucyjny tylko wówczas, gdy rewolucja jest nieuchronna. De-stalinizacja jest nieuchronną koniecznością. Rządzące partie komunistyczne obawiają się, że żywiołowa rewolucyjna de-stalinizacja położyłaby kres ich panowaniu. Jakie jest więc wyjście? Wszystko zależy od prawidłowego rozpoznania sytuacji. Tam gdzie istnieje autentyczny ferment, najbezpieczniej jest stanąć po stronie rewolucji i starać się wpłynąć na jej przebieg. Teoria ewolucjonizmu, którą wypracowaliśmy w „Kulturze” — opiera się na założeniu, że komuniści dorosną do swojego zadania. Innymi słowy, ufamy, że komuniści — być może dopiero młodszego pokolenia, rozkładają nastroje rewolucyjne, realizując główne postulaty rewolucji.

Komuniści starszego pokolenia tak w Rosji jak i Polsce nie rozumieją sytuacji. Zaslepia ich konserwatyzm i lęk przed utratą władzy. System jaki wyprodukowali jest absurdalny. Ferment i wrzenie mógłby zdusić tylko nowy Stalin zaludniając łagry i więzienia. Starzy komuniści wiedzą jednak, że nowy Stalin byłby groźny nie tylko dla zbuntowanych literatów, lecz i dla nich. Gdyby wypłynął nowy dyktator zaczęłby od czystki na samej górze i głowy posypałyby się jak groch. Konserwatywni komuniści chcieliby mieć stalinizm bez Stalina, co jest propozycją nierealną. W konsekwencji nie są w stanie rozładować fermentu, ponieważ boją się reform — ani nie są w stanie zdusić owego fermentu, ponieważ stalinizm bez Stalina nie jest, w praktyce, stalinizmem.

Na tym tle należy rozpatrywać zjawisko nowej literatury emigracyjnej. Książka napisana w Rosji, czy w Polsce — wydana zagranicą należy do literatury emigracyjnej. W tym wypadku decyduje bowiem emigracja nie autora, lecz jego dzieła. Odwrotnie — pisarze i dziennikarze emigracyjni, którzy drukują swoje prace wyłącznie w PRL (a są i tacy) z literaturą emigracyjną nie mają nic wspólnego.

Co spowodowało falę nowej literatury emigracyjnej?

Jak wiemy literatura kwitła i w niedemokratycznych ustrojach. Wystarczy przypomnieć wspaniałą literaturę rosyjską XIX wieku. Wybory, parlamentaryzm, demokracja — choć są jak najbardziej pożądane — nie stanowią nieodzownego warunku rozwoju literatury. W danym okresie i w danym państwie może nie być ustroju demokratycznego — lecz, jeżeli pisarz ma wypełnić swoje zadanie — nie może być totalnej sprzeczności pomiędzy zamówieniem rządowym a zamówieniem społecznym. Carska cenzura nie narzucała pisarzom socjalistycznego realizmu czy dogmatycznej ideologii. Ograniczała się do zakazów wstrzymując się od nakazów.

W Rosji i w Polsce partia pragnie zupełnie innej literatury niż ta, którą chciałoby mieć społeczeństwo. Ponieważ partia jest w stanie permanentnej wojny cywilnej ze społeczeństwem — wykonanie przez pisarza zamówienia społecznego — partia traktuje za zdradę i przestępstwo. Napisanie i ogłoszenie „Doktora Żiwago” zakwalifikowano oficjalnie jako zdradę. Kto popełnia zdradę łączy się w bratnim uścisku z obcymi wywiadami i dywersjami. Pisarzom wytacza się procesy przy drzwiach zamkniętych oskarżając ich nieodmiennie o kontakty z paryską „Kulturą”. Chodzi o wywołanie wrażenia, że artykuły i książki pisane w Kraju i ogłaszane zagranicą

nie są zamówieniem społecznym lecz zamówieniem paryskiej „Kultury”, w jej charakterze „Centralnej Agencji Dywersyjnej”. Głośna sprawa Dra Wawrzyńczaka wskazuje, że władze warszawskie usiłują przedstawić społeczeństwu ofiary Bezpieki jako „ofiary” paryskiej „Kultury”. My nie tylko „zamawiamy” anty-komunistyczne książki w Kraju — lecz i porywamy cennych naukowców. Lada chwila zaczniemy wysadzać mosty kolejowe i obiekty wojskowe. To jest sąd o nas niezmiernie pochlebny, lecz całkowicie nieprawdziwy. Nikt w Kraju nie pisze książek czy artykułów na zamówienie „Kultury”. Ludzie wydają książki u nas, ponieważ nie mogą wydać ich w Kraju. To wszystko.

Powtórzymy jeszcze raz. De-stalinizacja jest procesem nieuchronnym. Nowa literatura emigracyjna stanowi fragment i manifestację tego procesu, który toczy się dziś w podziemiu i zagranicą.

Spółeczeństwo to nie jest wieczyste „przedszkole” prowadzone i nadzorowane przez partię. Naród ma prawo do własnej historii i do prawdy. W Rosji sowieckiej nie ma jednego podręcznika, jednego dzieła z którego obywatel sowiecki mógłby poznać obiektywnie podane dzieje ostatniego półwiecza swojego kraju.

Skąd bierze się u komunistów owa idiosynkrazja do prawdy? W Rosji sowieckiej działa się niewątpliwie straszne rzeczy, lecz w innych krajach działa się również straszne rzeczy. W tym wypadku partii nie chodzi o wybielanie czegokolwiek, czy kogokolwiek, lecz o zasadę.

Prawda może być ustalona tylko w drodze niezależnego badania i otwartej dyskusji. Uznanie prawa do prawdy w dziedzinach humanistycznych — musiałoby być równoznaczne z uznaniem prawa do indywidualnych przekonań, które mogą się zasadniczo różnić od wykładni partyjnej. Uznanie prawa do własnych przekonań byłoby *de facto* uznaniem prawa do jawnie wyrażanej opozycji. Z kolei, uznanie prawa do opozycji — choćby lojalnej — musiałoby prowadzić do demokratyzacji ustroju.

Fakt, że w 50 lat po rewolucji autorzy rosyjscy ogłaszają swoje książki zagranicą — dowodzi, że literatura emigracyjna nie jest zjawiskiem jednopokoleniowym. W moim przekonaniu, literatura emigracyjna, tak polska jak i rosyjska, będzie rosła do chwili kiedy utraci swą społeczno-polityczną funkcję — a więc do chwili, kiedy stanie się zbędna. Literatura emigracyjna stanie się zbędna — kiedy protest stanie się zbędny.

ANTY-TEZA

W związku z pięćdziesięcioleciem rewolucji bolszewickiej na Zachodzie zaroziło się od książek upamiętniających to wydarzenie. Na wyróżnienie zasługuje praca zbiorowa pt. „The Impact of the Russian Revolution 1917-1967” (Oxford for Chatham House).

Prof. Arnold Toynbee, współautor cytowanej książki, wyraża pogląd, że najważniejszym osiągnięciem rewolucji bolszewickiej na Zachodzie było wzmocnienie kół prawićowych w Ameryce kosztem lewicy. W rezultacie, Stany Zjednoczone z kraju rewolucyjnego przekształciły się w mocarstwo konserwatywne.

Autorami omawianego dzieła są sami profesorowie o ustalonej renomie.

Niemniej, wydaje mi się, że żaden ze znakomitych autorów nie uchwycił problemu za rogi.

Nie trzeba być marksistą, by zdawać sobie sprawę z faktu, że tezie przeciwstawić można tylko anty-tezę. Wynik owego dialektycznego starcia zależy od tego czy tezie przeciwstawiamy wartość, która istotnie jest antytezą.

Anty-tezą fałszywego złota nie jest aluminium, lecz prawdziwe złoto. Anty-tezą fałszywego socjalizmu nie jest konserwatyzm, lecz prawdziwy socjalizm.

Niepowodzenia socjalizmu w Europie w okresie międzywojennym wynikały z fałszywego rozpoznania bolszewizmu. Budowa skutecznej anty-tezy wymaga właściwego zdefiniowania tezy. Skrajna lewica uważała socjalistów za „socjal-zdrajców”, a skrajna prawica wyobrażała sobie, że socjalizm stanowi przedpokój wiodący do komunizmu. Niemniej tylko socjalizm i socjaliści mogli dostarczyć prawdziwej anty-tezy bolszewizmu. Bolszewicy zdawali sobie z tego sprawę — konserwatyści nigdy sobie tego nie uświadomili.

Konsekwencje owego początkowego i podstawowego błędu są różnorakie. Socjalizm europejski uległ ukonserwatywnieniu i, tym samym, utracił atrakcyjność w oczach rewizjonistów i tych kół lewicowych w Europie wschodniej, które chciałyby nawrócić z drogi fałszywego socjalizmu ku prawdziwemu socjalizmowi. Popularny żart głosi, że Harold Wilson jest najlepszym konserwatywnym premierem na jakiego stać Anglię w danym momencie. W powyższym porzekadle jest spore ziarno prawdy.

Stawiamy opór Związkowi Sowieckiemu — przeanalizowaliśmy obiektywnie ustroje komunistyczne — lecz nie wyprodukowaliśmy żadnej anty-tezy w sensie ideologii i programu.

Ukazała się nowa książka C. Northcote Parkinsona pt. „Left Luggage”. Do tego autora słynnego „Parkinson's Law” wróć jeszcze w tych notatkach — na razie chciałbym ograniczyć się do kilku punktów związanych tematycznie z naszymi rozważaniami.

Parkinson uważa, że brytyjski socjalizm przemienił się w *establishment*, który głosząc wizję bezklasowego społeczeństwa musiał zaakceptować nieuchronność przywilejów. W wywiadzie radiowym, który poprzedził publikację cytowanej książki, Parkinson oświadczył, że socjalizm, by zrealizować swój program, musi być religią. Urzeczywistnienie ideału socjalistycznego wymaga tak wielkich ofiar i poświęceń, że trzeba żarliwości religijnej by sprostać temu zadaniu. Z powyższego wypływa wniosek, że realizatorem socjalizmu może być tylko komunizm.

Wydaje mi się, że w rzeczywistości jest wręcz odwrotnie. Żarliwość religijna przemienia każdą ideologię w totalizm. Przyjmuje się wówczas pogląd, że cele są tak wzniosłe i górne, że uświęcają wszystkie środki z ludobójstwem włącznie.

Nie ulega wątpliwości, że socjalizm demokratyczny jest najtrudniejszym modelem społecznym jaki istnieje. Byłoby jednak tragedią gdyby społeczeństwa zachodnie zrezygnować miały z socjalizmu demokratycznego, ponieważ wówczas tempo ewolucji społecznej w europejskim bloku wschodnim uległoby wydatnemu osłabieniu.

Ideałem konserwatystów w Moskwie są konserwatywne rządy w Waszyngtonie, Londynie i Paryżu. Konserwatystom po obu stronach barykady nie zależy na ścieraniu się ideologii — tym mniej nie zależy im na rewolucjach czy kontr-rewolucjach. Konserwatyści gotowi są zawsze ułożyć ko-

egzystencję w płaszczyźnie współpracy gospodarczej — odrzucając wszystko co może szkodzić *business*owi.

W Rosji sowieckiej nawet ci ludzie, którzy zdają sobie sprawę, że komunizm zbankrutował — są, mimo to, za socjalizmem. Na Zachodzie pewnym sowietologom wydaje się, że gdyby Rosjanie w jakiś cudowny sposób odzyskali wolność — na sam dźwięk słowa „socjalizm” zaciskaliby pięści. Ferment, protest, krytyka — wszystko w Rosji dotyczy socjalizmu. Młody pisarz czy intelektualista krytykujący system sowiecki — nie myśli nigdy o odbudowie kapitalizmu, czy kopiowaniu polityczno-społecznych instytucji amerykańskich. Sądzę, że przytłaczająca większość młodych ludzi w Sowietach podpisałaby się bez wahania pod znanym artykułem Leszka Kołakowskiego z roku 1956 — pt. „Co to jest Socjalizm?”

Ukonserwatywnienie świata anglosaskiego musiałyby doprowadzić rewizjonistów w Rosji i w europejskim bloku wschodnim do rozpaczliwego wniosku, że prawdziwy, radykalny, demokratyczny socjalizm jest nie do osiągnięcia. Trzeba by wówczas ukuć nowe „prawo Parkinsona” — mianowicie, że każdy socjalizm prowadzi do konserwatyzmu, czy to w wydaniu zachodnim, czy wschodnim.

PROGRAM MINIMALNY?

W dniu 7 września br. — na posiedzeniu sekcji politycznej Instytutu Badań Zagadnień Krajowych — p. Stanisław Zarzewski wygłosił referat pt. „Polityka Ewolucjonizmu”. Pod-tytuł cytowanego referatu brzmi „Rozważania na marginesie książek Juliusza Mieroszewskiego pod tytułem: „Ewolucjonizm” i „Polityczne Neurozy”.

Stanisław Zarzewski jest znanym jeszcze sprzed wojny, ekonomistą i publicystą gospodarczym, którego prace wielokrotnie drukowaliśmy na łamach „Kultury”. Omawiany referat p. Zarzewskiego został wydany na prawach rękopisu przez Instytut Badań Zagadnień Krajowych i rozesłany w formie ankiety.

Fakt, że moje książki stały się przedmiotem poważnego opracowania i dostarczyły tematu do dyskusji w gronie specjalistów zagadnień krajowych — poczytuję sobie nie tylko za wielki zaszczyt, lecz również za dowód, że owe książki spełniły swoje zadanie.

Zarzewski w końcowych uwagach swojego referatu nazwał mnie — jakże przesadnie, „mistrzem publicystyki kontrowersyjnej”. Mistrzem na pewno nie jestem — uważam jednak, że publicysta, który nie jest kontrowersyjny nie jest publicystą. Zagadnień, które nie nasuwają wątpliwości i tym samym nie są kontrowersyjne — nie ma powodu omawiać, a tym mniej o nich pisać. Gdyby moje książki nie były kontrowersyjne nie doczekałyby się nigdy ani opracowania p. Zarzewskiego, ani dyskusji w Instytucie Badań Zagadnień Krajowych.

Na czym polega kontrowersyjność? Kontrowersyjność polega na dostrzeganiu problemów, których inni nie widzą. Proponowane rozwiązanie nowego problemu jest, z natury rzeczy, kontrowersyjne, ponieważ nie można powołać się ani na tradycję, ani na praktykę.

Na innej stronie w bieżącym numerze „Kultury” Czytelnik znajdzie mój artykuł omawiający książkę Adolfa Bocheńskiego, którą wydał Jerzy

Giedroyc 30 lat temu. Bocheński, w swych przewidywaniach pomylił się całkowicie. I co z tego? Jego książka jest nadal zapładniającą i refleksjotwórczą lekturą. Uważne przestudiowanie tej książki umożliwiło mi sprecyzowanie wniosków i postulatów, całkowicie różnych od tych wysuniętych przez Bocheńskiego. Rolą publicysty, nie jest przepowiadanie przyszłości, ani odprawianie nabożeństw przed zniczem narodowych tradycji. Zadaniem publicysty jest prowokować ludzi do myślenia i ułatwiać im dojście do własnego sądu w danej sprawie. Jeżeli lektura moich książek umożliwi Czytelnikowi wyrobienie sobie własnej opinii w odniesieniu do problemów, które poruszam — moja funkcja, jako publicysty, będzie spełniona. Zadanie jest spełnione nawet wówczas, gdy Czytelnik, w oparciu o moją analizę dojdzie do odmiennych wniosków niż te, do których ja doszedłem.

Osobiście najwięcej zawdzięczam pisarzom politycznym, z którymi się nie zgadzałem. Z Cateń Mackiewiczem, nie zgadzałem się prawie nigdy, lecz czytałem go zawsze. Wszystko co wychodziło spod jego pióra prowokowało do myślenia. Może jeszcze w większym stopniu dotyczy to Adolfa Bocheńskiego. Rozmowy z nim i lektura jego artykułów powodowały reakcję intelektualną, które przyrównać można do syntezy chemicznej. Chcę przez to powiedzieć, że zderzenie z jego intelektem wywołuje w umyśle czytelnika proces skojarzeń, wiodący do nowych sformułowań, różnych od tych Bocheńskiego — które jednak, bez Bocheńskiego, nigdy by się nie wykrystalizowały. Tu leży źródło jego wybitności jako pisarza.

Lecz wróćmy do tematu tej notatki. Ponieważ znakomita większość naszych Czytelników nie ma możliwości zapoznania się z referatem p. Zarzewskiego — byłoby nonsensem podejmowanie dyskusji w tej sprawie na łamach „Kultury”. Nie mogę jednak oprzeć się pokusie wymienienia pewnego kwalifikującego sądu p. Zarzewskiego, który wprowadził mnie w zdumienie. Na pierwszej stronie swego referatu p. Zarzewski określa „ewolucjonizm” jako program minimalny. Jestem, jak Zagłoba, ślepy na jedno oko, więc przetałem starannie okulary i przeczytałem powyższą opinię kilka razy. Przekształcenie komunizmu w socjalizm demokratyczny, przebudowa Związku Sowieckiego w *commonwealth* niezależnych państw — dla referenta moich książek — jest programem minimalnym. Byłbym najszczęśliwszym z Polaków gdyby się okazało, że p. Zarzewski ma rację. Obawiam się jednak, że program sformułowany w moich książkach jest maksymalistyczny, i niezmiernie na wyrost. I na tym polega jego kontrowersyjność.

LONDYŃCZYK

Konserwatyzm i kłamstwo

Uderzająca jest moc konserwatyzmu w Polsce Ludowej. Jeżeli nawet gwoli zwyczajowi użyjemy eufemistycznego przymiotnika — nie zmieni to faktu, że zachowawczość systemu jest instytucjonalnie zabezpieczona. Ani partia politycznie kierownicza, ani sejm — najwyższy organ władzy państwowej, nie zawierają w sobie rozwojowych sprężyn. I partia i sejm są zamkniętymi w sobie kołami, niezależnymi od mas. Są samowystarczalne. Partia identyfikuje się na przemian z klasą robotniczą lub z narodem. Sejm — z państwem. Dla mas właściwie miejsca nie ma.

W tonacji zaleconego optymizmu wszystko jest jak najlepiej, więc konserwatyzm, dziecko samozadowolenia, jest także dzieckiem pierwotnym reżymu. A jednak, ilekroć słyszy się panegiryki na cześć sukcesów systemu, zawsze pada pytanie: dlaczego jest tak źle, jeżeli jest tak dobrze? Nie brak ludzi (właśnie w środowisku partyjnym jest ich wielu), którzy patrzą z niepokojem na rzeczywistość w kraju, którzy boleją nad każdym niepowodzeniem, często myślą krytycznie, rzadko zaś mówią. W Warszawie krąży anegdota o lekarzu, do którego zgłosił się pacjent skarżący się na rozdwojenie jaźni. „Co pan mówi! — doprawdy? — Jakże ma pan tego objawy?” — pyta lekarz. — „Panie doktorze, to strasznie mnie dręczy: ja jedno myślę, drugie mówię, a co innego robię!”. — „Niestety nie poradzę panu” — odpowiada lekarz. — „Ja partyjnych chorych nie leczę”.

Z moich długoletnich obserwacji życiowych wnioskuję, że socjologowie powinni poświęcić wiele uwagi humorowi. Może nawet należałoby stworzyć socjologię dowcipu. Dowcip ma aspekt społeczny nawet gdy wydaje się bardzo osobisty. Dowcip rodzi się w kontakcie z człowiekiem, ze społeczeństwem. Nawet dowcipy o zwierzętach mają ludzki charakter. Ponieważ takie dow-

cipy, jak podany wyżej, chodzą po Polsce w milowych butach i to co najmniej z szybkością obrotu ziemi — naturalnie polskiej — z jakby umownym hasłem „podaj dalej”, wniosek prosty: są wyrazem opinii publicznej i dlatego z nich może socjolog odtworzać tzw. klimat społeczny epoki. Co mówi owa anegdota o lekarzu? Ogromnie wiele. Mówi, że (w opinii publicznej) partia myśli na dwóch co najmniej płaszczyznach: że to co mówi bynajmniej nie wyraża zamiaru jej czynu, że w jej słowach należy dopatrywać się fasadowości, że tu „słowo myśli kłamie”, jak mówił Mickiewicz. *A last but not least* to co robi w istocie nie ma pokrycia w frazeologii partyjnej — praktyka przeczy teorii. Teoria to marksizm, praktyka — to pragmatyzm władzy.

Kiedy opinia publiczna powraca do okresu rozmów, salonów czy kawiarni, który poprzedził prasę i środki masowej informacji, gdy te środki istnieją ale jej wolnemu kształtowaniu się nie służą — szaleją tzw. *szeptanki*, tj. represje policyjne a nawet sądowe za wypowiedzane poglądy w prywatnych rozmowach. Taki paroksyzm szeptanek widzieliśmy w okresie zwanym minionym. Wówczas zapewnił nas Władysław Gomułka, że „wierzę głęboko, że okres ten przeszedł w niepowrotną przeszłość”. Szeptanki jednak powróciły obecnie, pociąga się za nie nie tylko do odpowiedzialności wewnątrzpartyjnej (to samo już jest w „stronnicztwach”), ale i sądowej. W szczególności towarzysze, którzy okazali się opornymi wobec masowych rezolucji potępiających Izrael są *bezapelacyjnie* z partii usuwani.

Należy uważać szeptankę za namiastkę organu opinii publicznej. Drugim objawem jej wyrazu jest dowcip lub anegdota. Satyra w pismach legalnych struchlała, znajduje więc uboczne ujście w kursujących dowcipach i anegdotach. Popularne są w Polsce Ludowej audycje Radia Erywań. Skąd nadaje nie wiadomo. We wstępnej audycji podano dość enigmatycznie: „radio Erywań nadaje na falach humoru i dobrej woli. Odpowiada na wszystkie pytania, na które dotąd nie odpowiedział towarzysz Gomułka”. Istotnie odpowiada na pytania nawet bardzo drastyczne, jak np.: „Czy jak już dojdziemy do socjalizmu będą jeszcze kraść?” — Odpowiedź: „Ależ naturalnie, towarzyszu, jeżeli będzie jeszcze coś do rozkradania”. Albo takie: „Czy można by u nas zaprowadzić prawdziwy komunizm?”. Odpowiedź: „Jak najbardziej, towarzyszu, ale lepiej w Gruzji”. Fakt, że tego rodzaju dowcipy szerzą się świadczy, że odpowiadają opinii publicznej.

Tym większy jest potrzebny wysiłek propagandy. Im większe są te sprzeczności tym trudniej jest je zamaskować, aby pokazać światu niewzruszony monolit. Jest to sytuacja podobna do sytuacji marcowego kawalera, sprawdzającego co chwila przed lustrem

czy krawat dobrze zawiązany i czy ogólny wygląd jest jeszcze do rzeczy.

Socjologowie dyletanci dzielą partię na dogmatyków i rewizjonistów oraz centrum. Co to jest po polsku centrum? Jest to złoty środek, ten który jest u władzy. Złoty środek ma w rękę aparat partyjny i ustanawia „linię”. Wszystko co nie jest w linii jest odchyleniem: prawym czy lewym, ale zawsze tępionym. Centrum jednak rozróżnia siłę i znaczenie każdego z nich. Powiada, że dogmatyzm czy odchylenie prawe nie jest groźne, natomiast najbardziej tępić trzeba „lewactwo”.

Zrozumieć to łatwo. Odchylenie prawe to kierunek starszych towarzyszy, pozbawionych biologicznie temperamentu. Odchylenie lewe ma młode siły i przy tym powinno mieć lepszy odbiór w klasie robotniczej. Klasa robotnicza w systemie gra rolę „czarnego luda” choć nikt nie jest tak mocno w ryzach trzymany, jak on. Oczywiście nie można w żaden sposób powiedzieć, że jest papierowym tygrysem, używając terminologii maoizmu. Mogłoby to spłoszyć sen z jej powiek i okazać by mógł ten papierowy tygrys całkiem ostre zęby. Rola klakiera jej się już znudziła w Poznaniu 1956.

Centrum uważa, że każdy ruch dla równowagi wewnętrznej jest niebezpieczny i jest jak najbardziej konserwatywne: nie szarpać się, utrzymać za wszelką cenę *status quo*. Nakaz dla dołów: przestrzegać linii — nie wychylać się.

Ale i centrum (nazywane puławczykami od domu dygnitarzy przy ul. Puławskiej) zdaje sobie sprawę, że nie wszystko jest jak najlepiej na tym padole powszechnej szczęśliwości. Gdy się rozlega na wieczorach wychowania politycznego patos (czytaj drętwa mowa) o ponadplanowych sukcesach budownictwa socjalistycznego, z reguły pada skądś pytanie „to czemuż jest tak źle, jeżeli jest tak dobrze” — nie ma na nie nigdy odpowiedzi.

Zdaje mi się, że socjologowie, gdyby przyjęli oficjalny podział partii na te trzy ideologiczne trendy, popełniliby błąd. Przyjąć ten podział to brać *pars pro toto*. Taki podział dotyczy bowiem tylko partyjnego aktywu szczytu, albo góry, jak się to mówi w Polsce. Nie dotyczy natomiast masy partyjnej, która dobierała się bardzo różnie, składa się z różnorodnych elementów: zapisywano się falami do partii: w okresach ideologicznych „łapanek” przypływy były większe, podczas czystek — poważne odpływy — w środowiskach robotniczych zapisywano się najczęściej hurtem — zakładami pracy. Nie są to warunki najlepsze do kształtowania i rozwoju ideologicznego, tak się formuje stowarzyszenie konformistów. Prowadzenie takiego stowarzyszenia nie wymaga przy tym budzenia umysłów, a raczej dobrego katechety partyjnego i sprężystej dyscypliny, a także oczywiście przekonania

wiernych, że cała ta polityczna impreza jest prakseologicznie dobrze postawiona, zdała egzamin praktyki i należenie do niej jest indywidualnie korzystne — czy korzystne dla kraju? Niech się nad tym głowią inni, ci, o których mówiliśmy wyżej. Toteż ten trójdział ideologiczny nie ma znaczenia na dole: hasło „jedności partii”, do której nawołuje Gomułka, ma w dołach inny wydźwięk niż w górze. Tu bizantyńskie spory o Marksa mało kogo obchodzą. Muszę znowu przypomnieć, że nie można przenosić tych stosunków dosłownie na Zachód. Komunista na Zachodzie działa pod naciskiem innych bodźców. Z nich trzeba wykluczyć koryto i karierę. Stąd i postawy są inne i oblicze nie to samo. Gra nie tylko inna kultura (w związku z historycznym zapleczem według Ludwika Krzywickiego), ale też zespół czynników polityczno-społecznych nie jest ten sam. Rację miał Artur Starewicz z Biura Politycznego K.C. Partii gdy tym co w czasie rozprawy kontroli partyjnej nad Leszkiem Kołakowskim powoływali się na odrębne poglądy komunistów włoskich, jako dowód, że jest dopuszczalna różnorodność zdań w obozie marksistowskim, odpowiadał: „To nie jest miarodajne. Oni nie są u władzy. Gdy będą przy władzy tak będą myśleli jak my”. Masa komunistyczna na Zachodzie faktycznie należy do partii z przekonania i nikt nie ma z tytułu takiej przynależności osobistych korzyści.

Od wieków jest wiadome, że władza deprawuje rządzących, a od czasów monopartii wiadomo, że żłobizm demoralizuje masy. Biernie masy we wszystkich społeczeństwach stanowią ogromną większość narodu, nigdzie jednak bierność nie została społecznie faworyzowana, uszlachcona, poza obrębem państw ludowych. Tu bezwładność jest siłą. Ci bowiem to nieodrodne dzieci ojca Wergiliusza. Im to przypada rola maluczkich u progu Królestwa Niebieskiego. Do nich to w dniu październikowe zwracał się poeta Adam Ważyk, gdy pisał:

*„... Bądźcie postuszni, żarliwi i skromni,
Idźcie przez miasto świętecznym pochodem...”*

Więcej nie trzeba, tak każe ojciec Wergiliusz — myśli za was partia i Związek Sowiecki. Tak jak śpiewa znana kołysanka:

*„Spij moje małe błogim snem dziecka,
Czuwa nad tobą armia radziecka”.*

I znowu nie jest to tylko żart, ale ironiczna reakcja opinii publicznej na akcję psychologiczną, polegającą na wdrożeniu w podświadomość przekonania, że warunkiem spokoju w kraju i jego suwerenności jest utrzymanie za wszelką cenę kanonu przy-

jaźni polsko-radzieckiej, będącej w rzeczywistości uległością i wyrzeczeniem się własnej politycznej twarzy. Nie tylko podkreśla to Władysław Gomułka w każdym przemówieniu zahaczającym o politykę międzynarodową, nie tylko do propagowania tej idei stworzone zostało całe towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej o kilkunastomilionowej dotacji ze skarbu państwa, ale brak entuzjaku do przyjaźni należy do groźnych zarzutów z konsekwencjami bytowymi. Słyszałem np. taki dialog: „Jakoś się wam nie podoba przyjaźń, co?” — „Mylicie się, towarzyszu. My jesteśmy małą myszką wobec tego wielkiego kota jak Związek Radziecki. Czyżby myszka nie chciała przyjaźni z kotem?”

A może nie jesteśmy myszką, a on nie jest kotem? I tu przypomina mi się taka scena z domu wariatów w Tworkach. Chory wyobrażał sobie ciągle że jest myszką i drżał przed każdym kotem. Gdy psychiatra uznał, że już jest wyleczony, zwolnił go ze szpitala. „Zabierajcie walizeczkę i jazda ze szpitala. Oto przepustka dla portiera przy bramie”. Chory waha się: „Tylko proszę pana doktora, by kazał portierowi zamknąć swego kota gdy będę wychodził”. — „A po co, przecież już wiecie dobrze, że nie jesteście myszką”. — „Ja wiem, panie doktorze, ale czy kot o tym wie”. Ale tu wchodzimy w zakres tzw. „fałszywej świadomości”: działanie fałszywej świadomości ma tę samą siłę co świadomości normalnej. W aspekcie społecznym znaczy to, że nawet gdy opinia publiczna się myli, ona decyduje o postawie człowieka. Choćby to było wierutne kłamstwo. Nazywano je „bierutnym” przed Gomułki erą.

Boję się, że może ktoś wyciągnąć wniosek, iż w Polsce opinia publiczna ulega jakiemuś klasowemu podziałowi. Po blisko ćwierć wieku bezklasowej struktury społecznej o tym trudno mówić poważnie. Można by z większym uzasadnieniem mówić o partyjnym podziale opinii. Ale i tak nie jest. Ludzie dobrze zorientowani są i poza partią i w partii — linia delimitacyjna inaczej przechodzi w Polsce.

Pewien hinduski myśliciel jest zdania, że kłamstwo jest stygmatem naszego życia w demokracjach ludowych, że przez to jest naszą kłódą u nogi. Niewątpliwie nie było jeszcze w historii takiego zakłamania, skutkiem czego fikcje sąsiadują u nas z rzeczywistością. W lesie fikcji trzeba stale uważać i mimo to można zabłądzić. Nieprawdy instytucjonalne rodzą nieprawdy życia codziennego, indywidualnego. Tworzą klimat kłamstwa.

Oto mówiąc tylko o tych zasadniczych, kilka pierwszych z brzegu:

Nieprawdą jest, że demokracja ludowa jest demokracją; wiemy że nie jest demokracją.

Nieprawdą jest, że mamy równość obywateli; wiemy że są obywatele uprzywilejowani, jak ci chociażby, którym do stopni na egzaminach konkursowych dodaje się punkty za „społeczne pochodzenie”, albo jak ci studenci, którzy korzystają z dodatkowych punktów do ZMS (partyjnego związku młodzieży). Dopiero w październiku 1956 zlikwidowano „żółte firanki” na sklepach dla uprzywilejowanych, gdzie za grosze mieli wszystko, co ich dusze mogły zapragnąć, to co nieco przedtem dostawali w tzw. deputatach, tak jak dawniej ich właśnie zaopatrywała UNRRA. Prawdą jest także, że ci co nie są uprzywilejowani jeżdżą pociągami drugą klasą i za bilet płacą, a nie pierwszą za darmo, lub służbowym autem do osobistego użytku. Są ci co rozjeżdżają za granicę co chwila i inni którym tego się zakazuje. Ma z pewnością podstawy rosyjskie określenie, że „Komuna oznacza KOMU NA A KOMU NIET”, bo tak myśli o nich klasa robotnicza.

Nieprawdą jest równość warunków bytu, gdyż skala uposażeń jest w Polsce Ludowej niezwykle rozciągnięta od głodowych wynagrodzeń na dolnej drabinie do wysokich płac i premii na dyrektorskich stanowiskach.

Nieprawdą jest, że praworządność ludowa lub „praworządność socjalistyczna” jest praworządnością, bo jest tylko utrzymywaniem bezwzględного posłuszeństwa obywatela a nie rzetelności władzy.

Nieprawdą jest, że obywatel korzysta z wolności zebrań i pochodów, bo odbywają się tylko takie, które są nakazane i są tzw. spędem.

Nieprawdą jest, że obywatel może być spokojny iż w „godzinie mleczarza” nie ma odwiedzin służby Bezpieczeństwa, bo te odwiedziny nadal się odbywają.

Nieprawdą jest, że szanowane jest prawo własności osobistej obywatela, bo w r. 1964 władze właśnie zabrały mi maszynę do pisania i jej nie zwracają. Itd., itd., itd. — przerywam tę listę w obawie, że mi na nią nie starczy papieru, bo od kilku chyba lat w handlu papieru nie ma, z wyjątkiem listowego, a czasem klozetowego. Dodam jednak to co jest najważniejsze:

Nieprawdą jest, że cudowną właściwością naszego ustroju ma być rzekomo, iż naprawia się sam: żaden ustrój nie może naprawiać się bez rozeznania błędów, a to rozeznanie nie jest możliwe bez swobodnej krytyki, którą właśnie tej system wyklucza. Vox populi tak to ujął:

*„Nie naprawiaj, nie podskakuj,
Siedź na d.... i przytakuj”.*

Należy pamiętać, że w okresie października 1956 roku wyzwolenie się chwilowe od cenzury przyczyniło się walcie do zmian.



Kłamstwo jest płodne i prowadzi do zakłamania całego życia. Z Chin „rewolucji kulturalnej” dochodzi do nas taka charakterystyczna anegdota:

„W luksusowej restauracji, odwiedzanej przez cudzoziemców, dwaj kelnerzy w białych nieskazitelnych kitlach machają nad głową jak wariaci, białymi nieskazitelnymi ręcznikami. Zdziwionemu klientowi tłumaczą się:

— To nic. To halucynacje. Much nie ma. Dawno wszystkie są wytępione, nie może być ani jednej...

— A co towarzysze łapią?

— Łapiemy halucynacje, odnosimy je do kuchni i palimy je w piecu”.

Istotnie byłaby to z nich korzyść pozytywna i w niejednym piecu można by halucynacjami palić.

Nie chcę by ktoś sądził, że kłamstwo uwiło sobie gniazdko tylko we wschodniej Europie i że go nie ma poza nią. Uważam, by nie wmawiano we mnie rzeczy, których nie myślę. Nie, kłamstwo jest wszędzie, na całym świecie. Nawet jeżeli przyznaję, że „Świadkowie Jehowy” z godnym uznania charakterem zwalczają kłamstwo, to i w tym wypadku mam wątpliwości czy sama ich doktryna jest prawdziwa.

Mówię co innego. Mówię, że kłamstwo jest u nas instytucjonalne, że weszło w krew systemu, że nie wolno go zwalczać, że ma do swej obrony cały aparat represyjny.

Oczywiście i kłamstwo nie jest prawem, ale przywilejem. Wyjaśni to mały dialog z moich spotkań, jakich nikomu nie życzę. Słyszę w rozkazującym tonie takie słowa: — „Mówcie prawdę”. — „A czy pan mówi prawdę?” — „To do was nie należy. Wam kłamać nie wolno”. Jasne? Kłamstwo jest przywilejem — mój „rozmówca” mógłby powiedzieć: „Kłamać wolno tylko nam”.

Uprawnionym do kłamania nie mogą też zaprzeczać ci, którym kłamać nie wolno. Muszą kłamstwu przytakiwać, Tak czy owak kłamią więc wszyscy. Jedni przez negację rzeczywistości, inni przez afirmację nierzeczywistości.

Po prostu jest właściwością systemu, jego nieodrodną córką. Koniecznością okresu — jeśli kto woli. W moim przemówieniu na walnym zebraniu Warszawskich Literatów z 12 czerwca 1964

roku obiektywnie podkreślałem tę konieczność, choć mi zawzięcie przewodniczący Zawieyski, członek Rady Państwa, przeszkadzał. To przemówienie otworzyło przeciwko mnie słuzy fali represyjnej, która wciąż trwa. Trafiało w sedno rzeczy. W przemówieniu tym uznałem, że System i Ustrój nie są jednym i tym samym. Konstanty Ildefons Gałczyński kiedyś kropnął fraszkę: *Naród i Ustrój rozmawiają ze sobą, nazwijmy to rozmową. Naród (woła): Ustroju, ustroju! Ustrój (milczy). Naród (woła): Ustroju, ustroju! Ustrój (milczy): ustrój narodowi nie odpowiada...*

Nie zajmowałem się w mym przemówieniu oceną ustroju. Mówiłem o systemie który „narodowi nie odpowiada”. System w politycznym zarządzaniu państwem jest od ustroju niezależny. Podobnym Polizei-Staatem była Rzesza Adolfa Hitlera. Podobną francuska administracja Algierii. Ani jedna ani druga nic z komunizmem nie miały wspólnego. Z pewnymi odmianami rodzi się on wszędzie, gdzie władza rządzi na przekór opinii publicznej, stosuje przymus i posługuje się kłamstwem, by opinię zmylić, zmieszać, jej moc osłabić. Benjamin Constant powiedziałby: we wszystkich uzurpacjach. Dla opinii jest to system paraliżu postępowego, dla władzy — system leninowskiego Tita Titycza, kacyka z Kaczego Dołu.

Gdy władze dokonują niespodziewanych skoków, wynikających z im tylko znanej koniunktury, ich akrobatyczne zakręty opinię zaskakują. Co było słuszne wczoraj, staje się niesłuszne dziś. Ci nawet, co mają już partyjną tresurę wypadają „z linii”, gdy linia się odwraca w przeciwnym kierunku. Klną — po cichu — gdy się muszą przestawiać. Jest to bowiem cios w logikę obywatela, a każdy mózg ludzki ma jej elementy wdrożone, mózg inaczej nie mógłby myśleć, ergo funkcjonować. Ustawiczne ciosy w funkcje mózgowe to najbardziej katastrofalna strona systemu dlatego, że degraduje istotę ludzką. W tym świetle jakże głęboko słuszne jest powiedzenie Bertranda Russella: „Lepiej niech zginie świat, niżbym ja, lub inna istota ludzka, miała wierzyć w kłamstwo”. Reformatorzy różnego autoramentu głowią się u nas nad nędzną stopą życiową, nad deficytowymi budżetami przedsiębiorstw, nad fatą morganą dumpingu w naszym handlu zagranicznym, nad rosnącymi świadczeniami zbrojeń na rzecz obcych, nad rabunkowym charakterem gospodarki, nad coraz większym upadkiem naszej waluty, nawet w przyjacielskich krajach, ex-Oriente kierowanych — myślą o naprawie w przeróżnych domenach, a zdają się nie dostrzegać że zanika sam człowiek: „nim słońce wzejdzie — jak mówił Zygmunt Krasiński — rosa oczy wyje”.

Pozostawiam na boku pytanie czy możliwy jest ustrój komunistyczny wolnych ludzi, czy może się godzić z wolnością człowieka. Władza partii, która ten system uprawia, najwidoczniej uważa, że nie. Osobiście taaakim pesymistą nie jestem. Wiem, że rządy socjalistyczne Anglii i Szwecji wolność człowieka szanują. Skłonny jestem nawet tym pesymistom przeczyć. Oczywiście pod warunkiem pewnych przemian w ustroju pod kątem istoty ludzkiej (dla której istnieć ma ustrój): wszystko co przeczy samej naturze człowieka powinno być z niego wyeliminowane. Tego jest nie mało.

Mamy naród żywotny, pracowity i dzielny, mamy uczonych na światowym poziomie, mamy ręce i mózgi: nie należy im przeszkadzać. Jak w medycynie — przyjąć zasadę *primum non nocere*.

W interesie naszej przyszłości należy szczególnie cenić umysły krytyczne, należy je premiować. Trzeba żeby i Włodzimierz Sokorski przestał się wykrzywiać i krzyczeć: „Krytyka? Hola! Z jakiej pozycji, panowie!” — „Chyba z każdej, towarzyszu Sokorski”.

Przypomina się anegdota kursująca w Warszawie, że jakiś polski buddysta stanął pewnego razu przed Domem Partii, oblał się benzyną i zapalił. Buchnął ogień. Z okna na piętrze wychyliła się powszechnie nam znana głowa i zawołała: „A wy z jakiej pozycji palicie się, towarzyszu!”.

Ale Włodzimierz Sokorski łatwo nie daruje, więc zapyta: „Krytyka konstruktywna czy destrukcyjna — na tę się nie zgodzę”.

Bardzo mi jest przykro i bardzo go przepraszam, ale muszę powiedzieć, że „jak najbardziej destrukcyjna”. Śmiem twierdzić, że miarą krytyki jest jej moc destrukcyjna. Celem krytyki jest zniszczyć to co za złe uważa. Na jego miejscu można dopiero konstruować. I dlatego gdy ciągle się te zastrzeżenia słyszy, śmiech pusty mnie bierze. Nawet nie pusty, lecz gorzki. Taki bowiem niestety jest smak śmiechu w kraju, gdzie, jak pisał Adam Ważyk, „groteska i zbrodnia w jednym stoją domu”.

Gorzki istotnie jest humor Polaków. Zazdroszczę tym, co tak zdrowo, pełną gębą śmiali się za czasów Pickwicka. Za czasów Kliszki śmiech zgorzkniał.

Ale Włodzimierz Sokorski mi nie daruje i uporczywie słyszę jego pytanie: „Z jakiej palisz się pozycji buddysto polski?”.

Odpowiem mu: „Z pozycji wolnego człowieka i obywatela”.

Jasność barw tęczy

„... Na tym posiedzeniu po raz pierwszy uderzyła Piotra bezgraniczna różnorodność ludzkich umysłów, która sprawia, że żadna prawda nie przedstawia się dwóm ludziom jednakowo”.

Lew Tołstoj: „Wojna i pokój”.

1

Adam Schaff jest komunistą i profesorem. Odznacza się dość sympatyczną cechą: gra niezłe w tenisa. Jego grę charakteryzuje twardość, regularność, brak polotu, lecz umiejętność koncentracji i wygrywania. To są duże zalety w tenisie. Są to także zalety w innych dziedzinach, choć, rzecz jasna, łatwiej jest je dostrzec w dokonaniach Schaffa na korcie. Schaff nie przegrywa od wielu, wielu lat. Jeśli staje do jakiejś walki, nawet na śliskim boisku dialektycznych dociekań, z góry ma wygraną w kieszeni. Od czasu do czasu coś z udziałem Schaffa wygląda na zmagania, nawet na ryzyko, zawsze okazuje się jednak, że płyną z tego korzyści. Zdarzy mu się czasem napisać książkę, którą najwyższy aeropag partyjny schlasta słowami bezlitosnej krytyki. Wszyscy się wtedy troszczą o Schaffa i boją, podczas gdy jego zwolennicy dają do zrozumienia na prawo i lewo jak ciężką walkę toczy i z jakich to się opaków właśnie zwycięsko dobywa. Po czym okazuje się, że wszystko jest w porządku, a może jeszcze i lepiej. Krytyka, choć surowa, lecz zawsze sprawiedliwa, wykaże cenne wartości mimo błędów, komuniści franko-włoscy przytulą do serca i pocmokają z zachwyty nad szerokością horyzontów i tolerancją (mimo rygorów praktyki!) spierających się stron, lewiczowo-liberalny Zachód nazwie non-konformistą, otrze łyzy niezadowolonych utrapień z ćwierć-inteligentami z kierownictwa, ukoi i ukołysze na licznych bankieto-konferencjach, obsypie pochwałami za wysoki lot dumnej myśli. I tak się gra od Żdanowa i Bermana po Iljiczewa i Kliszkę.

Przez pierwsze 10 lat znaliśmy prof. Schaffa jako wiernego paladyna ludowej demokracji, po czym jakoby polskich koncepcji w łonie stalinizmu. Jego nabrzmiałe erudycją marksowską, a także ogólną, wywody, obejmujące szerokie rozlewisko humanistyki od filozofii kultury po socjologię, czytywaliśmy z niechęcią, niesmakiem, czasem z zapalczywym protestem, czasem z obu-

rzeniem i pogardą; nie mogliśmy się jednak pozbyć uczucia podziwu dla jasności wykładu, dla zasobu wykształcenia, dla solidności samej roboty dialektycznej, aczkolwiek tu i ówdzie znaleźć można było ślady cerowania i sklejania na siłę, zarówno w rozumowaniu jak i w dowodzeniu, dokonane ręką *d'un maître-tricheur*. Po 1956 Schaff okazał się teoretykiem przemiany i odnowy, ale już w 1957 przestrzegł naród w *Trybunie Ludu* przed zbytnim, umysłowym rozpasaniem. Zaś w niespełna 10 lat później ktoś nazwał go „doradcą tyrana w Warszawie”, przywodząc na myśl owe dwuznaczne posady spowiedników i zauszników na renesansowych dworach włoskich książąt. Boję się, że dziesięciolecie to, pełne zapewne cichych rozterek i zamyślnego przygryzania warg, stanowi gruntowniej o jakiejś brzydocie Schaffa, niż pierwsza dekada topornej i natarczywej, więc może choć trochę ironicznej służalczości. Rzeczą filozofa jest mieć *własny* sąd, za który zgadza się on złożyć głowę w ofierze, lub pójść na wygnanie; własne widzenie świata powinno dlań być ważniejsze, niż słuszość. Takie jest nasze, gminne wyobrażenie o filozofie, przekazane przez tradycję wieków. Wiemy, że liczni filozofowie nie mieli racji, a biusty ich stoją dziś w Panteonie. Wiemy też, że nawet najbardziej sztywne kanony i najsurowsze ortodoksje rodziły w swym łonie takich, którzy kląć się na swoją im wierność potrafili dawać gardła za własny sąd. Marksizm jest takim kanonem i mnóstwo w nim było i jest (również na Krakowskim Przedmieściu) myślicieli pasujących do moralnego tytułu filozofa. Filozof musi się gdzieś kiedyś *tak skutecznie* przeciwstawić silniejszemu od siebie, aby zmusić tego ostatniego do gwałtu i przemocy, której erupcja jest jego słabością, zaś triumfem filozofa. Walka z tym, co Urząd nazwał rewizjonizmem, nie jest służbą nieskażonej myśli marksowskiej, jak zapewnia prof. Schaff innych i siebie: jest fungowaniem z ramienia materii zorganizowanej i doskonalonej aż do szczybla, na którym potrafi się przeobrazić i skomplikować w Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przy ulicy Rakowieckiej. Jeśli „Marksizm a jednostka ludzka” winna była kiedykolwiek mieć dla Schaffa walor wielkiego „... a owóż ja tak sądzę!” w ramach kanonu, to przecież okazała się w końcu tym, czego gomułkizm łaknie jak manny z nieba i wody ze źródła Nibelungów, bez względu na to jakie są uwagi i zastrzeżenia mniej lotnych i bystrych, a bardziej zwapniałych w swym marksistowskim libido towarzyszy; i to gomułkizm nie tylko polski, lecz międzynarodowy, sięgający daleko, bo aż do Berkeley w Kalifornii i do *New York Book Review*. A że niektórzy towarzysze mają jaźń spreparowaną seryjnie i nie potrafią się poruszać bez dialektycznych protez i ideologicznych szelek, na których wiszą spodnie klasowej świadomości, to na to nie ma

rady; w końcu muszą zrozumieć że wszelkie fastrygi, przykrawania i poprawki, zarówno w interpretacji jak i we wnioskowaniu, czynione są w ich interesie i dla ich dobra, mimo, że wyglądają zawile i kontrowersyjnie. Zresztą towarzysze nie są aż na tyle naiwni, żeby w końcu nie zauważyć subtelного mrugania i sardonicznych uśmieszków, zapewniających, że nikomu się krzywda nie może stać.

Schaff przypomniał mi się w całej okazałości z okazji lamentów nad moją obsesyjną brutalnością, która zmusza mnie do deptania czystych i niewinnych jak polne kwiecie, byłych, ale już teraz nie-stalinowców. W niedawnej polemice wyraziłem o Schaffie opinię krótką, zwartą i być może nazbyt jednoznaczną. Zdarza się coś takiego w ferworze dyskusji i nie oznacza bynajmniej klęski precyzji, lecz jakiś brak. Czuję się więc w obowiązku brak ten wypełnić i naprawić. Jakoby też krwawo skrzywdziłem Schaffa pisząc o nim, że potrafił denuncjować bardziej niezawisłych od siebie i pozbawiać pracy i emerytur starych, inaczej myślących ludzi. Powoływano się przy tym na świadectwa nie byle jakie.

W gruncie rzeczy nie wiem do jakiego rodzaju komunistów należy prof. Schaff. Czy jest komunistą fanatycznym, czy wątpiącym, żarliwie wierzącym, czy sceptycznym racjonalistą, ślepo oddanym sprawie, czy ostrożnym, niezłomnym w wierności mimo wszystko, czy chłodno kalkulującym, przesadnym purystą, czy dumnym ikonoklastą, niepokalanym w adoracji i intencjach, czy dopuszczającym drobne bluźnierstwa, bałwochwalcą doktryny, czy ukrytym nałogowcem jej wiwisekcji, wielbiącym religiantem nie-naruszalnego honoru sprawy, czy utajonym szydercą, prawdziwym aktywistą, czy rdzennym kibicem udającym frenetycznego obrońcę? Nie wiem, co myślał sobie, kiedy pisał, czy wypowiadał słowa wypróbowane, jednoznaczne, wypolerowane, zahartowane w ogniu bezbłędnych jakoby rozumowań, sztywnie osadzone w niezłomnych formułach ustanawiających kamienne prawa życia dla zwykłych, czasem nieogolonych ludzi. Te słowa i zdania są łatwe do odczytania, przypomnienia i sprawdzenia w rocznikach polskiej prasy powojennej. Były w literacko-błyskotliwej *Kuźnicy*, czasopiśmie, którego dorobek dziś, po latach i metamorfozach jej tytanów i zalotników, wydaje się jakby zabawą w intelektualną klipę, w „twoje-moje”, w cajtki; ulotny, zwiewny czar marksizmu, czyli *Ah, où sont mes crédits d'antan?*..., okazał się w jakże krótkim czasie kupką łupin z gryzionych niegdyś, światopoglądowych pestek, zostały welinowe zapachy sentymentów, przy pomocy których, w łódzkiej redakcji, *rozumnie* odkadzano zbrodnie. Ale myśl Schaffa mościła się wygodnie nie tylko wśród elegantów: parla w rejony wyższe i trudniejsze, gdzie jej pączko-

wanie oznaczało konkret decyzji i odpowiedzialności. *Nowe Drogi* i *Życie Partii*, zatopione przez lata całe w atmosferze łajdackiej surowości eufemizmów, jakże śmiertelnych dla małych ludzi z ulicy pod oknami bibliotek, ujawniłyby nam wiele z Schaffa: słowa, zdania, ich wzajemny układ i stosunek, wyznaczały tu kłamstwa o prawdzie, które nie wiele znaczą dla prostego człowieka, ale które określają jego życie. A przecież nie był to jeszcze *end of the road*, pozostawały miesięczniki i kwartalniki naukowe, „Myśl Współczesna”, a później „Filozoficzna”, regiony magii zaklęć; nie zapomnijmy także o kokieteryjnych poblaskach analiz pytań fundamentalnych w *Przeglądzie Kulturalnym* i na kongregacjach w łonie Akademii Nauk — a wtedy, gdy tak sobie wyobrażymy Schaffa za zamczystym ale i gustownym biurkiem, pośród tomów i foliów ustawionych schludnie, bądź rozrzuconych twórczo, wtedy, być może, przyjdzie nam do głowy zbawienna podejrzliwość. Co myślał sobie zakuwając ciemnotę i kłamstwo w zbroję nienaruszalnej mądrości? Czy istotnie wierzy w zwycięstwo zła? Może go nie dostrzega? Może go chce? Może uśmiechał się zjadliwie pisując o genialności Stalina, a może nozdrza jego są specjalnie uodpornione na złe wonie? Może taplanie się w błocie metodologii daje mu perwersyjne rozkosze, a może nurza się w nich z masochizmem męczennika? Trudno powiedzieć. Jedyną wskazówką byłaby namiętność do terminu „humanizm” i freudyści wysnuli by z niej wnioski. Obsesja humanizmu, a więc i niedozwolonych swawoli, i żrącego zwątpienia, i tęsknoty za miłosierdziem, zdaje się gdzieś głęboko tkwić w Schaffie. Jak w każdym tenisiście.

2

Snucie takich refleksji uważane jest na ogół za wulgarne, za coś czego się nie robi. Dlaczego? Tego właściwie nikt dobrze nie wie. Terror konwencji. Zresztą nie robią tego tylko fachowcy od przemian zdań, urzędnicy intelektu, ślusarze sumień, ci wszyscy, którzy piszą w gazetach, a czasem i książki. Bowiem lud, pospolity i zaafierowany, nie ma czasu na subtelności różniczeń i zachnięcia się w imię dobrego smaku, toteż dla ludu, który pamięta, rzecz jedna od drugiej nie przedstawia się nazbyt odrębnie. Ja wierzę w różne *tabu*, czasem wręcz mogę jakieś polubić, ale nie wszystkie i nie zawsze. Toteż uświęcona reguła, że hitleryzm i komunizm to NIE to samo, jakoś do mnie nie trafia. Bowiem myśląc bez wstydlivosti, bezlitośnie i aż do końca aż nazbyt łatwo jest stwierdzić ich jednakowość. W celu więc uzgodnienia ze światem, który się wzdraga, tych moich

nieostrożnych i niepopularnych przeświadczeń postanowiłem sobie pozwolić na kieszonkowe studium komparatywne.

Komunizm, taki jakim go znamy, jest wynalazcą, teoretykiem, praktykiem, inżynierem i technologiem zbrodni, o jakich hitleryzm, taki jakim zdołaliśmy go gruntownie poznać, może i zamarzył, ale nie stało mu na nie sił. Zbrodniczość hitleryzmu polegała na planowym mordowaniu ludzi w przerażających ilościach, w przerażające sposoby i z przerażającą szybkością; w ostatecznym rozrachunku było to jednak *tylko* mordowanie. Przysłówek *tylko* jest w tym wypadku kwintesencją okrucieństwa, a jednak kryje się w nim wyjaśnienie. Niezmywalny grzech mordowania wśród tortur, z zagipsowanymi ustami, w męce duszenia się cyklo-nem, pozostanie na zawsze z hitleryzmem i z tymi, którzy w jego imię mordowali; przekleństwo ludzi mojego czasu nigdy nie oderwie się od nazwy, symbolów i nazwisk z nią związanych, aż po ostatnie nasze westchnienie, w którym raz jeszcze przeklniemy owe zbrodnie i owych zbrodniarzy. Hitleryzm mordował tępo, krwawo, nurzając się w rozdartych wnętrzościach, bądź antyseptycznie, bezmyślnie, nowocześnie, zawsze z maniackim uśmiechem sadysty, lecz także i kretyna, bestialskiego prostaka i chama przebiegającego się w nienaganność paradnych mundurów i chirurgiczne akcesoria cywilizacji. Te zaś, choćby najwspanialsze, nie zastąpią jednak geniusza zła, nie stworzą go z niczego tam, gdzie go nie ma. Nawet w sceneriach najponętniejszych ze swych mitologii hitleryzm pozostawał zawsze i tylko dobrze pomyślaną, zorganizowaną i wyposażoną jatką; unicestwiał w imię kryteriów nikczemnych, lecz przejrzyście prostych, za to, że było się Polakiem, Żydem, czy partyzantem. Ale mordując i depcząc na śmierć całe narody i miliony oddzielnych ludzi nie zabierał im rzeczy może nie najważniejszej, lecz jedynej jaka im w eschatologicznej chwili pozostawała — godności śmierci, klarownej jasności własnej ofiary z własnego życia zabieranego właśnie przez historię, przez czyjąś ponurą moc, przez bestialstwo innych, złych ludzi. W hitleryzmie można było umierać godnie, nawet z dumą, nie zapierając się samego siebie, jeśli ktoś umiał, nie gubiąc duszy (jak mówią Rosjanie, nawet materialści), nie tracąc siebie — czyli tej ostatniej części człowieczeństwa, której iskierka tli się na dnie najstraszliwszej nawet rozpacz. Hitleryzm miażdżył ciała i paraliżował śmiertelną trwogą serca, nurzał słabych w gnoju ich własnej słabości, wydzierał im męczarniami uczciwość i honor, ale gdy ktoś miał dość sił, aby obronić swe człowieczeństwo, hitleryzm stawał się zwierzęco nieporadny wobec tego co w człowieku silniejsze od biologii. Mógł tylko miażdżyć dalej, aż do rozplynięcia się materii, nie mógł zaś unicestwić pojęć i postaw. Rozstrzeliwani, wieszani, katowani, duszeni, zako-

pywani żywcem umierali potwornie, lecz wielu z nich trzymało zapewne w sobie aż po skurcz ostateczny jakąś świadomość, że coś uratowali, że umierają i wiedzą dlaczego, że ich bezsilny gniew, klątwa i nienawiść mają jakiś czysty, oślepiający sens.

Gwałtowna śmierć z ręki drugiego człowieka jest zapewne zawsze i wszędzie taka sama w swej ohydnej, psycho-fizycznej esencji, wydaje mi się jednak, że śmierć Żyda komunisty wydane go przez NKWD w ręce Gestapo jest najstraszliwszą ze śmierci. Jest wydarciem człowieka z jego własnego istnienia bez pozostawienia mu strzępu świadomości sensu tego istnienia. Hitlerowcy zabijali ludzi, którzy im się opierali, i nazywali ich potem bandytami; ale nie umieli odrzec ich z uczuć tych, którzy pozostawali przy życiu. Komuniści Stalina, Jeżowa i Berii potrafili i to, umieli zabrać ludziom wszystko, nawet ich identyczność, nawet ich cień jak w owej staro-niemieckiej bajce, nawet ich przeszłość i przyszłość. Hitleryzm umiał wyhodować dżunglę życia, w której nie można było ufać ulicom, domom, a nade wszystko drugiemu człowiekowi. Komunizm poszedł o krok dalej w wielu kierunkach: nawożąc głębież myśłami Lenina, Dzierżyńskiego, Stalina rozsiał wokół człowieka gąszcz, w którym nie mógł on już zaufać nawet samemu sobie, a ponadto kształtom, kolorom, zapachom, powietrzu. Potrafił związać kata z ofiarą współzależnością tak otchłannych upodleń, że aż wszystko roztopiło w niewypowiedzianej mazi, zaś człowiek wpłynął na koszmarną rafę, na której musi zginąć jako człowiek, zaś może się odrodzić już tylko jako coś innego. Co — tego nie wiem. Może jako subkółko w fantasmagorycznej nad-maszynie, może jako sprzączka u buta super-wszechwładcy pod-istnienia, którym w końcu stanie się jakieś robaczywe, wielonożne politbiuro. Jeśli komunizm i hitleryzm są śmiertelnymi parchami XX-towiecznej ludzkości to tym, co je różni, jest wyłącznie technika zżerania żywej tkanki organizmów, metoda procesu wrzodzenia i przesycania gnijną ropą materii życia. Hitleryzm zrobił wiele dla zadeptania istoty ludzkiej, ale niestety, nie umie pochwalić się takimi dokonaniem jak choćby ostatnio opisane w książkach Galiny Sieriebriakowej i Jewgienii Ginzburg. Weissberg-Cybulski ocalał mocą cudu zawartego w niedocieczonym, ale ilu Żydów komunizm zamordował tylko dlatego, że byli Żydami, Ukraińców, że byli Ukraińcami, chłopów, bo byli chłopami? I niech nikt nie usiłuje protestować, że już jest inaczej, że w mrok i zapomnienie odeszły mary przeszłości. Dopóki nominalna głowa ZSSR, tow. Podgorny porusza się po Kairze z generałem SS Dirlwangerem jako ze swym ubezpieczeniem od wypadku na życie — znak równania pomiędzy hitleryzmem a komunizmem płonąć będzie krwawo w świadomości milionów ludzi.

3

Komuniści skonstruowali w Polsce coś takiego, w czym obyczaje mogą być łagodniejsze, nie jest konieczny strzał w potylicę, ani zagłodzenie na śmierć całych segmentów społecznych na każdym zakręcie przeobrażeń i towarzyszących im uogólnień. Nawet Gomułka nie został zlikwidowany w czasie, gdy można było pozwolić sobie na takie figle. Lecz jeśli ktoś przypuszcza, że kolor i substancja cieczy krążącej po polsko-komunistycznym organizmie różni się zasadniczo od tej w Rosji, jeśli ktoś łudzi się, że zainstalowane w każdym zakątku tej konstrukcji komórki światłoczułe reagują inaczej i na coś innego, jest w niebezpiecznym błędzie. Różnice są niemal wyłącznie ilościowe — jest więcej zahamowań, więcej odziedziczonych przymusów, tradycji, upostaciowań i przyzwyczajzeń, więcej zażenowania i niepewności, które trzymają za nogi. *Więcej* daje tu zmiany jakościowe, choć w gruncie rzeczy polegają one na tym, że wszystkiego jest *mniej*. „Duży kraj, duże rzeczy, mały kraj, małe rzeczy...” jak pouczał mnie pewien znajomy krawiec imieniem pan Pinkus, który przywędrował po wojnie prawie pieszo z Kazachstanu do rodzinnej Łodzi po to, aby po paru dniach rozglądania się fachowym okiem jak jest na Piotrkowskiej, natychmiast powędrować dalej. A zatem wszystko się zmniejsza, w miejsce wymordowanych milionów czasem ktoś wykituje w więzieniu, stąd i hałas mniejszy; w miejsce gigantycznej sieci obozów eksterminacyjnych, jeden lub dwa punkty specjalnego odosobnienia w podmiejskich letniskach i kilka obozów pracy na Śląsku; zamiast ogromnych procesów kolektywizacyjnych (niekoniecznie na wsi), nie za duża, ot taka sobie w miarę Izba Wyrzeźwień. Brak Syberii to wolność Kościoła w Polsce. No bo i dokąd zsyłać opornych kaznodziejów? W Beskidy? Już raz tam jeden był i okazało się za blisko na to, żeby się zagubił ze szczętem. I znów ilość przechodzi w jakość, coś czego mało daje w końcu mniej nieszczęść i mniej niewoli, a zatem coś innego. Krew i cierpienie mają przecież swój konkretny i wymierny ciężar: im jest ich więcej, tym większa *publicity*. Co w niczym nie wpływa na samą naturę upływu krwi i znoszenia cierpień — w tym chyba leży ponadczasowa bezsilność małych narodów i państw.

Więc zasada pozostaje ta sama i mniejsze świństwo nie przestaje być przecież świństwem w ogóle. Są pomidory i *ich* pomidory. Nie *ich* skazane są na zagładę, szybszą, czy powolną, przez rozdeptanie, czy tylko przez wyrzucenie na śmietnik, lecz skazane są i od tego nie ma apelacji. Dewiza „Kto nie z nami

ten przeciw nam” jest niezmiennie mordercza, jej ponura rozciągłość i bezmierne konsekwencje pasują do każdej sytuacji, jej niszczycielska potęga przykłada się nie tylko do spraw ostatecznych. W Trzecim Komunizmie mordowanie przeciwników politycznych należy do rozwiązań niemodnych. Pozbawianie ich środków do życia jest systemem elastyczniejszym, lecz operować nim trzeba ostrożnie: paraliż narodowej gospodarki mógłby być jednym tylko z rezultatów stosowania takiej polityki na szeroką skalę. Pozostają metody pośrednie i współzależne: można, na przykład, gnoić ludzi półśrodkami, które są ostatnim krzykiem wynalazczości, jak półprzewodniki w elektronice. Na przykład: dać zarobić tyle, ażeby nie umrzeć z głodu, lecz nie dość, aby żyć. Albo: zmusić do nadludzkiej pracy, nie zostawiającej miejsca na inne funkcje życia. Albo: dać tyle, aby wyeksploatować czyjeś zdolności, nie zezwalając na ich racjonalną konserwację. A przecież nie samym chlebem człowiek żyje. Pewien poziom osobowości i rozwoju mentalnego, jakaś świadomość należnego od życia standartu w zamian za wkład w społeczeństwo, jakaś nieodzowna akumulacja zapasów duchowego, bądź materialnego wyposażenia, bądź odzewu u bliźnich w zamian za dokonania, stanowią o prawidłowym egzystowaniu, o funkcjonowaniu w ramach układu społecznego — jednym słowem: o zdrowym rozwoju jednostki. W odmowie *tego* właśnie tym, których na odmowę skazuje, komunizm osiąga szczyty perfidii i metafizycznego geniuszu, wciela się w zło absolutne i w demiurga zniszczenia. Świat został dogłębnie przepojony przedziwnym przekonaniem, że komunizm — o ile tylko nie morduje i nie głodzi — jest zbawcą, patronem, dobroczyńcą, któremu ze łzami wdzięczności dziękować należy za każdy przeżyty dzień. A nie uważać go za zbira, trzymającego jedną ręką tych którzy mu się nie podobają za gardło, zaś drugą potrząsającego pejcem niekończących się udręk i upokorzeń.

Ustaliwszy tych kilka prawd ogólnych rzec muszę, że nie poddaję w wątpliwość świadectw, z jakiej strony by one nie pochodziły, o tym, że prof. Adam Schaff pomagał kolegom-profesorom i filozofom, nawet różniąc się od nich przekonaniami na temat szerzej pojętej świadomości. Nasuwa się jednak szereg pytań.

Pierwsze i podstawowe pytanie, na które nie otrzymamy zapewne nigdy dość zadawalającej odpowiedzi, brzmi: dlaczego pomagał? Otwiera się tu przed nami otchłań delikatnych możliwości, nazywanych na ogół powszechnie duszą człowieka. Nie mnie sądzić o duszy w ogóle, a tym mniej w szczególe. Z drugiej jednak strony, kilka tysięcy lat rozważań w piśmie na ten

temat wypracowały w nas choćby najogólniejszą wiedzę o duchowych dyspozycjach i względnościach, która nakazuje odwagę stwierdzeń że nie wszystko co wygląda na dobre, jest od razu dobre, zaś nie wszystko co ma pozór zła, musi nieuchronnie być złe. Intencja stanowiła od wieków kluczowy problem etyk i religii; styk moralności z psychologią po dziś dzień, po całym tonażu zarejestrowanej i usystematyzowanej przez ludzkość wiedzy, ciągle jeszcze wydaje się nieplenionym ogrodem wśród haszczy, w którym nieustannie wycinamy nowe ścieżki, na ogół nigdzie nie prowadzące. Pochyliwszy się nad potrzebującym i podawszy mu pomocną dłoń, prof. Schaff dokonał dobrego uczynku i, z chrześcijańskiego punktu widzenia, zbawił duszę. Ale czy rzeczywiście mu na tym zależało? Czy powodowało nim wyłącznie zamięłowanie, zwane przez laików przyzwoitością? Może nosił w sobie głębokie przekonanie o integralności nauk, o ponad ideowej wspólnotie uczonych i mędrców, o świętej kastowości *gurus* i *swamis* zachodniej kultury, którzy winni wspierać się wzajemnie bez względu na mikroskopijne — w skali kosmogonii — drgnięcia igiełki na nazwach wierzeń? Może powodowały nim inne uczucia — jest ich niewyczerpana mnogość — których wcale tu nie będziemy wymieniać. Zakładamy, na pewno słusznie, że najjaśniejsze barwy tęczy opromieniały decyzje prof. Schaffa, gdy wyciągał współczującą rękę do pokrzywdzonych i prześladowanych.

Co nie znaczy, że akt taki, czy akty, przekreślają obiektywną funkcję prof. Schaffa w komunistycznej Polsce ostatnich 20 lat. Najogólniej biorąc, był on współtwórcą komunistycznego aparatu nacisku na świadomość. Montował ideologiczne rusztowanie, na którym wznosił się gmach instytucjonalnego ciemienia. Kształtował wzory nauczania oparte o obskurancki monopol. Ta ostatnia, nader konkretna działalność musiałaby ulec drobiazgowemu rozbiorowi zanim ktokolwiek zechce oceniać postawy prof. Schaffa. Prawdą jest jednak, że organizując hierarchię wartości i zasług z jednej, zaś grzechów i wykroczeń z drugiej strony, skleił z doktrynalnych przesłanek przy pomocy instrukcji i cyrkularzy obiektywnie istniejącą rzeczywistość, w której nie można oddzielać ani jego osoby, ani jego czynów od faktów owej rzeczywistości. Być może pomógł wybitnym przedstawicielom swej dyscypliny, ale co uczynił z mniej wybitnymi? Albo z takimi, których nie uważał za wybitnych? Albo nie uznał za godnych pomocy? Przecież mechanizm, którego tłoki oliwił pryncypialnością z takim oddaniem, nie przestawał ani na chwilę pracować, gnieść, likwidować, niwelować, niszczyć losy, miażdżyć egzystencje, grzebać dokonania, marnować ambicje, krzyżować zamiary, anulować wysiłki lat pracy, denuncjować wszystkich z żółtą

gwiazdą specyfikacji „wróg ludu”, lub „światopoglądowy dywersant”. Denuncjowanie jest rzeczą złożoną i cienką w komunizmie. To nie te czasy, gdy donoszono, pisano anonimy, szeptało władzy do ucha. Dziś jest to proces mechaniczno-chemiczny, o złożonych dyfuzjach i reakcjach, poddany prawom dynamiki i tarcia, skonstruowany zgodnie ze zdobyczami urzędowo-służbowo-społecznej cybernetyki, sięgający niezliczonymi czułkami do X-nieskończoności opinii o człowieku. Jak najdalszy jestem od kalumnii, że prof. Schaff mógłby sam, kiedykolwiek, na kogoś. Ale przemówienia na konferencjach i odprawach są w komunizmie tabelą logarytmiczną, której pierwiastkowanie ma zupełnie nieoczekiwane skutki dla różnych ludzi, podczas gdy setki tysięcy drobniejszych funkcjonariuszy żyje w końcu z wadliwego rozwiązywania tych fatalnych równań, bowiem wyżej od nich nikt nie chce prawidłowych rozwiązań. Zaś ktoś w końcu musi być odpowiedzialny, przynajmniej za układanie tabel. Prof. Schaff może i nawet nie ma pojęcia o tym ilu i jakich ludzi pozbawiono posad i emerytur w imię jego interpretacji pojęcia konieczności, które funta kłaków było nie warte, jak to się wszem i wobec objawiło w ciągu jednego, krótkiego, lecz brzemiennego w rozeznania roku. Kto wynagrodzi — żeby nie wymieniać żyjących — śp. prof. Henrykowi Elzenbergowi, jednemu z najoryginalniejszych polskich myślicieli naszego czasu, że nikt, poza garstką zainteresowanych, nie wie o nim w Polsce? Kto odda mu lata rozgoryczeń i smutku? Znam ludzi o najgłośniejszych nazwiskach w poezji i sztuce, którzy uważają Elzenberga za swego duchowego ojca i klną się, że jego mniej lub więcej przymusowe „zapomnienie” i „odsunięcie się” stanowi niepowetowaną stratę polskiego życia umysłowego. Rzecz jasna, winić o to prof. Schaffa byłoby absurdem. Prof. Ossowski wspominał niektórym o „szufladowej” pracy naukowej, którą Schaff umożliwiał nie-marksistom w dobie prześladowań. W roku 1961 prof. Schaff opublikował w *Nowych Drogach* artykuł pt. „Aktualna sytuacja i zadania polskiej filozofii”. Czytamy tam między innymi: „W pewnych kołach utrzymywało się przekonanie, że w latach 1951-56 nie-marksieści, aczkolwiek pisali wiele, mieli wzbronione publikowanie swych prac, co właśnie hamowało rozwój szkół filozoficznych w Polsce. Tymczasem sprawa 'pisanie do szuflady' wyglądała całkiem inaczej... Szuflady pełne rękopisów były mitem, udowodnionym faktem, że gdy w 1957 zaistniały większe możliwości publikowania, musieliśmy je wykorzystać głównie na wznowienia starych prac”.

Zachodzi tu kardynalna sprzeczność danych. Osobiście skłonny jestem wierzyć prof. Ossowskiemu, że filozofowie polscy pisali do szuflady.

4

Opowiadano mi w Nowym Jorku o kimś, intelektualistcie i profesorze uniwersytetu, który odwiedził Schaffa w Warszawie. Był zaskoczony dobrobytem i mieszkaniem, w jakim żyje Schaff. Osoba opowiadająca dodała: — Zawsze nam się tu wydawało, że wybitni ideolodzy żyją po tamtej stronie w warunkach skromnej prostoty, czego im właściwie tu zazdrościmy. Czym pan tłumaczy tę konsumpcyjną okazałość? — Wyższością materializmu dialektycznego nad burżuazyjnym idealizmem — odparłem, niezbyt zresztą mądrze.

Ale w tym płasko-popularyzatorskim paradoksie kryła się, mimo wszystko, jakaś precyzja. Tu chodzi o coś więcej, niż zewnętrzne akcesoria sukcesu. Jeśli, wierząc Tołstojowi, żadna prawda nie przedstawia się dwom ludziom jednakowo, to dlaczego jeden z nich musi być ukarany za swoją prawdę? Schaff dawno doszedł do wniosku, że tak powinno być i już dalej nie pyta. Osiągnął ład serca, jakże trudny dla wielu, jakże łatwy dla innych. Pokrętne, przepastne egzegezy są tu tylko ozdobą, fioriturą, prawda jest żenująco prosta. Jest to prawda o posprzątanym, wydmuchanym dialektycznym elektroluksem sumieniu. Stanowi o duchowej wygodzie. Pewien kierunek w filozofii marzył o tej wygodzie przez wieki. Szyderstwem losu jest, że potrafił ją wyprodukować marksizm, system myślenia chlubiący się swym zaangażowaniem w wieczny niepokój. Okazuje się, że nigdzie nie smakuje ona w równie wyrafinowany sposób jak w komunizmie. O ile ktoś wie, jak po nią sięgnąć i uczynić swoją.

Leopold TYRMAND

Cykliczne wahania w ustroju komunistycznym

Jednym z ciągle powtarzanych twierdzeń ekonomistów i propagandzistów komunistycznych jest zarzut, iż gospodarki wolnorynkowe cechują niszczące wahania cykliczne, z których Marks wyprowadził nieuchronność załamania się kapitalizmu. Z tym zarzutem powtarzana jest apodyktycznie stawiana teza, że w kra-

jach komunistycznych, w których autonomiczne siły rynkowe zostały ujarzmione przez centralne planowanie ekonomiczne, następuje stabilizacja wskaźników ekonomicznych — że wahania są wyeliminowane.

Badania Stallera na Zachodzie

Aby zbadać podstawy tej tezy George J. Staller, profesor czeskiego pochodzenia na uniwersytecie Cornell, przeprowadził dwa badania statystyczne¹, których wyniki zostaną tutaj podane w największym skrócie. Wyniki te są ważne, ale wczytanie się w nie może nastręczyć czytelnikowi pewne trudności.

Staller cytuje ekonomistę sowieckiego, G. I. Libmana, który stwierdził, że „socjalizm charakteryzuje przede wszystkim brak cyklicznych zaburzeń produkcji”. Nie chcąc pozostawiać tego stwierdzenia gołosłownym, Staller dokonał statystycznej analizy rozwoju produkcji północno-atlantycznych krajów Organizacji dla Współpracy i Rozwoju Ekonomicznego, oraz komunistycznej RWPG z dodatkiem Jugosławii. Analiza ta objęła dla obu bloków okres lat 1950-1960. Staller wykazał, że Związek Sowiecki posiadał najniższe wahania wśród krajów z planowaniem centralnym, tj. krajów RWPG. Natomiast sowieckie doświadczenie na polu cykliczności produkcji zostało albo osiągnięte, albo też prześcignięte przez poszczególne kraje wolnorynkowe, które na ogół wykazywały mniejsze wahania. Porównanie zbiorowe obu bloków państw również nie potwierdza komunistycznych przechwałek. Ogólny wzrost ekonomiczny był bardziej równomierny w gospodarkach wolnorynkowych. To samo miało miejsce w rolnictwie, budownictwie i — w mniejszym stopniu — w przemyśle. Jedynie bezwzględne spadki produkcji były mniejsze w przemyśle i budownictwie krajów komunistycznych od spadków produkcji w tych samych gałęziach na Zachodzie. Najważniejszym rezultatem badań Stallera jest jednak wykazanie, że przeciętne wahania ekonomiczne, zarówno ogólne w gospodarkach jako całościach, jak i w ich poszczególnych gałęziach, były o wiele większe w krajach komunistycznych. Tak więc dane faktyczne obalają jeszcze jeden mit stworzony przez propagandzystów komunistycznych. Fakt ten rzucił się w oczy nawet samym komunistom — co udokumentowane zostanie poniżej.

Cytując pretensje komunistyczne, że handel wśród i z krajami demokracji ludowej jest doskonale ustabilizowany, George Staller przeprowadził drugie statystyczne porównanie rzeczywistych wahań handlu zagranicznego, prowadzonego przez poszczególne kraje, należące do dwóch bloków, oraz handlu prowadzonego łącznie przez te bloki handlowe, a mianowicie przez zachodnioeuropejską Organizację dla Współpracy i Rozwoju Ekonomicz-

1. *The American Economic Review*, czerwiec 1964 i marzec 1965. Wyniki drugiego badania ukażą się tamże we wrześniu 1967.

nego, obejmującą Stany Zjednoczone, oraz przez komunistyczną Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Używając danych za lata 1950-1963, Staller doszedł do następujących wniosków:

1) Stany Zjednoczone wykazały największą stabilność w handlu zagranicznym, udzielając jej swoim partnerom handlowym.

2) Stabilność sowieckich importów i eksportów była w badanym okresie jedynie przeciętna. W wymianie handlowej z krajami gospodarczo nierozwiniętymi była ona o wiele mniejsza od stabilności Stanów Zjednoczonych, oraz nieco mniejsza aniżeli stabilność cechująca wymianę handlową krajów Organizacji dla Współpracy i Rozwoju Ekonomicznego. Natomiast była ona większa od stabilizacji importów i eksportów bloku Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

3) Organizacja dla Współpracy i Rozwoju Ekonomicznego wykazywała większą stabilność w handlu zagranicznym od bloku Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

4) Handel wewnątrz-blokowy był prawdopodobnie stabilniejszy wewnątrz bloku Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej niż wewnątrz bloku Organizacji dla Współpracy i Rozwoju Ekonomicznego.

Staller doszedł do konkluzji, że nie istnieje faktyczna podstawa do tak często przez komunistów stawianego zarzutu, że handel zagraniczny krajów wolno-rynkowych był mniej ustabilizowany aniżeli handel prowadzony przez gospodarki centralnie i ściśle planowane. Staller stwierdza, że bliższe prawdy jest stwierdzenie wprost przeciwne.

Komuniści odkrywają u siebie wahania cykliczne

W świetle powyższych danych wydaje się rzeczą dziwną, że w krajach komunistycznych spostrzeżono dopiero niedawno istnienie wahań cyklicznych. Ekonomista czeski i członek Partii, Josef Goldmann², badając okres 1950-1964 stwierdził, że stopa wzrostu produkcji przemysłowej wykazuje względnie regularne wahania w prawie wszystkich badanych przez niego krajach, tj. w Czechosłowacji, Polsce, na Węgrzech i w Niemczech Wschodnich. Działalność inwestycyjna wykazała jeszcze większe wahania — na co Goldmann zwrócił uwagę, i co pokrywa się z wynikami obliczeń Stallera.

Zaburzenia w cyklu produkcyjnym wykryli także ekonomiści polscy. Zwrócił na nie uwagę w 1965 r. Józef Pajestka³. Doszedł on jednak do optymistycznego wniosku — opartego najwyraźniej

2. „Stopa wzrostu i powtarzające się wahania w gospodarkach niektórych krajów socjalistycznych”, *Planovane Hospodarstvi*, 1964, nr 9, przetłumaczone w *Czechoslovak Press Survey* (wydawane przez Radio Wolna Europa), nr 1608 (23 lutego, 1965).

3. „Analiza niektórych aspektów rozwoju ekonomicznego Polski”, *Ekonomista*, 1965, nr 2.

raczej na wierze aniżeli na analizie ekonomicznej — że „Można przewidzieć, iż pewne fluktuacje, które dają się zaobserwować w rozwoju naszej gospodarki w przeszłości, będą stopniowo zanikać i cały proces rozwoju będzie stawał się bardziej równomierny⁴”.

Stwierdzenie takie było łatwe do zrobienia dla wierzącego i zaangażowanego członka Partii, niemniej jednak nie przyczyniało się ono do gruntowniejszej analizy zjawiska zaburzeń w cyklu produkcyjnym w krajach komunistycznych, analizy ich powodów oraz odpowiednich środków zaradczych.

Dopiero w październiku 1966 r. VII Plenum KC PZPR zwróciło oficjalną uwagę na nierytmiczność produkcji w Polsce, a szczególnie na cykliczność między ostatnim kwartałem każdego roku, kiedy produkcja jest wysoka, a pierwszym miesiącem i kwartałem następnego roku, kiedy produkcja spada⁵.

Poza tym Plenum to stwierdziło istnienie wahań między dekadami każdego miesiąca. „Referat podaje przykłady poszczególnych branż, w których produkcja I dekady miesiąca nie przekracza 20% osiągając w III dekadzie nieraz 55% produkcji miesięcznej⁶”.

Skonstatowano także istnienie nierytmiczności produkcji w czasie jednej doby lub jednej zmiany. Więc wreszcie odkryto Amerykę! Amerykę, można to dodać, z której istnienia dużo ludzi w Polsce zdawało sobie poprzednio sprawę, której jednak starano się nie nazywać po imieniu (mówiło się zwykle o „szturmownictwie”). Ponieważ zaś odkryły ją oficjalne czynniki partyjne, posypały się artykuły na jej temat (pisane częściowo w czasie przygotowań tematyki VII Plenum), będące typowym przykładem dzielnego wsiadania na zaaprobowanego konika. Artykuły te powtarzały prawie słowo „odkrycie” zrobione przez Plenum. Plenum już temat oficjalnie dyskutowało (lub miało dyskutować), więc można było spokojnie i odważnie pisać o wahaniami cyklicznych, krytykować je i „mobilizować opinię publiczną” przeciw nim⁷.

Zjawisko to ilustruje dosyć dziwną rolę przydzieloną w krajach komunistycznych pisarzom — rolę agentów, którym się tematy przydziela, i od których oczekuje się entuzjastycznego bicia w dzwony, trąbienia i odpowiedniej wrzawy. Bronisław Minc,

4. Tamże, str. 233-4.

5. „Podstawowe zadania w zakresie usprawnienia organizacji pracy i zarządzania w przedsiębiorstwach przemysłowych”, Referat Biura Politycznego KC PZPR na VII Plenum, *Nowe Drogi*, 1966, nr 11.

6. Tamże, str. 11.

7. Kilka przykładów: Antoni Gutowski, „Planowanie i rytmiczność”, *Życie Gospodarcze*, 1966, nr 38, podaje ciekawe liczby ilustrujące wahania produkcji; artykuł redakcji „Rytmiczność”, *Życie Gospodarcze*, 1966, nr 43; Gustaw Grupa, „Planowanie”, *Życie Gospodarcze*, 1966, nr 51/52; Karol Szware, „Główne uderzenia”, *Życie Gospodarcze*, 1967, nr 13; Grzegorz Pisarski, „Rytymika”, *Życie Gospodarcze*, 1967, nr 10; Janusz Nowicki i Zbigniew Schultz, „Nierytmiczność produkcji przemysłowej”, *Gospodarka Planowa*, 1967, nr 2.

pierwszej wody drętwiarz, który wśród ekonomistów polskich ma niestety dużo wpływu, pisał o IV Plenum słowa, które mają znaczenie ogólnej dyrektywy drętwego myślenia w nowym wydaniu: „Uchwały IV Plenum KC PZPR, wskazując kierunki zmian w zarządzaniu i planowaniu gospodarką narodową, nakładają na naukę ekonomiczną obowiązek twórczych (*sic!*) poszukiwań w celu usprawnienia socjalistycznego systemu gospodarczego⁸”.

Więc wpierv przychodzi „wskazanie kierunków” przez nieomylną Partię, a potem następuje ściśle uregulowana „twórczość” pisarzy, która wykazuje dokładnie to, co chce osiągnąć Partia.

W tymże zresztą „twórczym” artykule Minc postulował, że „Niedomagania gospodarki socjalistycznej są dziełem ludzi i wynikają z określonego układu sił społecznych⁹”.

Wynika z tego, że system komunistycznej gospodarki jest dobry — co stanowi oczywisty pewnik — i że tylko ludzie od czasu „nawalają”¹⁰.

Wychodząc z tego założenia można „odważnie” krytykować pewne wypaczenia systemu, bez obawy podważenia jego zasadniczej wyższości nad wszystkim co było, jest i będzie. Błędy, jak to zobaczymy, spowodowane są tylko przez ludzi.

Tło zainteresowania wahaniami cyklicznymi

Każde zjawisko — szczególnie w raju dialektyzmu — ma swoje przyczyny. Warto jest więc uświadomić sobie skąd wypływa to dosyć nagłe zainteresowanie ekonomistów w krajach komunistycznych wahaniami cyklicznymi, albo też raczej co skłoniło partię komunistyczną do otworzenia polemiki na ich temat.

Wydaje się, że głównym powodem tego nowego zainteresowania jest nagły spadek w tych krajach stopy wzrostu, który czasowo przynajmniej zniweczył wszystkie bufonady Chruszczowa. Wzrost dochodu narodowego brutto (GNP) w ZSSR, który w okresie 1950-58 kształtował się na przeciętnym poziomie 7,1%, spadł w okresie 1958-1964 do 5,3%. W okresie 1956-1960 wynosił on 6%, a w okresie 1961-1965 spadł do 4%. Jednocześnie specjalnie spadł wzrost produkcji rolniczej, a także przemysłowej i budownictwa. Wzrost inwestycji wykazał także decelerację, podczas gdy coraz większe inwestycje są potrzebne dla uzyskania danego wzrostu produkcji. W wyniku tych zjawisk, oraz w wyniku doskonałej koniunktury na Zachodzie, Rosja przestała być jednym z najszybciej rozwijających się krajów, tracąc przez to dużo walorów propagandowych. Zresztą podobne do sowieckich trendy ukazały się także wśród krajów demokracji ludowych.

8. „Problem optymalizacji współczesnej gospodarki socjalistycznej”, *Ekonomista*, 1966, nr 2, str. 317.

9. Tamże, str. 317.

10. Diagnozę taką, w odniesieniu do okresu stalinowskiego, usłyszał autor z ust rozczarowanego członka partii komunistycznej w 1957 r. Zastanawiające było, że diagnoza ta wypowiedziana była najzupełniej poważnie.

W wyścigu produkcyjnym między mocarstwami ma to brzemienne skutki. Stanley H. Cohn¹¹ obliczył, że do 1958 r. sowiecki GNP wzrastał jako proporcja amerykańskiego (osiągając w stosunku do tego ostatniego proporcję 46-47%), i że od tego czasu utrzymuje się on w niezmienniej proporcji amerykańskiego GNP (którego dynamika wzrosła w okresie lat 1960-tych), co przy wzrastającym dochodzie powoduje zjawisko absolutnie zwiększającej się różnicy dochodów¹². Tak więc powstaje możliwość, że w przyszłości różnica między dochodem Stanów Zjednoczonych a dochodem ZSSR nie tylko nie zmaleje czy nawet zniknie, a wręcz przeciwnie — powiększy się. Czyż w takich warunkach można by sobie wyobrazić, że dążenia sowieckie do hegemonii światowej (tzw. „zwycięstwo proletariatu”) uwieńczone być mogą sukcesem? Stało się więc rzeczą ogromnej politycznej wagi dla komunistów zrewidować swoją organizację produkcji i znaleźć w niej istniejące wady — a co za tym idzie — odkryć nowe potencjały wytwórcze. Stąd też zwrócono wreszcie uwagę na nierytmiczność produkcji.

Cytowany referat Biura Politycznego KC na VII Plenum stwierdził jasno, że „Gdyby nie było cyklicznych wahań produkcji, zdolność produkcyjna wielu przedsiębiorstw, a nawet całych gałęzi przemysłu, mogłaby być bardziej efektywnie wykorzystana¹³”. Chodzi tu więc najwyraźniej o podniesienie produkcji — a w ostatniej instancji o walkę konkurencyjną systemu komunistycznego z kapitalistycznym. Aby skutecznie zaradzić temu nowoodkrytemu złu arytmiczności trzeba zanalizować czynniki składające się na jego powstanie.

Powody wahań cyklicznych w gospodarkach krajów komunistycznych

Goldmann nazwał nierytmiczność w gospodarkach krajów komunistycznych „quasi-wahaniem cyklicznym” z braku — jak twierdzi — innej odpowiedniej nazwy. Sam ten wybór nazwy i jej wytłumaczenie cechuje dużą ostrożność aby nie być przypadkiem oskarżonym o zgubną herezję, polegającą na porównywaniu usterek socjalistycznych z kapitalistycznymi. Dlatego też Goldmann zaznacza wyraźnie, że w wahaniami tych w krajach komunistycznych nie ma nic nieuchronnego lub automatycznego, i kładzie je na karb „naszej niezdolności użycia w pełni ekonomicznych praw socjalizmu”. Więc znowu — system jest dobry, tylko ludzie „nawalają”.

11. „Soviet Growth Retardation: Trends in Resource Availability and Efficiency”, w *New Directions in the Soviet Economy*, Part II — A, *Economic Performance* (Washington: U.S. Government Printing Office, 1966, \$ 1.00), str. 108.

12. Np. 47% od dochodu \$ 100 daje absolutną różnicę \$ 53, ale to samo 47% od dochodu \$ 200 daje już absolutną różnicę \$ 106.

13. *Nowe Drogi*, 1966, nr 11, str. 11.

Goldmann kładzie wahania na karb jednorazowości wyników socjalizacji przemysłu, nierównego rozwoju przemysłów surowcowych i przetwórczych (nie chcę tu czytelnika nużyć tłumaczeniem tego zjawiska) i związanego z tym potencjalnie nieodpowiedniego planowania, oraz nierównego tempa inwestycyjnego (najwyraźniej spowodowanego czynnikami politycznymi). Podkreśla on różnicę między wahaniami kapitalistycznymi i komunistycznymi, która według niego powstaje z faktu, że w kapitalizmie wahania „wypływają z natury stosunków produkcyjnych w kapitalizmie, i że mogą one być tylko w pewnym stopniu złagodzone interwencją państwa. Na odwrót, nasze wahania nie są logicznie wrodzone, ale spowodowane są naszą niedostateczną wiedzą o prawach ekonomicznych socjalizmu i naszymi błędami w ich zastosowaniu do planowego kierowania gospodarką¹⁴”.

Tego rodzaju „wytłumaczenie” różnicy zjawisk w gospodarkach komunistycznych i kapitalistycznych jest typową bajką ideologiczną, która nic nie wyjaśnia.

W drugim artykule tej serii¹⁵ Goldmann dochodzi do wniosku, że centralistyczne rozwiązanie systemu ekonomicznego nie posiada wyższości nad decentralizacją¹⁶.

Trudno znaleźć jednak w jego artykułach głębsze wyjaśnienie powodów wahań cyklicznych — prawdopodobnie dlatego, że czynniki polityczne wydają się grać w nich dominującą rolę, a czynniki polityczne to przecież w krajach komunistycznych jest *tabu*.

Pajestka twierdzi w cytowanym artykule, że cykliczność kilkuletnich okresów wynika z charakterystyki techniczno-ekonomicznej procesu inwestycyjnego. Obiekty inwestycyjne zaczyna się jednocześnie, po czym następuje długi okres gestacji aż do oddania ich do eksploatacji — i wreszcie ukazują się rezultaty skoncentrowane w pewnych okresach. Jako dodatkowe powody cykliczności w rozwoju gospodarki polskiej Pajestka podaje także:

„— czynniki związane z systemem funkcjonowania gospodarki, rodzące tendencje do nadmiernych programów rzeczowych inwestycji, do niedocenia nie inwestycji modernizacyjnych, itp.,

— tendencje do bardzo optymistycznych ocen możliwości gospodarki w dziedzinie obciążeń inwestycyjnych...,

— wpływ rozwoju produkcji rolnictwa na równowagę ekonomiczną kolejnych okresów i w związku z tym na możliwość realizacji założonych programów inwestycyjnych,

— kierunki strukturalne rozwoju, związane z założeniami w dziedzinie polityki handlu zagranicznego¹⁷”.

Stwierdzenia te składają się na przyznanie, że komunistyczny

14. *Czechoslovak Press Survey*, op. cit., str. 22.

15. „Stopa wzrostu w niektórych krajach socjalistycznych i model ekonomicznego zarządzania”, *Planovane Hospodarstvi*, 1964, nr 11, przetłumaczone w *Czechoslovak Press Survey*, no. 1608.

16. Tamże, str. 33.

17. *Ekonomista*, 1965, nr 2, str. 233.

system planowania dopuszcza się olbrzymich błędów, kosztujących gospodarkę miliony złotych. I chociaż błędy te popełniają ludzie, operują oni jednak w pewnym systemie, który najwidoczniej otwiera możliwości, lub przynajmniej pozostawia możliwość popełniania świadomych lub nieświadomych błędów. Stwierdzenia powyższe wskazują także na wbudowane w system planowania centralnego tendencje do forsowania inwestycji. Jednocześnie wynika z nich, że biurokratyczne planowanie typu sowieckiego operuje forsowaniem postępu „na siłę”, popędzaniem gospodarki tępym ładowaniem w nią coraz to nowych inwestycji, z pominięciem lub z niedostatecznym uwzględnieniem postępu technicznego i ulepszenia organizacji.

Ciekawe jest także, iż Pajestka wymienia handel zagraniczny Polski jako czynnik powodujący wahania gospodarcze. Jak widzieliśmy już, Staller wskazał na cykliczność handlu zagranicznego w państwach komunistycznych.

Bolesław Jaszczuk w przemówieniu na VII Plenum¹⁸ stwierdził, że „Na nierytmiczną pracę zakładów składają się różne czynniki: zewnętrzne w stosunku do przedsiębiorstwa — w postaci nieterminowych albo niekompletnych dostaw z kooperacji [chodzi tu o pod-kontraktacje w produkcji między różnymi przedsiębiorstwami, a nie o spółdzielczość] lub też wewnętrzne — wynikające z błędów i niedostatków planowania wewnątrz-zakładowego¹⁹...” Więc znowu trzeba walczyć z ludźmi, którzy perwersyjnie i głupio nie mogą zrozumieć ekonomicznych praw socjalizmu, jedynych i doskonałych!

Nowicki i Schultz w cytowanym artykule tłumaczą wahania cykliczne w produkcji przemysłowej po prostu złą organizacją produkcji. Diagnoza ta jest zbyt ogólnikowa aby pozwolić na zrozumienie powodów tych wahań.

Jako pisarz żyjący na Zachodzie, Staller jest w swojej analizie bardziej rzeczowy. Sądzi on, że wytłumaczenie wahań cyklicznych w krajach o systemie centralnego planowania powinno uwzględnić nagłe zmiany polityki ekonomicznej, zmiany w organizacji i technice planowania, presje polityczne ze strony ludności, zbyt ambitne plany gospodarcze i błędy w planowaniu.

Uważam, że powinno się dodać do tej listy Stallera nadmierne reakcje na zmiany w sytuacji międzynarodowej, brak zadawającego dopływu informacji oddolnych do organów planowania, które z tego powodu formułują nierealne lub po prostu niedopowiednie plany (co nazywam „błędną komunistyczną cybernetyką”) i większą zależność państw komunistycznych od rolnictwa aniżeli ma to miejsce w krajach zachodnich. Ogólnym, najważniejszym powodem tych wahań jest bez wątpienia prymat ideologiczno-polityczny w sprawach ekonomicznych. Jestem osobiście przekonany, że ekonomiści w krajach komunistycznych wygładziliby sami

18. „Przemówienie wprowadzające do dyskusji nad referatem Biura Politycznego KC PZPR”, *Nowe Drogi*, 1966, nr 11.

19. Tamże, str. 25.

z dużym powodzeniem cykle „koniunkturalne”, gdyby nastąpiło odpolitycznienie decyzji gospodarczych. W obecnych warunkach można mieć tylko nadzieję, że nastąpi względne, powolne zmniejszenie nacisku politruków na system ekonomiczny, ale trudno jest zakładać, że wypuszczą oni z rąk berło władzy gospodarczej. Co najwyżej ich wiedza ekonomiczna wzrośnie, dojdą wśród nich do głosu Kosygin i Gierkowie, a wyjdą z obiegu Chruszczowy i Gomułki. I to już byłby — w każdym razie ekonomicznie — postęp. Wydaje mi się, że tajemnicą sukcesu jaki osiągnęły systemy ekonomiczne wolnorynkowe w wygładzaniu wahań cyklicznych, sukcesu który — trzeba to obiektywnie stwierdzić — osiągnięty został w trudnych warunkach gospodarki w dużej mierze spontanicznej i zorientowanej w kierunku konsumenta, ciągle zmieniającego swoje życzenia, jest traktowanie systemu ekonomicznego bezideowo, beznamietnie, jako problemu fachowego, który rozwikłuje się nie „atakami”, „walką”, „uświadomieniem mas” i podobnymi bzdurami, a raczej narzędziami polityki ekonomicznej.

Rezultaty wahań i środki zaradcze

Cytowałem powyżej stwierdzenie Biura Politycznego KC, że wahania cykliczne prowadzą do niewykorzystania pełnego potencjału produkcyjnego gospodarki. Nowicki i Schultz stwierdzają istnienie obniżenia jakości produktów, ponieważ w okresach wysokiej, szturmowniczej produkcji kontrola nie może podołać swemu zadaniu i przepuszcza towary z brakami, które później trzeba dużym kosztem naprawiać. W ten sposób koszty zaopatrzenia niepotrzebnie się podnoszą. Gutowski skarży się na to samo zwiększone brakoróbstwo, oraz na niewykorzystanie siły roboczej, która w zasadniczych godzinach pracy jest czasem czynna jedynie w ok. 65%, i, co za tym idzie, na konieczność wprowadzania godzin nadliczbowych, które powiększają niepotrzebnie koszty produkcji.

Aby zaradzić tym kosztownym tendencjom żaden z pisarzy nie proponuje oczywiście gruntownej zmiany systemu w kierunku odpolitycznienia decyzji gospodarczych. Jakkolwiek skuteczna, rada taka byłaby zbyt radykalna jak na obecne polskie stosunki polityczne. Proponuje się natomiast półśrodki, coś w rodzaju „twórczych” recept, które pacjenta nie uzdrowią, ale dadzą mu przynajmniej poczucie, że coś się koło niego robi, i które jednocześnie nie urażą komunistycznych pielęgniarek-aparatczyków, i nie pozbawią ich pracy.

Już w 1965 r. Janusz Gościński²⁰ zaproponował wprowadzenie planowania ciągłego, tj. planowania, które nie byłoby poroździelane na sztuczne okresy kwartalne, roczne, czy pięcioletnie, w celu — jak to określił — „eliminacji wad obecnego systemu”.

20. „O koncepcji planowania ciągłego”, *Gospodarka Planowa*, 1965, nr 5.

Według Gościńskiego plany obecne, „odnoszące się do krótszych okresów nie wykazują należytych, niezbędnych powiązań ilościowych i jakościowych z planami dla dłuższych okresów²¹”.

Planowanie ciągle wprowadziłoby element stałej kontroli i ewaluacji wykonania planów z okresów poprzednich i bieżących, oraz element formułowania zadań bieżących i przyszłych w świetle wyników dotychczasowych osiągnięć. Tego rodzaju planowanie byłoby ściślej powiązane z rzeczywistością aniżeli obecne biurokratyczne i formalistyczne planowanie w krajach komunistycznych. Podobnie zresztą Nowicki i Schultz proponują w cytowanym już artykule wprowadzenie planów ząębających się o siebie, przygotowanych na pięć kwartałów, tak że jeden kwartał planu poprzedniego stanowiłby jedną piątą część następnego planu.

VII Plenum postanowiło w swojej uchwale, że „Plenum KC uznaje za konieczne podjęcie środków zmierzających do poprawy rytmiczności produkcji w przedsiębiorstwach przemysłowych²²”. Plenum postanowiło, że przed końcem listopada 1966 r. powołane zostaną zakładowe komisje do usprawnienia organizacji produkcji. W grudniu 1966 r. Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów wydał zarządzenia w celu właściwego uregulowania produkcji w pierwszym kwartale 1967 r.

Trudno jest już teraz ocenić sukces tej nowej kampanii. Prawdopodobnie wprowadzi ona pewną poprawę. Grzegorz Pisarski²³ stwierdził, że styczeń 1967 r. wykazał mniejszy spadek produkcji w Polsce, w porównaniu z poprzedzającym go bezpośrednio grudniem, aniżeli poprzednie stycznie. Jednocześnie zauważył, że dynamika zatrudnienia w styczniu 1967 r. była mniejsza aniżeli w styczniach poprzednich lat, co wskazuje na większą stabilizację rynku pracy i na większą efektywność w użyciu robotników niż miało to miejsce w latach poprzednich.

Za wcześnie jest jeszcze na wyciąganie wniosków, należy mieć jedynie nadzieję, że nastąpi pewna poprawa. Chcę podkreślić, że osobiście wydaje mi się, że poprawa taka może być tylko połowiczna, i że jedynie odpolitycznienie życia gospodarczego kraju dałoby radykalną poprawę cykliczności produkcji.

Bogdan MIECZKOWSKI
Ithaca College, Ithaca, N.Y.

21. Tamże, str. 50.

22. „Uchwała VII Plenum KC PZPR w sprawie zadań w zakresie usprawniania organizacji pracy i zarządzania w przedsiębiorstwach”, *Nowe Drogi*, 1966, nr 11, str. 30. Mimochodem można zauważyć, że jak wynika z powyższego tytułu partia komunistyczna najwyraźniej nie zniża się do używania prostego i zwięzłego stylu w języku polskim.

23. „Rytmika”, *Życie Gospodarcze*, 1967, nr 10.

Niezaproszeni na uroczystość

W tych dniach byłem obecny na uroczystym odsłonięciu tablicy pamiątkowej, wmurowanej w fasadę genewskiego gmachu, w którym w latach 1904-105 mieszkał Lenin.

Przypadek zrządził, że tegoż samego wieczoru przeczytałem w „Die Zeit” z 22. 9. 1967 relację Larissy Daniel z ostatniego widzenia się jej z mężem, pisarzem Julim Danielem, przebywającym od 18 miesięcy w obozie pracy przymusowej w Oziornoje, w autonomicznej republice Mordwińskiej.

Z jednej więc strony uroczystość, którą obecność przedstawicieli miejskich i kantonalnych władz Genewy stawiała ponad zamęt polityczny i która z samej historii czerpała swoją godność i blask. Jeden z mówców, wybitny historyk, słusznym tytułem witał w Leninie nie tylko założyciela wielkiego państwa, ale również promotora nowego humanizmu, herolda tej nowej ludzkości, wyzwolonej na zawsze z pęt eksploatacji, która była w jego oczach najwyższym celem i najwyższym usprawiedliwieniem przewrotów, z konieczności okrutnych, za które tak dumnie brał odpowiedzialność przed historią.

Z drugiej strony, obraz młodej kobiety, którą znałem wtedy kiedy była szczęśliwa z mężem i synem, w tym skromnym pokoju starej Moskwy, gdzie spędzałem długie godziny w ich towarzystwie; młoda kobieta, która mówi z prostotą, tak jak o rzeczy samej przez się zrozumiałej, o tych 17-tu kilometrach które przesła pieszko z synem od stacji w Poćmie do obozu Oziornoje. W Moskwie pozwolono jej wierzyć, że wizyta będzie mogła trwać 3 dni; w chwili, kiedy ją wpuszczono do obozu oświadczone jej, że będzie mogła rozmawiać z mężem tylko godzinę. Ona i syn przywieźli ze sobą tyle prowiantu, ile tylko mieli siłę unieść; strażnik pozwolił im wejść z czterema pomarańczami i jedną paczką papierosów; kiedy odchodziła bezlitośnie zmuszono ją do zabrania reszty z powrotem. Odeszła więc po godzinie, z obrazem męża, który słabnie z dnia na dzień, pozbawiony opieki lekarskiej, której wymaga dawna rana i świeża infekcja ucha, wy-

ciężzonego przez pracę ponad siły, regularnie karanego i chro-
nicznie niedożywionego.

W Moskwie, pułkownik KGB, któremu doniosła o tym nie-
ludzkim traktowaniu, odpowiedział, że los Juli Daniela jest jesz-
cze zbyt łagodny, ponieważ nie pozwala się on reedukować. Wizi-
ty, paczki, opieka lekarska, a nawet ilość kalorii niezbędnych
do życia, nie stanowią bowiem prawa więźnia, ale są przywile-
jem, udzielanym przez władze obozowe, jako środek „reedukacji”.
Widzę Juli Daniela, jego dobry, łagodny, prawie bojaźliwy
uśmiech intelektualisty, a także wydaje mi się, że widzę błysk,
który chwilami pozwala odgadnąć płomień niewzruszonego pos-
tanowienia i prawości moralnej w każdej próbie.

Nowy człowiek, taki jakiego chciał Lenin, taki jakiego pań-
stwo sowieckie jakoby wykuwa — takiego człowieka wyobrażam
sobie poprzez ludzi typu Daniela. Źródło tej potężnej nieugięto-
ści moralnej, którą usiłują złamać, widzę w jego pogardzie dla
wartości materialnych i w szacunku dla wartości moralnych,
które jemu i całemu pokoleniu sowieckich ludzi wpajało trudne
życie i surowe wychowanie poprzez twarde doświadczenia na
froncie. Nie milczeć, nie ustępować przed siłą — nie ustępować
ani o krok, kiedy w grze jest godność ludzka; uważać wolność
za prawo, a nie za nadany przywilej. To stanowisko ukazywały
już jego opowiadania, a dzisiaj wyraża się ono w postawie, za
którą oprawcy każą mu tak drogo płacić.

Czyż nie stajemy się współnikami tych oprawców święcąc
wraz z nimi imię Lenina i rocznicę Października? Przecież w
rzeczywistości powołują się oni właśnie na Lenina i Październik.
Czyż podszywają się pod sławne imię, pod chlubną datę? Jeżeli
tak, to wszystkimi środkami powinniśmy piętnować to nadużycie.

Sowieccy przyjaciele zarzucają mi, być może, że zakłócam ich
święto. Niestety, nie mogę się wraz z nimi cieszyć uroczystością,
z której wykluczeni są Siniawski i Daniel. I chciałbym im także
przypomnieć, że to nie ci, którzy wskazują na oburzające fakty
zaciemnia blask pięćdziesiątej rocznicy Października, ale ci, któ-
rzy pozwalają przeminąć okazji uwolnienia ludzi niesprawiedli-
wie skazanych.

Michel AUCOUTURIER

(Przeł. z francuskiego Zofia Hertz)

List Michel'a Aucouturier zamieszczony był w „Le Monde” z dn. 12-13
listopada 1967.

O obecnej sytuacji na Ukrainie

Poniższe oświadczenie — *Zajawa pro suczasnu sytuaciju w
Ukrajini*, — z podpisami 32 wykładowców uniwersytetów amery-
kańskich pochodzenia ukraińskiego, zostało 4 listopada 1967 roku

wysłane (po angielsku) do Breżniewa, Podgornego, Kosygina i Gromyki, oraz (po angielsku i ukraińsku) do pierwszego sekretarza KC partii na Ukrainie Szelesta, do przewodniczącego Rady Najwyższej republiki ukraińskiej Korotczenki, do prezesa Rady Ministrów republiki ukraińskiej Szczerbytskiego, do ministra spraw zagranicznych republiki ukraińskiej Biłokolsa.

A.

„My niżej podpisani, profesorowie i wykładowcy uniwersytetów amerykańskich pochodzenia ukraińskiego, pragniemy przedstawić publicznie nasze poglądy w sprawie obecnej sytuacji w Ukraińskiej Sowieckiej Republice Socjalistycznej i położenia narodu ukraińskiego w Związku Sowieckim.

W bieżącym roku ZSRR obchodzi pięćdziesiątą rocznicę Rewolucji Październikowej. Dla Ukraińców rok ten jest również pięćdziesiątą rocznicą odrodzenia ich państwowości: proklamacji Ukraińskiej Republiki Narodowej. Dzisiejsze położenie Ukraińskiej SRR jest wciąż zdeterminowane sprzecznością między nominalną suwerennością Republiki (która obejmuje konstytucyjne prawo secesji i status członka ONU) i faktycznym odebraniem jej tych prerogatyw oraz funkcji, jakie przysługują każdemu wolnemu i niepodległemu narodowi. Prawa państwa i narodu ukraińskiego są rozmyślnie i stale naruszane, często nawet spowodowane w praktyce do zera, przez nacisk wszechzwiązkowego rządu w Moskwie. Fakt że kierownicza organizacja polityczna w Ukraińskiej SRR, Komunistyczna Partia Ukrainy, została zredukowana do roli prowincjonalnego odgałęzienia Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego uniemożliwia Ukrainie wykorzystywanie nawet tych praw, jakie zagwarantowała jej Konstytucja Sowiecka. Ingerencja rządu wszechzwiązkowego i centralnych organów Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego stoi na przeszkodzie normalnemu rozwojowi narodu ukraińskiego.

Checielibyśmy wskazać kilka specyficznych przykładów pozbawienia Ukrainy jej praw narodowych:

1. Ukraińska SRR nie może korzystać z konstytucyjnego prawa do utrzymywania stosunków dyplomatycznych z innymi państwami.

2. Planowanie gospodarki narodowej i zarządzanie nią scentralizowane są w rękach wszechzwiązkowych organów w Moskwie.

3. Przeszło cztery miliardy karbowanów wyciska się corocznie z Republiki Ukraińskiej poprzez podatki federalne i inwestuje się je, bez zwrotu czy jakiegokolwiek kompensaty, w innych częściach ZSRR.

4. Brak perspektyw gospodarczych zmusza wielu Ukraińców do opuszczania kraju rodzinnego. Ponadto rząd wszechzwiązkowy stosuje rozmyślną politykę przesiedlania pewnych grup ludności ukraińskiej do innych części ZSRR; równocześnie zaś rosyjska siła robocza i kierownicze kadry kierowane są na Ukrainę.

5. Język rosyjski i kultura rosyjska faworyzowane są oficjalnie w Ukraińskiej SRR ze szkodą dla języka ukraińskiego i kultury ukraińskiej, a milionom Ukraińców zamieszkających w Rosyjskiej Republice Federalnej odmawia się szkół i świadczeń kulturalnych w ich własnym języku.

6. Uniemożliwia się, w drodze arbitralnych restrykcji, badanie dziedzictwa kulturalnego Ukrainy i swobodną wymianę kulturalną z resztą świata.

7. W życiu religijnym zapewniono pozycję ekskluzywną rosyjskiej cerkwi prawosławnej, którą Ukraińcy uważają za ekspozyturę rosyjskiej tradycji imperialnej. Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny i ukraiński Kościół Katolicki (unicki) są prześladowane i spychane do podziemia.

8. W urzędowych deklaracjach głosi się teorię „zbliżenia” i „stopienia” narodów sowieckich, co Ukraińcy rozumieją jako zachętę do rusyfikacji.

My niżej podpisani stoimy na stanowisku filozofii politycznej demokratycznego systemu rządzenia i samostanowienia narodów. Jesteśmy też głęboko przeświadczeni, że Ukraina posiada nieprzedawnione prawo do statusu niepodległego państwa narodowego. Zdajemy sobie jednak sprawę, że w obecnym stadium historii życie narodu ukraińskiego połączone jest wzajemnymi więzami z życiem innych narodów Związku Sowieckiego i całego bloku socjalistycznego. Pokładamy nadzieję w ewolucji, która doprowadzi wszystkie narody Związku Sowieckiego do wzrostu wolności i dobrobytu, i odrzucamy myśl o zmianie obecnej konfiguracji międzynarodowej w drodze wojny atomowej.

Wierzmy że Ukraińcy pragną żyć w pokoju i przyjaźni ze wszystkimi swymi sąsiadami, szczególnie z Rosją, lecz wierzymy również że nie zgodzą się nigdy na utratę swych praw narodowych. Zważywszy że nasi bracia na Ukrainie nie mają możliwości swobodnego wypowiedzenia się w tych sprawach, pozwalamy sobie przemówić w ich imieniu i we własnym. Chcemy by nasz wkład służył nie tylko sprawie Ukrainy, lecz także sprawie pokoju i poprawy stosunków międzynarodowych.

Przedkładamy zatem rządowi ZSSR i Ukraińskiej SRR, oraz Centralnym Komitetom Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego i Komunistycznej Partii Ukrainy, listę propozycji zmierzających do usunięcia najjaskrawszych niesprawiedliwości i nadużyć w życiu współczesnej Ukrainy. Mamy nadzieję, że nasze sugestie wzięte zostaną poważnie pod rozwagę.

B.

I. Odnosnie spraw konstytucyjnych i politycznych:

1. Stworzenie obywatelstwa ukraińskiego, niezależnie od obywatelstwa ZSRR.

2. Ustanowienie stosunków dyplomatycznych między Ukraińską SRR i zagranicą.

3. Oddzielenie sądownictwa Ukraińskiej SRR od wszechzwiązkowych organów sądowych. Obywatele ukraińscy, skazani przez sądy, nie powinni odbywać wymiaru kary poza granicami Republiki.

4. Zapewnienie obywatelom ukraińskim powołanym do służby wojskowej prawa do odbywania tej służby w granicach Republiki, oraz wprowadzenie w oddziałach wojskowych rozkazodawstwa w języku ukraińskim.

5. Wyniesienie Komunistycznej Partii Ukrainy na poziom autonomicznej organizacji politycznej, zdolnej do podejmowania niezależnych decyzji politycznych.

II. Odnośnie spraw kulturalnych i wychowawczych:

1. Przyznanie językowi ukraińskiemu statusu języka państwowego w Ukraińskiej SRR.

2. Wprowadzenie ukraińskiego jako języka wykładowego we wszystkich szkołach Ukraińskiej SRR, z wyjątkiem szkół powszechnych i średnich mniejszości narodowych; w szkołach mniejszości narodowych ukraiński winien być nauczany jako przedmiot obowiązkowy.

3. Zastosowanie zasady wzajemności w traktowaniu mniejszości narodowych. Przyznanie mniejszości ukraińskiej w Republice Rosyjskiej praw językowych i kulturalnych, zwłaszcza w dziedzinie wychowania, równych prawom przyznanym mniejszości rosyjskiej na Ukrainie.

4. Rehabilitacja kulturalnego dziedzictwa Ukrainy w całej jego pełni, oraz usunięcie wszelkich przeszkód w studiowaniu historii Ukrainy i jej kultury.

5. Zezwolenie na odrębny udział Ukraińskiej SRR w międzynarodowych imprezach kulturalnych, jak zjazdy naukowe, wystawy i igrzyska olimpijskie.

6. Legalizacja ukraińskiego Kościoła Autokefalicznego i Ukraińskiego Kościoła Katolickiego (unickiego), oraz przyznanie im takiego samego statusu, jaki posiadają inne wyznania religijne uznane w Związku Sowieckim.

III. Odnośnie spraw gospodarczych i społecznych:

1. Zapewnienie Ukraińskiej SRR koniecznych warunków dla takiej samej stopy rozwoju gospodarczego jak w Rosyjskiej Republice Federalnej.

2. Oddanie planowania i kierownictwa wszystkich sektorów ukraińskiej gospodarki narodowej pod zarząd właściwych organów rządu Republiki.

3. Zaniechanie wywozu kapitału z Ukraińskiej SRR, z wyjątkiem zwrotnych pożyczek procentowych. Ukraina winna wносить do wydatków wszechzwiązkowych nie więcej niż swoją część proporcjonalną.

4. Przyznanie Ukraińskiej SRR prawa do nakładania i egzekwowania podatków oraz do rozporządzania się swoimi własnymi podatkami i kredytami poza obrębem finansów związkowych.
5. Zapewnienie obywatelom ukraińskim pierwszeństwa w zatrudnianiu ich na terytorium Ukraińskiej SRR.
6. Położenie kresu prawnym, społecznym i gospodarczym dyskryminacjom ludności wiejskiej na Ukrainie.

C.

Chcielibyśmy podkreślić, że Ukraina SRR posiadała już w przeszłości większość praw i prerogatyw zawartych w powyższych punktach. Wprowadzenie w życie naszych propozycji, które — jak sądzimy — odpowiadają życzeniom narodu ukraińskiego, usunęłyby anomalie i niesprawiedliwości w obecnym statusie Ukraińskiej SRR. Poprawiłoby ono stosunki ukraińsko-rosyjskie, wyszłoby też na korzyść narodowi rosyjskiemu uniemożliwiając nawrót do reżymu typu stalinowskiego.

Powyższe punkty dotyczą najbardziej palących i pilnych potrzeb narodu ukraińskiego. Przemyslenie na nowo samych podstaw konstytucyjnej pozycji Ukraińskiej SRR wydaje nam się nieuniknione. W okresie kształtowania się Związku Sowieckiego ograniczenia narzucone suwerenności wchodzących w jego skład republik znajdowały swoją racjonalizację w istnieniu tzw. okrąglenia kapitalistycznego. Dzisiaj, kiedy rzeczywistością jest blok socjalistyczny, ten argument traci swoją moc. Jesteśmy przekonani, że pokojowe przeobrażenie obecnej scentralizowanej struktury ZSRR w sojusz między niezależnymi i równymi państwami leży w interesach zarówno Ukrainy jak Rosji.

Mamy nadzieję, że kierownictwo sowieckie skorzysta z pięćdziesiątej rocznicy Rewolucji Październikowej, by rozważyć na nowo swoją politykę ukraińską i otworzyć nowy rozdział w historii stosunków ukraińsko-rosyjskich. Wzywamy władze sowieckie do ogłoszenia, w dowód dobrej woli, amnestii dla wszystkich ukraińskich więźniów politycznych.

T. Terlecka-Antonowycz (Georgetown Univ.), Wł. Bandera (Boston College), O. Biłaniuk (Swarthmore Coll.), M. Woskobijnyk (Centr. Connecticut State Coll.), W. Hałycz (Wisconsin State Univ.), I. Hwozda (Auburn Community Coll.), Ws. Hołubnyczj (City Univ. of N.Y., Hunter Coll.), W. I. Hryszko (Univ. of Washington), O. Danko (Yale Univ.), W. Znajenko (Columbia Univ.), I. Kamenećkyj (Central Michigan Univ.), Wł. Kłaczko (Fairleigh Dickinson Univ.), L. M. Kowal (Univ. of Michigan at Flint), F. D. Kowtoniuk (Virginia State Univ.), I. S. Koropec'kyj (Temple Univ.), O. Krawczeniuk (Kings Coll., Wilkes-Barre, Pa), M. Łabuńka (La Salle Coll.), W. Markuś (Loyola Univ.), Z. Ł. Melnyk (Univ. of Cincinnati), J. Mihajczuk (Case Western Reserve Univ.), S. T. Olijnyk (Georgetown Univ.), K. A. Pankiwśkyj (Univ.

of Hawaii), J. Rozhin (Wane State Univ.), I Łysiak-Rudnyćkyj (American Univ.), L. Rudnyćkyj (La Salle Coll.), Anna Samofał (Central Connecticut State Coll.), A. R. Slyż (Shippensburg State Coll.), O. S. Fedyszyn (City Univ. of N.Y., Richmond Coll.), Marta Bohaczewska-Chomiak (Seton Hall Univ.), St. Czornij (State Univ. of N.Y., College at Borcport), M. Jaremko (Western Illinois Univ.), W. Jaszczun (Univ. of Pittsburgh).

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bd St-Germain, Paris, 6^e

Tel.: 326-04-42

WIELKA SPRZEDAŻ GWIAZDKOWA

Codziennie od 2 grudnia 1967 — bez przerwy
w godz. 10 - 20.

Książki polskie: krajowe i emigracyjne. — Specjalny dział książek francuskich. — Liczne polonica. — Antykwariat. — Wydawnictwa i gry dla dzieci. — Szopki. — Kartki świąteczne. — Papeteria. — Nowy dział płyt: kolędy, piosenki, chóry. — *Mazowsze i Śląsk*, muzyka klasyczna.

Tombola książkowa dla nabywców od F. 15.

OSTATNIE NOWOŚCI WYDANE PRZEZ KSIEGARNIĘ POLSKĄ

Szymon Konarski: *O heraldyce i „heraldycznym” snobizmie*. Str. 86 — F. 12 (dol. 2,50).

Zygmunt Zaremba: *Słowo o Wacławie Machajskim*. Str. 146 — F. 9 (dol. 2,00).

Bernard Hamel: *Słownik francusko-polski*. Str. 486 — F. 20 (dol. 4,50).

Bernard Hamel: *Słownik polsko-francuski*. Str. 488 — F. 20 (dol. 4,50).

Cena obydwu części słownika B. Hamela — F. 38 (dol. 8,00).

Najnowsza historia Polski

Wspomnienia Janusza Radziwiłła (dok.)

II. POD OKUPACJĄ HITLEROWSKĄ

Władze niemieckie w okupowanej Warszawie zachowały się w stosunku do Radziwiłła uprzejmie. Poinformowano go, że zwolnienie z Łubianki zawdzięcza osobistej interwencji Goeringa. Nie bardzo w to uwierzył, ale szczególnie ten okazał się już po kilku tygodniach bardzo przydatny. Co prawda, już po pierwszej rozmowie z Bериą Radziwiłł nabrał przekonania, że nie wypuszczono by go tak łatwo i prędko, gdyby nie jakieś wpływowe interwencje. Jakoż z biegiem czasu dowiedział się, że wraz z całą rodziną zawdzięcza wolność wstawiennictwu włoskiej rodziny królewskiej. Moskwa przeżywała wówczas miodowe miesiące świeżej przyjaźni z Trzecią Rzeszą, więc rykoszetem miała względy również i dla Włochów.

W stolicy istniały już zalążki przyszłego podziemia, ci politycy i działacze, którzy z Warszawy nie uszli podczas katastrofy wrześniowej, albo wkrótce powrócili, nawiązywali kontakty, tworzyli grupy, kładli podstawy pod nowe organizacje polityczne. Radziwiłła starano się wciągnąć w ten nielegalny wir. Od spotkań i rozmów nie uchylał się, obserwował, ale angażować się nie chciał, czekał na dalszy rozwój sytuacji. Zapamiętał spotkania, między innymi, z grupą posłów i senatorów, z marszałkiem Ratajem, redaktorem Niedziałkowskim, profesorem Rybarskim... Wachlarz polityczny rozmówców był zatem bardzo szeroki.

Na początku roku 1940 spadła na Warszawę i na cały kraj wiadomość o masakrze w Wawrze-Aninie. Mimo dowodów skrajnej brutalności niemieckiej, mimo Bydgoszczy i wiadomości nadchodzących z Poznańskiego i Pomorza, nie spodziewano się, aby Niemcy mogli pójść programowo na akty takiego terroru. Wielu przypuszczało, że chodzi o odosobniony wybrzyk, o nadużycie władz miejscowych, zaś Berlin nie ma z tym nic wspólnego i gdy mu się dostarczy rzeczowego materiału, nie zaaprobuje masowej egzekucji niewinnych osób.

Wówczas koła podziemne, które już nawiązały stały kontakt z rządem polskim w Paryżu, zwróciły się do księcia Radziwiłła z propozycją, by udał się w tej sprawie do Berlina. Wybór padł właśnie na niego ze względu na dobrą znajomość z Goeringiem, co było powszechnie wiadome. Stykał się w latach poprzednich z dowódcą Luftwaffe jako prezes Aeroklubu i na licznych polowaniach w polskich lasach. Goering był zamiłowanym myśliwym.

— Po namyśle zgodziłem się w zasadzie, ale postawiłem warunek: muszę mieć zgodę rządu polskiego w Paryżu, przy czym zażądałem, aby postawiono sprawę jasno — jeżeli pojedę do Berlina, to nie z własnej inicjatywy. Wiedziałem, że w niektórych kołach miałem opinię germanofila, tym bardziej więc zależało mi na wypełnieniu powyższych warunków.

Gdy z Paryża przyszła wiadomość potwierdzająca, Radziwiłł zgłosił się do niemieckiego gubernatora Warszawy, Fischera, o przepustkę, bez której nie mógłby przekroczyć granicy Generalnego Gubernatorstwa, ani tym bardziej dostać się do Berlina. Pretekst był wygodny: ponieważ Goering przypisywał sobie zasługę zwolnienia księcia z sowieckiego więzienia, wypadało mu złożyć wizytę i podziękować osobiście za interwencję. Czy Fischer przyjął to wyjaśnienie za dobrą monetę, czy nie, trudno dociec, tak czy owak, skontaktował się z centralą, przepustkę wystawił i zapewnił księcia, że zostanie przyjęty przez Goeringa.

Zanim przyszła odpowiedź, opracowano obszerny memoriał, który Radziwiłł miał zawieźć do Berlina. Memoriał ten, napisany wspólnie przez księcia i Jana Moszyńskiego, dotyczył nie tylko zbrodni w Wawrze, lecz także ogólnych stosunków w kraju i został bez żadnych zmian zaaprobowany przez przedstawicieli warszawskiego podziemia.

W Berlinie Radziwiłł zatrzymał się w hotelu i czekał na przyjęcie przez Goeringa. Jak długo, nie pamiętał — dwa albo trzy dni. Wykorzystał przerwę na wizytę w ambasadzie sowieckiej, oraz w nuncjaturze Stolicy Apostolskiej. Musiał także zgłosić się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, by przedstawić tam przepustkę; w jego gmachu zetknął się i odbył rozmowę z dobrze mu znanym byłym ambasadorem Trzeciej Rzeszy w Warszawie, Hansem von Moltke*. Ten zachował się bardzo uprzejmie, ale powściągliwie, był wyraźnie zakłopotany, a nawet nieco przygnębiony.

— Goering przyjął mnie w prywatnej willi przy Prinz Leopoldstrasse, późnym popołudniem. Wnętrze willi urządzone z niesłychanym, aż rażącym przepychem, przeważnie jednak pozbawionym smaku. Rozmowa w cztery oczy trwała pełne trzy godziny. Goering zachował się nie tylko uprzejmie, ale wręcz nadskakująco.

* Von Moltke zmarł na wiosnę, albo w lecie 1943 roku na stanowisku ambasadora w Hiszpanii. To jemu przypisuje się słynne zdanie, wygłoszone na jednym z przyjęć dyplomatycznych: „Co nasi żołnierze wygrywają na polach bitew, to następnie przegrywają nasi politycy...”

Po przeczytaniu memoriału (czytał go powoli i uważnie) Goering wydawał się wzburzony, kilkakrotnie zrywał się, dużymi krokami przemierzał gabinet, chwilami bił pięścią w biurko, zwłaszcza ostro zareagował na wiadomość o wywiezieniu do obozu koncentracyjnego profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Krzyczał, że wprawdzie nie rządzi w Gubernatorstwie, ale jest premierem pruskim, zaś obóz w Sachsenhausen znajduje się na terenie Prus, więc to mu nie może być obojętne i krakowscy profesorowie muszą być zwolnieni.

Zapewniał Radziwiłła, że wszystkie fakty, wyszczególnione w memoriale, stanowią nadużycia w okresie przejściowym, że to ulegnie zmianie, wkrótce generalny gubernator, Hans Frank, zażewzie wybitnych Polaków — *eminente Polen* — aby powierzyć im administrację okupowanego kraju. Dodał, że wprawdzie od wybuchu wojny nie stykał się z Frankiem, ale dobrze go zna i wie, że jest to wybitny prawnik, który z czasem na pewno zaprowadzi ład i zapobiegnie nadużyciom.

— Upoważniam pana — oświadczył Goering uroczyście — do poinformowania warszawskich odpowiedzialnych kół o zamierzonych zmianach.

Podniósł słuchawkę telefonu, zażądał, by go połączono z Himmlerem. Rozmawiał z nim przez kilka minut, powołując się na fakty, podane w memoriale i ostro protestując.

— Czy książę nie sądzi — zapytałem — że to wszystko mogło być jedną wielką komedią, i to oburzenie ta rozmowa z Himmlerem? Kto wie, czy w ogóle z nim wtedy rozmawiał. Bardzo łatwo sfingować rozmowę telefoniczną, wystarczy niedostrzeżenie wyłączyć aparat. Zresztą, jeżeli dobrze pamiętam, Goering był już wtedy w niedobrych stosunkach z Himmlerem i trudno przypuścić, by właśnie do niego zwracał się w takiej sprawie.

— Ja także — odpowiedział Radziwiłł — powziąłem od razu podejrzenie. Po dziś dzień nie jestem pewny. Jedno z dwojga: albo Goering mówił szczerze pod wpływem spotkania ze mną, albo też był naprawdę świetnym aktorem, bo całą scenę rozegrał znakomicie.

Wybierając się do Berlina, książę przypominał sobie drugą rozmowę z Berią, tuż przed zwolnieniem z Łubianki. Doszedł do wniosku, że warto tę podróż wykorzystać, by o sobie przypomnieć. Któż wie, co stanie się w przyszłości, taki drobiazg może się przydać. Napisał więc list, w którym stwierdzał, że lojalnie wykonuje życzenie Berii, ale nic istotnego przekazać nie może, gdyż minęło zaledwie kilka tygodni od powrotu do kraju. List w zalakowanej kopercie zabrał ze sobą, z intencją złożenia go w ambasadzie sowieckiej w Berlinie.

Gdy książę zgłosił się w ambasadzie sowieckiej, przyjęto go z opryskliwą podejrzliwością, oświadczając, że ambasadora nie ma. Pierwszy sekretarz? — nieobecny. W ogóle nie ma nikogo, kto by mógł z nim rozmawiać. Nie chcąc zwierzać się drobnemu urzędnikowi, książę odszedł z niczym. Następnego dnia zatelefonował i znowu to samo.

— Wtedy powiedziałem, że jest mi niezmiernie przykro, bo mam list do towarzysza Berii, a ten na pewno będzie bardzo niezadowolony, gdy się dowie, że nie chciano mnie przyjąć. Głos w telefonie na chwilę zamarł, a następnie poprosił, żebym nie kładł słuchawki.

Skutek był błyskawiczny. Zgłosił się do telefonu sam ambasador, przepraszał za brak orientacji durnego funkcjonariusza, prosił o wyznaczenie dnia i godziny, które księciu najbardziej odpowiadają. Nazajutrz zajechała przed hotel ambasadzka limuzyna, zawieziono Radziwiłła z paradą i przyjęto z nadzwyczajną atencją. Wizyta ograniczyła się zresztą do wręczenia koperty. Jak widać, nazwisko Berii wywierało piorunujące wrażenie.

GORZEJ poszło w nuncjaturze. Na prośbę polskich władz kościelnych ksiązę wiózł ze sobą gruby pakiet, zaadresowany do kardynała Hlonda, przebywającego ówczesnie we Francji. Nie znał zawartości, wiedział tylko, że są tam sprawozdania z sytuacji w poszczególnych diecezjach, zarówno pod okupacją niemiecką jak sowiecką. Chodziło o złożenie korespondencji w nuncjaturze z prośbą o przekazanie adresatowi pocztą dyplomatyczną.

Nuncjusz, monsignor Orsenigo, przyjął Radziwiłła w „antyszambrach”, nie zaprosił dalej, nawet nie prosił siadać, sucho i ozięble zapytał, w jakiej sprawie ksiązę przychodzi, po czym oświadczył krótko i węzłowato: — Nuncjatura nie zajmuje się takimi sprawami, od tego jest zwykła poczta. Skinieniem głowy dał znać, że uważa audiencję za skończoną. Wszystko razem trwało zaledwie kilka minut.

— Jak pan widzi, zostałem potraktowany z wyszukaną grzecznością przez Goeringa, równie uprzejmie, po powołaniu się na Berię, w ambasadzie sowieckiej, zaś afront musiał mnie spotkać dopiero w nuncjaturze. To była ostatnia rzecz, jakiej się mogłem spodziewać.

— Czy ksiązę — wtrąciłem — nie ma nic przeciwko temu, abym zanotował tę informację *in extenso*?

— Wiem, że kardynałowi Orsenigo, jeśli żyje i przypadkiem dojdą do niego te słowa, moje wspomnienie z przyjęcia w nuncjaturze nie sprawi żadnej przyjemności. Trudno! Tak było, nie mogę zmienić ani jednej litery. Ostatecznie, chyba nikt nie posądzi Janusza Radziwiłła o złośliwy antyklerykalizm czy o wrogość do Kościoła katolickiego. Proszę zapisać dokładnie.

— A wręczona przez polskie władze kościelne korespondencja?

— Zawiozłem ją z powrotem do Warszawy i zwróciłem nadawcom.

— Jak na to zareagowali?

— Byli zdumieni i zgorszeni nie mniej, niż ja. Pocieszaliśmy się wszyscy, że był to wybryk osobisty nuncjusza Orsenigo i że w Watykanie na pewno by go za to nie pochwalono.

Dopiero mniej więcej po miesiącu ksiązę dowiedział się, że Hans Frank zareagował prawdziwym wybuchem wściekłości na jego wyjazd do Berlina. Ambitny kacyk poczuł się urażony, że cała sprawa została przeprowadzona z pominięciem jego osoby.

Skoro jednak w grę wchodził Goering, Frank nie mógł otwarcie protestować ani mścić się.

Stosunek władz okupacyjnych do Radziwiłła był w dalszym ciągu poprawny. Zwrócono mu nawet zarząd majątku w Nieborowie, co stwarzało dobre podstawy ekonomiczne. Dzięki swej pozycji książę mógł niekiedy interweniować w różnych sprawach i skutecznie pomagać innym.

Zwrócono się do niego, by stanął na czele tworzącej się właśnie Rady Głównej Opiekuńczej, gdyż kandydatura Ronikiera była bardzo niepopularna. W Krakowie toczyły się w tym czasie rozmowy i spory na temat statutu Rady. Z przedstawionej listy ewentualnych kandydatów na stanowiska kierownicze gubernator Frank nazwisko Radziwiłła skreślił.

— Miał to być dotkliwy odwet za berliński wojaż. Frank zupełnie nie orientował się, że nie miałem najmniejszej chęci na obejmowanie jakiegokolwiek oficjalnego stanowiska, toteż przyjąłem z dużym zadowoleniem jego mściwą decyzję.

Nie należąc do R.G.O., książę utrzymywał z nią stały kontakt i współpracę, głównie za pośrednictwem Machnickiego i Wachowiaka. Nieco później zaproponowano mu wejście do konspiracyjnej Delegatury Rządu, ale odmówił. Uważał, że powiązania tego rodzaju mogą mu utrudnić działanie, a w razie wykrycia w ogóle je sparaliżować. A przecież niektóre jego interwencje u Niemców przynosiły pomyślne wyniki i należało się z tym liczyć.

Gdy rozeszła się wiadomość, że saperzy niemieccy zakładają miny w ruinach Zamku Królewskiego, Radziwiłł uzyskał audyencję u Fischera i rozkaz wysadzenia w powietrze pozostałych murów został odwołany. Zbiórka wśród mieszkańców stolicy dała odpowiednie fundusze na zabezpieczenie ruin. Wstawiono bramy, by uniemożliwić rabunek, pokryto budynek prowizorycznym dachem. Ocalałe boazerie, posadzki, oddrzwia, kominki, marmury zwiezione zostały do odpowiednio przystosowanego składu na Pradze. Również udało się uratować przed zniszczeniem niektóre z warszawskich pomników.

Trudniejsza była interwencja po zastrzeleniu Igo Syma. Aresztowano wtedy przeszło stu zakładników i groziła im zbiorowa egzekucja. Radziwiłł ponownie udał się do Fischera. Tłumaczył gubernatorowi, że robienie z Syma jakiegoś przedstawiciela niemieckości nie wytrzyma krytyki. Najpewniej padł ofiarą porachunków osobistych, tak częstych w środowisku teatralnym. Kabaretowy aktor, typ raczej nieciekawych, co najmniej wątpliwych pod względem moralnym, stanowczo nie nadawał się do reprezentowania narodu niemieckiego wobec Polaków. Ostatecznie, po dłuższej rozmowie i dyskusji Fischer dał się przekonać i do masowej egzekucji nie doszło, a nawet wkrótce większość zakładników wypuszczono.

Później takie interwencje stały się nie tylko nieskuteczne, ale i coraz bardziej niebezpieczne. Wreszcie poradzono Radziwiłłowi, żeby z nich zrezygnował, bo to może skończyć się dla niego

bardzo nieprzyjemnie. O nowym, a zaplanowanym wyjeździe do Berlina nie było już mowy. Fischer oświadczył w dość grubiańskim tonie, że nie może księciu zapewnić bezpiecznego powrotu do Warszawy jak za pierwszym razem. „Z Berlina może pan zajechać do jednej z tych miejscowości, z których często w ogóle się nie powraca”.

O ile w roku 1940 Radziwiłł częściej przebywał w Warszawie, to z biegiem czasu jego przyjazdy stawały się rzadsze, przeważnie mieszkając w Nieborowie, zajmując się gospodarstwem. Niemcy nie stosowali wobec niego szykan, ale też kontakty z władzami okupacyjnymi zredukowały się do minimum. Wzrastał terror, słowa Goeringa, wypowiedziane na Prinz Leopoldstrasse na temat pozytywnych zmian w Generalnym Gubernatorstwie, okazały się pustą gadaniną.

— Być może, Goering wówczas jeszcze nie orientował się co do eksterminacyjnych zamierzeń Hitlera, albo po prostu chciał mnie zbyle gładkimi frazesami.

Zapytałem, czy wybuch wojny niemiecko-sowieckiej i zajęcie Wołynia przez Niemców zmieniło cokolwiek w osobistej sytuacji księcia i czy nie myślał o powrocie do Ołyki. Odpowiedział, że wiadomości, napływające zza Bugu, nie zachęcały do żadnych inicjatyw w takim kierunku. Po pierwszych miesiącach dość znacznego bałaganu organizacyjnego, gdy jeszcze w ogóle nie było wiadomo, jak ułożą się stosunki na wschodnich terenach, Niemcy zaczęli zachowywać się w sposób wykluczający wszelką nadzieję.

Jeżeli w Gubernatorstwie terror wzrastał z miesiąca na miesiąc, to na Wołyniu, Podolu i w Kijowszczyźnie nabrał on cech zupełnie skrajnego barbarzyństwa, zwłaszcza gdy pojawiły się pierwsze oddziały partyzanckie. Była to polityka równie zbrodnicza jak nonsensowna, gdyż mobilizowała przeciw Niemcom absolutnie wszystkich: Ukraińców, Polaków, Rosjan. A przecież przez Wołyn przechodziła główna linia kolejowa, zaopatrująca front południowo-wschodni. Wytworzona sytuacja nie mogła nie odbić się ujemnie na komunikacji.

Co do Żydów, nie tracono czasu na zamykanie ich w gettach, jak to się działo w Gubernatorstwie, i na stopniowe wywożenie do obozów koncentracyjnych. Przeprowadzano akcje eksterminacyjne na miejscu, nieraz na drugi, trzeci dzień po zajęciu danej miejscowości. Brali w nich udział nie tylko gestapowcy i SS-mani, lecz także oddziały frontowe Wehrmachtu. Największe skupisko Żydów wołyńskich w Równem (około dwudziestu tysięcy) zlikwidowano w ciągu kilku dni. Wieści napływające z Wołynia były coraz gorsze.

Skoro już zgadało się o Wołyniu, cofnąłem się w czasie i zapytałem Radziwiłła o wojewodę Henryka Józewskiego*.

* Byłem faktycznym, choć nieoficjalnym redaktorem tygodnika „Wołyn”, organu Józewskiego podczas jego wieloletnich rządów w Łucku. Moja współpraca zaczęła się w lecie 1937 roku, zaś redakcję objąłem na miejscu

— To przyzwoity człowiek i z charakterem, chociaż większość Polaków go nie lubiła, zarzucając mu, że otacza się Ukraińcami i chętnie mówi po ukraińsku. Uważałem te zarzuty za grubo przesadzone. Stosunki wojewody z ziemiaństwem wołyńskim były co najmniej poprawne, mimo że niejeden zżymał się na jego proukraińskie gesty.

Zagadnięty o ocenę konspiracyjnego podziemia, książę nie odpowiedział od razu, namyślał się przez dłuższą chwilę. Gdy zaczął mówić, ważył starannie każde słowo. Jego zdaniem o ułożeniu jakiegoś możliwego *modus vivendi* nie mogło być mowy i to głównie z winy Niemców. Nie było żadnego porównania z Niemcami z lat pierwszej wojny światowej. Wówczas nie brakowało aktów okupacyjnej brutalności, zdarzały się zbrodnie jak w Kaliszu, na ogół jednak zachowanie się było zgodne z prawem międzynarodowym.

Hitlerowcy natomiast rozpętali takie barbarzyńskie szaleństwo, że komuś, kto tego z bliska nie widział, trudno było uwierzyć w prawdziwość relacji. Nawet po wojnie część opinii publicznej na Zachodzie nie bardzo dawała wiary opowiadaniom o okupacji w Polsce.

Z tym wszystkim książę uważał że strona polska zawiniła szeregiem akcji nieprzemyślanych, które doprowadzały Niemców do wściekłości i prowokowały ich do aktów jeszcze większego barbarzyństwa. Wymienił jako przykład zamach na Café-Club. Wtrącam, że zamach ten przeprowadzili komuniści. Owszem, wie o tym, ale podziemie narodowe także podejmowało akcje absolutnie nieopłacalne. Zdaniem księcia, należało w tych strasznych latach mniej szafować żywą substancją narodu, a zwłaszcza młódzieży.

Powstanie warszawskie? Niestety, wybuchło w chwili niewłaściwej, a u jego podstaw leżało mylne rozeznanie polityczne: rachuba na pomoc sowiecką. Dysproporcja w uzbrojeniu była tak wielka, że z góry przesądzała o tragicznym wyniku końcowym.

Wybuch powstania zastał Radziwiłła w Warszawie, na ulicy Bielańskiej, w pobliżu zburzonego getta. Spędził tam parę tygodni aż do zajęcia dzielnicy przez Niemców. Na tyłach domu istniało dość bezpieczne przejście do Hotelu Polskiego na Długiej, w podziemiach hotelu znajdował się szpital powstańcy.

26 sierpnia Radziwiłła aresztowano wraz z żoną i wywieziono do Berlina. Sześć tygodni przesiedzieli w Moabicie i przez cały czas ciągnęły się dręczące badania. Oskarżenia i zarzuty były najzupełniej bzdurne, na niczym nie oparte. Rzucała się w oczy zasadnicza różnica między Gestapo i NKWD. Rosjanie przystępowali do badania, orientując się doskonale w przeszłości oskarżonego aż do najdrobniejszych szczegółów; Gestapo, przynajmniej w wypadku Radziwiłła, błędziło po omacku.

Tak więc padło oskarżenie o utrzymywanie ścisłych kontak-

w październiku tegoż roku. W kwietniu 1938 Józewski został przeniesiony do Łodzi, moja praca w tygodniku skończyła się zaraz potem. Oczywiście, z wojewodą spotykałem się prawie codziennie.

tów z separatystami w Nadrenii; w rzeczywistości książę jedynie słyszał o istnieniu takiego ruchu, ale nawet nie znał nazwisk jego przywódców. Inny zarzut: finansowanie powstań śląskich. Nie mógłby tego robić, choćby chciał, gdyż w owym czasie nie rozporządzał żadnymi funduszami — majątki wołyńskie w pierwszych dwóch latach po wojnie nie przynosiły żadnych dochodów. I wreszcie wysunięto zarzut, że książę drukował antyniemieckie artykuły w prasie podziemnej.

Odczytano mu tekst i zapytano, czy wyszedł spod jego pióra. Książę potwierdził, ale dodał, że jest to część memoriału złożonego Goeringowi w Berlinie, w początkach 1940 roku. Memoriał ten nigdzie nie był drukowany ani w całości, ani w urywkach. Wynikało z tego, że Goering jednak uczynił jakiś użytek z memoriału, komuś go przekazał, aż w końcu tekst znalazł się w centrali Gestapo.

W październiku 1944 roku Radziwiłł wraz z żoną został zwolniony z moabickiego więzienia i oboje wrócili do Nieborowa. Było to w kilka dni po kapitulacji Warszawy.

ZNOWU W RĘKACH SOWIECKICH

Już po rozpoczęciu przez Rosjan zimowej ofensywy, która w krótkim czasie odrzuciła Niemców na linię Odrę i ku Bałtykowi, księstwo przenieśli się z Nieborowa do sąsiadów Potworowskich, do Walewic w Łowickiem. Generał sowiecki, którego nazwiska Radziwiłł nie zapamiętał, zajechał do dworu i oświadczył księciu, że ma z nim jechać do Lublina, bo „lubliniacy” chcą z nim porozmawiać. Prócz księcia zabrał samochodem całą rodzinę.

Przez zburzoną Warszawę zajechali do Otwocka, gdzie wówczas mieściła się centrala NKWD na Polskę. Przez dwa dni przebywali na względnej wolności pod inwigilacją, następnie wtrącono ich do więzienia. Ilość aresztowanych stale zwiększała się: do gromadki nieborowskiej dołączyli Braniccy z Wilanowa i szwagier księcia Janusza, hrabia Zamoyski.

Zaczęła się dzika kotłowanina bez żadnego sensu i ładu. Nagle załadowano wszystkich na ciężarówkę i odstawiono z Otwocka do Sochaczewa, rano następnego dnia do Gniezna, tam trzymano ich w gmachu sądu przez jakieś dwa-trzy dni, nie dając żadnych wyjaśnień. Potem do Brześcia, gdzie pozwolono im na pewną swobodę, ciągle pod „dyskretną” opieką agentów NKWD. Żywności prawie nie dawano, ale udało się nawiązać kontakt z katolickim proboszczem, dzięki któremu można było jakoś przetrwać. Wreszcie cała grupa, składająca się z szesnastu osób, została przewieziona do Moskwy.

W więzieniu na Łubiance powitał księcia w wielce wylewny sposób ten sam dyrektor w randze pułkownika, z którym miał do czynienia w roku 1939: — No, proszę, znowu się spotykamy, świat nie torba, góra z górą się nie zejdzie, a ludzie zawsze... Ponieważ w pociągu rzuciło się na aresztowanych robactwo, naj-

pierw pomaszzerowali do więziennej odwszalni — tak bardzo popularnej w Związku Sowieckim *woszobojki*.

Po trzech dniach pobytu na Łubiance pojechali do obozu w Krasnogorsku, odległym o 27 kilometrów od Moskwy. Zainstalowano ich początkowo w samym obozie, w którym znajdowali się prawie wyłącznie jeńcy wojenni, wyżsi oficerowie niemieccy i węgierscy, a także garść Włochów. Nieco później przeniesiono ich do osobnego baraku, przyległego do obozu, ale oddzielonego od niego gęstą siatką drutów kolczastych.

W jesieni przywieziono do obozu kilkunastu Japończyków — cały prawie sztab armii mandzurskiej. Całkowicie odcięci od świata, pozbawieni wszelkich wiadomości, więźniowie wyciągnęli z tego wniosek, że wojna z Japonią również skończyła się, albo też dobiega końca. Supozycja ta wkrótce potwierdziła się.

Ponieważ barak, w którym znajdowała się rodzina Radziwiłłów i inni uwięzieni, stanowił swego rodzaju przyczepkę do obozu jenieckiego, a nie koncentracyjnego, rygory nie były zbyt surowe, traktowanie względnie poprawne. Dręczyła niepewność jutra. Minął rok, półtora — nikt nie pofatygował się, aby poinformować, dlaczego są aresztowani, o co oskarżeni, czy wytoczona będzie sprawa sądowa, nic, absolutne milczenie. Domagali się prawa korespondencji, ale komendant obozu oświadczył, wzruszając ramionami, że nie otrzymał żadnych instrukcji w tym względzie. A skoro nie ma instrukcji, to on na własną rękę pozwolenia udzielić nie może. Na tym sprawa upadła.

W lutym 1947 roku, po krótkiej chorobie, umarła żona Janusza Radziwiłła. W jakiś czas potem polscy więźniowie dostrzegli poprzez oddzielające ich druty, że w obozie oficerskim kapelan odprawia co niedzielę mszę katolicką przy zaimprovizowanym ołtarzu. Radziwiłł zgłosił się z prośbą, by pozwolono brać udział w każdorazowej mszy. Komendant znowu odpowiedział, że on sam nie ma prawa decydować, ale obiecał zapytać o to swoich zwierzchników w Moskwie. Obietnicy dotrzymał.

Po paru tygodniach przyjechał z Moskwy pułkownik NKWD, pracujący w samej centrali. Rozmawiał przez godzinę z Radziwiłłem, wypytywał o codzienne szczegóły życiowe, zgodził się bez większego oporu na asystowanie przy mszy świętej, odprawianej co niedzielę w obozie jenieckim. Wyraził tylko zdziwienie, zresztą w sposób dość oględny, że księciu i jego bliskim może zależeć na jakichś nabożeństwach.

Gdy Radziwiłł zapytał, jak długo mają zamiar trzymać ich w Krasnogorsku i czy wytoczą im sprawę sądową, pułkownik powiedział z szorstką otwartością:

— Wy wszyscy w ogóle nas nie interesujecie i nic przeciw wam nie mamy. Rosja to wielki kraj, gdyby nam zależało na tym, żeby was ukryć, tobyśmy ukryli tak daleko i głęboko, żeby was wszyscy polscy święci razem nigdy nie odnaleźli. To nie my — to wasze własne władze zażądały, żeby was aresztować i wywieźć. Ale wy nam nie jesteście potrzebni. Jakby o nas chodziło, tobyśmy was dawno puścili wolno.

Tu Radziwiłł zacytował słowa pułkownika w rosyjskim oryginale, tak jak je zapamiętał.

— *Eti swołoczy, warszawskie kamunisty was nie puskajut abratno na rodinu. A paczemu — nie mnie znat'! Widno, bojať'sia was, kniaziej i grafow... Trusy! Stierwiecy! Warszawskoje dier'mo!**

Wyglądało na to, że na wyjeźdźnym z Moskwy, albo po drodze enkawudysta trochę wypił, bo wyraźnie zanośiło od niego alkoholem. Stąd zapewne ta gadatliwa szczerość, która w innych okolicznościach mogłaby wydać się podejrzana, a nawet wyglądać na prowokację.

Energiczny pułkownik przyobiecał, że poruszy sprawę krasnogorskich więźniów w moskiewskiej centrali i ewentualnie wspomni o księciu samemu Berii. Ścisnął Radziwiłła za ramię i dodał: — Gdyby tacy jak wy chcieli dogadać się z nami w swoim czasie, to by wszystko potoczyło się inaczej. Aleście nie chcieli, szlacheckie fummy wam przeszkodziły. No, to teraz macie w Warszawie tych waszych komunistów i tego waszego prezydenta, który, jak mu w Moskwie w gębę naplują, oblizuje się i powiada, że to niebiańska rosa. Dużo swołoczy w życiu widziałem, ale nie takiej. Doigraliście się! Nu, kniaź *praszczewajtie i w abidu nas nie bieritie. Ja że wam skazał: my tut nie przczom!***

Rozmowa wywarła na Radziwiłł przygnębiające wrażenie. Skoro reżym warszawski nie chce ich przyjąć, to któż wie, ile jeszcze czasu pozostaną w tym Krasnogorsku... Czas ciągnął się beznadziejnie. Od spotkania z oryginalnym enkawudystą minęło pół roku, od wywiezienia z Polski dwa lata, a wciąż nie było żadnych wiadomości. Komendant obozu za każdym razem oświadczał, że nie otrzymał żadnych instrukcji, a zapytywać nie może, bo to byłoby sprzeczne ze służbowym regulaminem. Natomiast, jeśli książę ma jakieś skargi, może je przekazać do Moskwy.

Radziwiłł postanowił napisać list do Berii, ale komendant stanowczo mu odradził. „Ja takiego listu nie przyjmę. Towarzysz Beria na pewno dobrze o was wie. Siedźcie cicho — tak będzie lepiej. Jak dawno tu jesteście? Dwa i pół roku? I cóż to jest — inni mniej od was zawinili, a i po dziesięciu latach się nie skarżą!”

Zwolnienie przyszło zupełnie niespodziewanie, bez żadnego uprzedzenia, we wrześniu 1947 roku. Najpierw zawieziono ich do Moskwy, następnie dokładnie tą samą trasą, co w grudniu 1939 roku: Smoleńsk, Stołpce, Brześć, Terespol. Różnica ta, że wtedy w Terespolu przyjmowało ich niemieckie Gestapo, a obecnie polska Bezpieka. W Brześciu czekał ich przejściowy obóz, przy-

* Te kanale, warszawscy komuniści, nie chcą was puścić z powrotem do ojczyzny. A dlaczego — skąd ja mogę wiedzieć! Widocznie, boją się was — książąt i hrabiów... Tchórze! Ścierwa! Warszawska koprowina!

** No, książę, żegnajcie i nie bądźcie na nas krzywi. Jużem wam powiedział, że my z tym wszystkim nie mamy nic wspólnego.

bycie do Terespoła stanowiło sporą sensację. Z miejsca opadła ich wyjątkowo liczna ekipa ubeków.

Pociąg zatrzymał się na jakimś przejeździe kolejowym przed Pragą, po czym przewieziono całą gromadkę samochodami do gmachu U.B. przy ulicy Cyryla i Metodego, tuż obok cerkwi prawosławnej. Kolejno zwalniano wszystkich, aż ksiązę Janusz pozostał sam. Powiedziano mu, że oczekuje go rozprawa sądowa, odmawiając dalszych wyjaśnień.

Przesiedział przeszło trzy tygodnie, nikt go nie badał, o nic nie pytał, nie informował o niczym. Nie miał żadnej pościeli, podkładał pod głowę futro, lub przykrywał się nim, jeśli noc była chłodna. Wreszcie przyniesiono mu poduszkę i prześcieradło, a nieco później wezwano na pierwsze przesłuchanie.

Badania prowadziła kobieta. Tuż przed zwolnieniem ksiązę dowiedział się, że nazywa się Bristygierowa. Nic mu to nazwisko nie powiedziało. Zdziwił się, gdy już na wolności poinformowano go, że znana jest ze skrajnego sadyzmu, a zwłaszcza wyżywa się w okrucieństwie w stosunku do młodych mężczyzn.

— Pewnie byłem dla niej za stary i dlatego uratowałem się. Zachowywała się raczej uprzejmie, chociaż przyznać muszę, że rozmowy z nią nie sprawiały mi żadnej przyjemności.

Badania były przewlekłe. Ksiązę musiał dokładnie opisywać wszystko, co robił przed wojną — rok po roku, miesiąc po miesiącu. Sięgnięto jeszcze bardziej wstecz. Bristygierowa ze specjalnym zainteresowaniem wypytywała o Radę Regencyjną i jej działalność, o to, kiedy ksiązę po raz pierwszy zetknął się z Piłsudskim, gdzie był i co robił podczas ofensywy Czerwonej Armii w roku 1920.

Natomiast nie interesowały jej zupełnie lata okupacji, o dwukrotnym pobycie w więzieniu sowieckim w ogóle nie było najmniejszej wzmianki. Radziwiłł czekał na próżno, kiedy go zapyta o wizytę w Berlinie i audiencję u Goeringa, ale aż do końca badań także i o tym nie było mowy.

Wreszcie któregoś dnia — a zbliżał się już miesiąc od przyjazdu z Moskwy — Bristygierowa zawiadomiła, że śledztwo zostało umorzone, sprawa sądowa nie będzie wytoczona. Upредиła jednak, żeby ksiązę nie wyjeżdżał z Warszawy, gdyż każdej chwili mogą go wezwać do złożenia dodatkowych zeznań. Gdyby wyjechał bez zezwolenia, natychmiast zostanie aresztowany. Dodała, że przynajmniej przez pewien czas będzie poddany ścisłej inwigilacji. Siła się na grzeczność i oświadczyła na pożegnanie, że władze ludowe liczą na lojalność księcia, który winien im jest wdzięczność za sprowadzenie ze Związku Sowieckiego, mimo że tamtejsze władze nie chciały go, ani jego rodziny wypuścić.

— Mimowoli — uśmiechał się ksiązę — przypominałem sobie pułkownika w Krasnogorsku i jego gniewny okrzyk: — *Stierwiecy! Warszawskie die'r'mo!* Ale trzeba było robić dobrą minę do kiepskiej komedii...

Znacznie później, przeszło po roku, ksiązę zetknął się ze starym, przedwojennym znajomym, który wstąpił do partii i robił

szybką karierę polityczną. Zgadało się między innymi o tak długim przytrzymaniu w Sowietach. Ów znajomy, którego nazwisko Radziwiłł wołał dyskretnie przemilczeć, postawił sprawę wyraźnie. W roku 1945, a nawet jeszcze w 1946 pozycja komunistów w kraju nie była całkowicie pewna: wciąż jeszcze działało antysowieckie i antykomunistyczne podziemie, wcale niełatwa rozgrywka z ludowcami nie była zakończona, ponadto sytuacja międzynarodowa także była dość niejasna. W tych warunkach reżym wołał trzymać poza krajem ludzi, których nazwiska miały jakąś polityczną wagę gatunkową.

Oto tajemnice wywiezienia Radziwiłła wraz z rodziną do Krasnogorska. Moskiewski enkawudysta miał rację: to na prośbę warszawskich komunistów trzymano go przez przeszło dwa i pół roku w obozie.

— Czy istotnie wzywano księcia na dodatkowe badania?

— Owszem, parę razy, ale na krótko, chodziło o ustalenie pewnych szczegółów, dotyczących mojej przeszłości politycznej. Inwigilacja również wkrótce ustała.

— Czy były jakieś złośliwości albo osobiste szykany?

— Różnie się zdarzało. Oczywiście, przez długi czas nie było mowy o otrzymaniu paszportu zagranicznego. No, ale to już inny rozdział mego życia, rozdział, jak pan widzi, szybko zbliżający się ku końcowi. Jeszcze przed kilku laty żywiłem nadzieję, że umrę w wolnej Polsce, teraz — już nie. A jeżeli wracam, choć mógłbym pozostać na Zachodzie, to tylko dlatego, że pragnę być pochowany w kraju.

Rozmowę przeprowadził Józef ŁOBODOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Na stulecie Mychajły Hruszewskiego

Ukraińska prasa na obczyźnie i naukowe instytucje w różnych krajach odnotowały stulecie historyka i polityka, Mychajły Hruszewskiego. Urodził się on w rodzinie pedagoga, w Chełmie, 22 września 1866 roku. Wykształcenie średnie otrzymał w stolicy Gruzji, Tyflisie. Studiował następnie na uniwersytecie kijowskim, pod kierownictwem profesora, Wołodymyra Antonowycza. Antonowycz (1834-1908) był przedstawicielem tej politycznej grupy na Ukrainie, którą w polskich konserwatywnych kołach określano pogardliwie jako „chłopomanów”. Do najwybitniejszych „chłopomanów” i przyjaciół Antonowycza należeli: Borys Poznanskyj, Tadeusz Rylskyj (ojciec poety Maksyma Rylskiego), Konstantyn Mychalczuk i inni. Wszyscy oni wychowali się w kręgu polskiej kultury. Jednakże nie mogli znaleźć wspólnego języka z konserwatywnymi środowiskami polskiej mniejszości na Ukrainie. Znając przeszłość ukraińskiego narodu, którego wyższe warstwy w ogromnej większości zostały utracone na rzecz polskości i Rosji, „chłopomani” powrócili do narodowości swoich przodków, do ukraińskiego narodu.

W swoich badaniach historycznych Antonowycz udowodnił na podstawie dokumentów, że olbrzymia większość polskiej szlachty na Ukrainie prawobrzeżnej wywodziła się z przodków ukraińskich, którzy w XVII i XVIII wieku przyjęli religię katolicką i weszli w skład narodu polskiego. Badawcza praca Antonowycza „O pochodzeniu szlacheckich rodów w Południowo-Wschodniej

* Te fragmenty artykułu Fedenki, które dotyczą stosunków polsko-ukraińskich w przeszłości, zwłaszcza w wieku XVII, mogą polskiemu czytelnikowi wydać się jednostronne. Ale kto uznaje konieczność prowadzenia dialogu polsko-ukraińskiego (w kraju jest to niemożliwe), nie powinien poddawać się niechęci, ani czuć się obrażonym. Konfrontacja wzajemnych zarzutów, choćby najbardziej skrajnych, jest potrzebna, co więcej — niezbędna, gdyż tylko z niej przy obustronnej dobrej woli może wykluć się trwałe porozumienie. — (Przepisek tłumacza — J.Ł.)

Rosji", oparta o dane archiwalne, stanowiła jaskrawą ilustrację tego stanu rzeczy. Ponieważ w carskiej Rosji zabronione było używanie nazwy „Ukraina”, Antonowycz, by uniknąć przycepek cenzury, nazywał prawobrzeżną Ukrainę „Południowo-wschodnią Rosją”; była w tym analogia do „Priwislńskiego Kraju”, jak oficjalnie nazywano polskie prowincje byłego Rosyjskiego Imperium.

Obchodząc zakaz wykładania na uniwersytetach historii Ukrainy, jako osobnego przedmiotu, Antonowycz dawał studiującym u niego historię tematy dySSERTacji, dotyczące badania poszczególnych dzielnic Ukrainy. W ten sposób uczniowie Antonowycza opracowali „fragmentarycznie” niemal wszystkie ziemie i dzielnice ukraińskie. Hruszewskij napisał „Historię Ziemi Kijowskiej” (książka została wydana w roku 1891). Również pod piórem młodego historyka powstała solidna praca „Starostwo Barskie” wydana w roku 1894).

Mimo że Antonowycz odznaczał się prawdziwie płomiennym patriotyzmem ukraińskim, oceniał on bardzo pesymistycznie przyszłość narodowego odrodzenia Ukrainy. Wydawało mu się, że carskiemu reżymowi uda się polityka wynarodowienia („rusyfikacji”) Ukraińców. Jednakże był zdania, że nawet po utracie swego języka, Ukraińcy zachowają świadomość narodową. Powoływał się na przykład Irlandczyków, którzy w większości utracili swoją mowę, ale zachowali narodowość. Mimo wszystko Antonowycz żywił nadzieję, że przynajmniej w niewielkiej dzielnicy, zaludnionej przez Ukraińców, w Galicji, wchodzącej w skład monarchii Habsburgów, uda się uratować mowę ukraińską i kulturę przed dławiącym uściskiem przymusowej rusyfikacji.

Antonowycz wziął udział w pertraktacjach między ukraińskimi i polskimi grupami politycznymi w celu porozumienia i wspólnej walki z wpływem na ukraińską ludność Galicji partii „moskwofilskiej”, korzystającej z poparcia politycznego i finansowego ze strony petersburskiego rządu. Moskwofile twierdzili, że nie ma żadnego ukraińskiego narodu, istnieje zaś „jeden naród rosyjski od Karpat aż po Kamczatkę”. Propaganda ta rozbijała Ukraińców na dwa wrogie obozy i była korzystna dla przewagi narodowej Polaków galicyjskich. Jednak nawet w polskich kołach politycznych powstała obawa przed wzmocnieniem moskwofilizmu wśród Ukraińców: w razie zwycięskiej wojny Rosji z Austro-Węgrami Galicja mogłaby stać się jeszcze jedną prowincją rosyjską, zaś Polacy austriaccy podzieliby smutne losy swych braci w „Priwislńskim Kraju”.

Porozumienie między Polakami i ukraińskimi „ludowcami” w Galicji, nazwane „nową erą”, dało ukraińskiej ludności tej dzielnicy pewne osiągnięcia w dziedzinie kulturalnego rozwoju. Szczególnie wielkie znaczenie miało utworzenie na lwowskim uniwersytecie, który w istocie był uniwersytetem polskim, katedry historii wykładanej w języku ukraińskim. Oficjalna nazwa katedry brzmiała: „historii powszechnej ze specjalnym uwzględnieniem dziejów Europy Wschodniej”, faktycznie jednak była to

katedra historii Ukrainy. Antonowycz nie przyjął godności profesora we Lwowie, z racji na podeszły wiek i słabe zdrowie. Polecił na katedrę lwowską najbardziej uzdolnionego ze swych uczniów — Hruszewskiego.

Profesor Hruszewskij rozpoczął działalność pedagogiczną we Lwowie, w roku 1894. Ze strony swoich polskich kolegów młody profesor nie spotkał się ze zbyt przyjazną postawą, ponieważ utworzenie ukraińskiej katedry wydawało się ograniczeniem prerogatyw polskiej nauki. Jeśli zaś chodzi o rosyjskie sfery rządowe i o prasę reakcyjną, Hruszewskij był podejrzewany i piętnowany jako „austrofil”, który dąży do przyłączenia ukraińskich prowincji Rosji do monarchii habsburskiej.

We Lwowie Hruszewskij wykazał się talentem historyka-badacza i organizatora pracy naukowej. Już w roku 1898 wyszedł pierwszy tom monumentalnego dzieła Hruszewskiego pod tytułem „Historia Ukrainy-Rusi”. Do roku 1930 wyszło w druku dziesięć tomów tej pracy. Niestety, z powodów od autora niezależnych, dzieło nie zostało dokończone i doprowadzone jedynie do opisu okresu Unii Hadziackiej 1658 roku. W swojej pracy Hruszewskij musiał wykonywać pod wieloma względami rolę pionierską, odszukiwać w archiwach nowe materiały, obalać różne historyczne legendy i falsyfikacje.

Wolno sądzić, że czytelników „Kultury” może zainteresować stosunek Hruszewskiego jako historyka i polityka, do Polski w przeszłości i jego poglądy na stosunki polsko-ukraińskie w teraźniejszości. Hruszewskij był uczniem Wołodymyra Antonowicza, który badał głównie dzieje tych dzielnic Ukrainy, które znajdują się na prawym brzegu Dniepru i do roku 1772 wchodziły w skład Rzeczypospolitej. Historyczne utwory Antonowicza nazwane zostały „aktem oskarżenia” przeciw krótkowzrocznej polityce kierowniczych warstw Polski w stosunku do Ukrainy. Hruszewskij podzielał to przekonanie Antonowicza. W swojej „Historii Ukrainy-Rusi” wykazywał błędy i brak przewidywania rządzących kół polskich, zwłaszcza w okresie rewolucji Bohdana Chmielnickiego.

Wiadomo, że Chmielnickij na początku swego powstania w roku 1648 nie zamierzał zrywać związku Ukrainy z Polską. Kozacy zaporoscy szli do powstania pod polskimi, królewskimi sztandarami. Ich celem była reforma feudalnego ustroju Polski, poprzez wzmocnienie władzy królewskiej. W takim sensie wypowiedział się Chmielnickij podczas pertraktacji z posłami króla Jana Kazimierza, w styczniu 1649 roku, mówiąc, że król ma być „wolny” i mieć pełne prawo karania poddanych: „Zgrzeszy książę — uciąć mu szyję; zgrzeszy Kozak — uczynić mu to samo”.

Fanatycznie nieprzejednana postawa polskich kół kierowniczych w stosunku do narodowo-wyzwoleńczego ruchu na Ukrainie, który ogarnął wszystkie warstwy ludności pod kierownictwem Chmielnickiego, popchnęła rząd ukraiński w objęcia Moskwy: nie z miłości do moskiewskiego carstwa, lecz z braku możliwości ustanowienia *modus vivendi* z Polską.

W dziewiątym tomie swojej „Historii Ukrainy-Rusi” Hruszewskij cytuje słowa z listu oboźnego koronnego Rzeczypospolitej, Andrzeja Potockiego, z roku 1659, w którym to liście autor wypowiadał życzenie, aby hordy tatarskie zabrały do niewoli możliwie największą ilość ludności ukraińskiej, ponieważ to ułatwiłoby Polsce opanowanie utraconych terenów.

Z melancholią opisuje Hruszewskij w dziesiątym tomie próbę hetmana Iwana Wyhowskiego uwolnienia się od „moskiewskiej żelaznej niewoli” (słowa samego Wyhowskiego) i utworzenia trialistycznej Rzeczypospolitej: Polska, Litwa i Wielkie Księstwo Ruskie. Zgodnie z planem Wyhowskiego i jego doradców (Jerzy Niemirycz i inni), narody Polski, Litwy i Ukrainy powinny żyć w zgodzie i równouprawnieniu. Hetman Ukrainy otrzymywał tytuł „Księcia Ruskiego”. Opierając się na źródłach, Hruszewskij w swojej „Historii Ukrainy-Rusi” wykazuje brak przewidywania warszawskich kół kierowniczych owego czasu: zamiast ugody z byłymi ukraińskimi buntownikami, rząd polski starał się krok po kroku znieść wszystko, co było istotne w tak zwanej Unii Hadziackiej (1658). Katastrofalne następstwa przyniosło żądanie polskiego sejmu z roku 1659, aby w Wielkim Księstwie Ruskim była utrzymana Unia kościelna z Rzymem. „Tyś z unią przyjechał, tyś śmierć mi przywiózł” — powiedział hetman Wyhowskij polskiemu posłowi Peretiatkowiczowi, gdy ten przyjechał do Czehrynia z wiadomością o sejmowych uchwałach.

Polska historiografia w XIX i XX wieku pozostawała w znacznym stopniu pod wpływem wyobrażenia rewolucji Bohdana Chmielnickiego jako „żakerii” — *bellum servile*. Wyobrażenie to znalazło między innymi swój wyraz także w historycznych powieściach Henryka Sienkiewicza. Hruszewskij, Władysław Lypynskij, Olgierd Górka (profesor Warszawskiego Uniwersytetu) i inni zniszczyli tę legendę w swoich utworach. Na czele wyzwolczego ruchu pod przywództwem Chmielnickiego stali ludzie wykształceni (sam Chmielnickij uczył się w kolegium Jezuitów w Jarosławiu). W ruchu wzięło udział wiele szlachty.

Pamiętać należy, że w połowie XVII wieku Ukraina była ośrodkiem nauki i oświaty dla wszystkich słowiańskich narodów, należących do Kościoła prawosławnego; wielkie zasługi położył pod tym względem metropolita kijowski, Piotr Mohyla — ironia dziejowych losów chciała, że był to rodzony wuj Jeremiego Wiśniowieckiego. Uczni „Czerkasi” (tak w XVII wieku nazywano Ukraińców w Moskwie) byli organizatorami europejskiej oświaty w państwie moskiewskim, zwłaszcza w okresie reform cara Piotra Pierwszego. Historycy polscy (na przykład Rawita-Gawroński) i autorzy powieści historycznych, jak Sienkiewicz, dawali swoim czytelnikom zniekształcone pojęcie o przeszłości ukraińskiego narodu i to pozostawiło swoje ślady w polskiej opinii powszechnej po dziś dzień.

Będąc profesorem uniwersytetu we Lwowie od roku 1894, Hruszewskij miał możliwość obserwować narodowe stosunki w Galicji. Ta austriacka prowincja była w rzeczywistości dalszym

ciągami Polski historycznej i znajdowała się pod władzą polskiej administracji. Znane są nadużycia tej administracji w osławionych „wyborach galicyjskich”. W Galicji Wschodniej Ukraińców i Polaków rozdzielała nie tylko przynależność narodowa, lecz również sytuacja społeczna: w polskim obozie polityczna przewaga należała do stanu szlachecko-ziemiańskiego; Ukraińcy to byli przede wszystkim małorolni albo bezrolni chłopcy i proletariatus.

Upośledzenie masy ukraińskiej ludności w na pół feudalnych stosunkach galicyjskich wywoływało w Hruszewskim gorzkie uczucia. Poczucie krzywdy wzmagalo się osobliwie w związku z kokietowaniem rosyjskich nacjonalistów przez polskie ugrupowania konserwatywne w Galicji. Na tak zwanych „słowiańskich zjazdach” można było obserwować sceny „bratania się” między rosyjskimi nacjonalistami i przedstawicielami polskich narodowych demokratów (hrabia Bobrinskij i Dmowski), przy czym jedni i drudzy demonstrowali swój wrogi stosunek do ukraińskiego odrodzenia narodowego, które powstało rzekomo za „pruskie marki”.

Hruszewskij niejednokrotnie występował w prasie przeciw tej oszczerczej kampanii, do której przyłączył się także przywódca czeskich nacjonalistów, Karel Kramarz. Według Hruszewskiego, wyznaczenie granic między Polską i Ukrainą mogło nastąpić jedynie na zasadach etnograficznych. Dlatego też w swoich wystąpieniach potępiał zarówno przedstawicieli carskiej Rosji, mających pretensję do Chełmszczyzny, jak i patriotów historycznej Polski, także sięgających po tę ziemię, na której przed pierwszą wojną światową większość ludności należała do narodowości ukraińskiej. „Za ukraiński masłak” (Za ukraiński kość*) — pod takim tytułem wyszła w roku 1913 broszura Hruszewskiego, w której autor odmawiał prawa do tej od najdawniejszych czasów ukraińskiej dzielnicy, zarówno Rosji jak Polsce.

Hruszewskij był zwolennikiem projektu oddzielenia Galicji Wschodniej z jej przeważnie ukraińską ludnością od Zachodniej, polskiej Galicji, pozostawiając ją w granicach monarchii Habsburgów. W pokojowym traktacie, zawartym w Brześciu Litewskim 9 lutego 1918 roku, między Ukraińską Republiką Ludową i Austro-Węgrami, była t a j n a klauzula, w której Wiedeń obiecywał po zakończeniu wojny przekształcenie ukraińskiej Galicji Wschodniej na „Kraj koronny”. Wiadomość o tym zobowiązaniu zaciągniętym przez rząd wiedeński jakoś „przeszła się” do wiadomości polskich kół politycznych, mających w Austrii swoje wpływy, i tajna klauzula została jednostronną decyzją rządu austriackiego anulowana.

Polityka Hruszewskiego jako przewodniczącego Ukraińskiej Centralnej Rady w Kijowie (1917-18) nie była nastawiona wrogo do polskiego narodu i do odnowienia polskiej państwowości. W składzie Ukraińskiej Centralnej Rady znajdowali się przedsta-

* Dosłowny przekład wypada po polsku źle. Odpowiednik brzmiałby lepiej: „Kość z kości ukraińskiej”.

wiciele polskiej mniejszości narodowej. Prawa, ustanowione przez Radę, gwarantowały narodową osobowość mniejszościom na terenie Ukrainy: Rosjanom, Żydom, Polakom. Niewątpliwie, Hruszewskij bardzo ciężko przeżywał wojnę, toczącą się o Wschodnią Galicję między Polakami i Ukraińcami, w latach 1918-19. To działo się wtedy, gdy Stanisław Grabski, upojony zwycięstwem, oświadczył, że za dwadzieścia pięć lat we Wschodniej Galicji nie będzie ani jednego Ukraińca...

Wielu wówczas nie było w stanie i nie mogło pojąć, że Moskwa przyglądała się wojnie polsko-ukraińskiej jako *tertius gaudens*. Świetnie zorganizowana, patriotyczna Ukraińska Armia Halicka mogłaby, w razie zawarcia pokoju i sojuszu na równych prawach między Polską i Ukrainą, odegrać decydującą rolę w odrzuceniu agresji Sowieckiej Rosji przeciw Ukrainie w roku 1919. Niestety, stało się inaczej.

Hruszewskij rozumiał historycznie uzasadnioną, głęboką różnicę między Polską i Ukrainą: z jednej strony, wpływy konserwatywnych kół w nowo odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej i marzenia o wznowieniu granic z 1772 roku; z drugiej strony — „naród chłopów, robotników, pracującego ludu” (cytuję ten zwrot z Pierwszego Uniwersału Ukraińskiej Centralnej Rady, wydanego w Kijowie, w dniu 20 czerwca 1917 roku). Tak więc konflikt rozwijał się nie tylko po linii narodowej, lecz także społecznej: przecież ziemianie w prowincjach prawobrzeżnej Ukrainy, na Wołyniu, w Galicji, należeli w owym czasie do polskiej narodowości. Hruszewskiego przerażała perspektywa restauracji obszarniczego władania ziemią i wynikającego stąd reżymu na Ukrainie; zaczął więc łudzić się, że w sojuszu z Sowiecką Rosją Ukraińcy znajdą się w sytuacji bardziej korzystnej.

Przypomina mi się dyskusja, która odbyła się w Londynie w roku 1958, w polskiej organizacji „Koło Kijowian”, z okazji trzystolecia Unii Hadziackiej Polski z Ukrainą. W moim wystąpieniu wskazywałem na błędy popełnione w przeszłości, które z biegiem czasu i w obecnej teraźniejszości narzuciły Polsce i Ukrainie zależność od Moskwy. Przewodniczący „Koła Kijowian”, dziś już nie żyjący generał Zahorski, zgodził się z moimi wywodami i wyraził nadzieję, że obecnie Polska Ludowa i Ukraina Ludowa mają większe szanse dojścia do porozumienia, gdyż zagrożenie jest wspólne.



W kołach naukowych historyczne prace Hruszewskiego z miejsca otrzymały bardzo pozytywną ocenę. Na przykład, Aleksander Brückner napisał o „Historii Ukrainy-Rusi”, że jest to „doskonała, bogatą treścią wypełniona praca, której można zaufać, praca na jaką nie prędko jeszcze zdobędą się inne kraje, nawet kraj z najstarszą słowiańską literaturą” (Cytat z „Zapisek Naukowego Towarzystwa imienia Szewczenki we Lwowie”, tom 133, 1922).

Zasługą Hruszewskiego była reorganizacja i ożywienie działalności Towarzystwa Naukowego imienia Szewczenki, które pod jego kierownictwem stało się faktycznie Ukrainą Akademią Nauk. W swoich badaniach Hruszewskij wykazywał brak naukowego uzasadnienia oficjalnie przyjętego w carskiej Rosji schematu historycznego rozwoju wschodniej Słowiańszczyzny. Schemat ten został wyrażony w znanym sformułowaniu: „Ruś urodziła się w Kijowie, wychowała się w Moskwie, wyrosła w Petersburgu”. Hruszewskij wykazał, że ten schemat „rosyjskiej historii” został stworzony w carskiej Rosji w celach dynastyczno-politycznych.

Potomkowie świętego Włodzimierza, książęta takich dzielnic, jak Riazańska, Suzdalska, Twerska, Moskiewska, przyszli z Kijowa i zachowali pretensje do „ojcowizny” na południu, na „ziemi ruskiej” (zaś księstwa północne przez długi czas w ogóle nie były określane jako Ruś, nosiły nazwy miejscowe: Suzdalcy, Riazancy, Tweritianie i tak dalej).

W swoich studiach badawczych Hruszewskij udawał, że że księstwo Moskiewskie (carstwo od roku 1547) nie było pod względem politycznym przedłużeniem państwa Kijowskiego, że carstwo Moskiewskie powstało w znacznym stopniu według wzorów bizantyjskiego absolutyzmu i Złotej Hordy. Historyk Paweł Miliukow pisał o „bizantyjsko-tureckich wzorach” moskiewskiego państwa. Za spadkobiercę księstwa Kijowskiego i Halicko-Wołyńskiego Hruszewskij uważał Wielkie Księstwo Litewskie. Na jego czele stała dynastia litewskiego pochodzenia, ale ludność, kultura, ustrój prawny i państwowe instytucje Wielkiego Księstwa Litewskiego powstały na fundamentach ukraińsko-białoruskich; wiadomo, że przez długi czas urzędowym językiem w księstwie Litewskim była mowa białoruska, z przymieszką ukraińskich dialektów. Cesarska Akademia Nauk w Petersburgu w jednym ze swych wydań z roku 1904 ogłosiła artykuł Hruszewskiego pod tytułem: „Tradycyjny schemat 'rosyjskiej' historii i sprawa racjonalnego postawienia dziejów Wschodniej Słowiańszczyzny”. Artykuł został wydrukowany po ukraińsku, pomimo że ogłaszanie prac naukowych i wydawanie periodyków w języku ukraińskim było ówczesnie zakazane na całym obszarze cesarstwa Rosyjskiego. Członkowie Rosyjskiej Akademii Nauk wysoko ocenili naukową sumienność Hruszewskiego i nawet złamali carski dekret, który postawił poza prawem ukraiński język i kulturę.

Rewolucyjne wydarzenia w Rosji, w latach 1905-1906, obudziły nadzieje Hruszewskiego na demokratyzację Rosji. Przyjmuje czynny udział w politycznym życiu, a przede wszystkim występuje w swoich publicystycznych utworach przeciw centralistycznemu ustrojowi Rosji i żąda szerokiej autonomii dla wszystkich narodów imperium. Znana była jego broszura, wydana w owym czasie pod tytułem „Jedność czy rozkład Rosji?”

Hruszewskij stale współpracował z ukraińskimi postaciami do pierwszego parlamentu wybranego przez ludność, „Dumy Państwowej”, powstałej w wyniku rewolucji 1905 roku. A chociaż

reakcja, która potem zwyciężyła, znowu spadła gniotącym ciężarem na ukraiński ruch narodowy i kulturalny rozwój Ukrainy, mimo wszystko Hruszewskij nie tracił swego optymizmu: oczekiwał nowych rewolucyjnych wydarzeń w carskiej Rosji i wierzył, że Ukraina, we współdziałaniu z innymi gnębionymi narodami, wywalczy sobie wolność.

Ożywiony takimi nadziejami, Hruszewskij powraca w roku 1908 do Kijowa. Przy jego udziale powstaje tu Ukraińskie Towarzystwo Naukowe, jednocześnie Hruszewskij, także w Kijowie, zaczyna wydawać miesięcznik pod tytułem „Zwiastun Literacko-Naukowy”, oraz miesięcznik dla chłopskiego czytelnika „Wies”. Jednocześnie prowadzi nadal pracę nad „Historią Ukrainy-Rusi”, drukuje popularną historię Ukrainy i zajmuje się innymi wydawnictwami.

Wchodzi też w kontakt z liberalnymi posłami do Dumy Państwowej w Petersburgu i dzięki jego inicjatywie w Dumie wysunięta została sprawa wprowadzenia języka ukraińskiego do szkół ludowych. Hruszewskij nie dowierzał polityce rządu monarchii Habsburskiej. Oczekiwał pomyślnego rozwiązania sprawy ukraińskiej na Ukrainie Nadnieprzańskiej, pomimo wzmożonych represji carskiego rządu w stosunku do ukraińskiej mowy i kultury. W swojej „Ilustrowanej historii Ukrainy” (Kijów, 1913) Hruszewskij pisał co następuje: „Niewątpliwie, szeroki rozwój ukraińskiego ruchu w Rosji to tylko kwestia krótkiego czasu; z całą ufnością możemy spoglądać w przyszłość”.

Pierwsza wojna światowa 1914 roku zastała Hruszewskiego w Galicji, na wakacjach w Karpatach. Ukraińscy emigranci, przebywający w Austrii zaproponowali mu przyłączenie się do stworzonego przez nich „Związku Uwolnienia Ukrainy”, mającego walczyć o niepodległość w oparciu o państwa centralne; Hruszewskij odmówił.

Postanowił wracać do Kijowa, chociaż mógł spodziewać się, że carska administracja zastosuje wobec niego represję, jako „austrofila”. Istotnie, natychmiast po powrocie do Kijowa Hruszewskij został aresztowany i zesłany do Symbirsk, pod nadzór policji. Jednakże jego przyjaciele w Petersburskiej Akademii Nauk wystarli się o jego przeniesienie do Moskwy, gdzie mógł kontynuować działalność naukową.

To, czego spodziewał się i na co wyczekiwał Hruszewskij, opuszczając Austrię, stało się w lutym 1917 roku: upadek samodzierżawja otworzył drogę dla swobodnego rozwoju wszystkich narodów państwa rosyjskiego. W Kijowie stworzono rewolucyjny parlament Ukrainy — Radę Centralną. Na stanowisko przewodniczącego został wybrany Hruszewskij. Jego staraniem w skład Ukraińskiej Centralnej Rady weszli również przedstawiciele stronnictw rosyjskich, żydowskich i polskich. W pertraktacjach z Rządem Tymczasowym w Piotrogradzie Centralna Rada uzyskała zgodę na utworzenie autonomicznego rządu Ukrainy.

Po bolszewickim przewrocie w Rosji rząd Ukrainy nie uznał komunistycznej dyktatury. Dwudziestego listopada 1917 roku

Ukraińska Rada Centralna proklamowała Ukraińską Republikę Ludową. Pod kierownictwem Hruszewskiego. Republika ta dążyła do utworzenia ogólnorosyjskiego demokratycznego rządu na federacyjnych zasadach. Władze ukraińskie rozbroiły te oddziały armii rosyjskiej, które skłaniały się ku bolszewikom, i wydalily je poza granice Ukrainy. Rząd Lenina uznał to za pretekst, 17 grudnia 1917 roku wypowiedział wojnę Republice Ukraińskiej i rzucił przeciw niej oddziały czerwonogwardystów.

Polityka rządu ukraińskiego, pod przewodnictwem Hruszewskiego, miała na celu nie dopuścić do okupacji Ukrainy przez armie Państw Centralnych. Hruszewskij liczył na zawarcie pokoju powszechnego. Jednak rząd Lenina rozpoczął w grudniu 1917 roku pertraktacje pokojowe z Państwami Centralnymi, przy czym w rozmowach w Brześciu Litewskim występował również w imieniu Ukrainy. Jednocześnie propaganda komunistyczna oskarżyła rząd Ukrainy o rzekomy zamiar przedłużenia możliwie najbardziej wojny z Państwami Centralnymi, rzekomo na rozkaz Ententy. Oddziały bolszewickiej Czerwonej Gwardii, przysłane z Rosji, zajęły Charków i Połtawę, a w końcu stycznia 1918 roku rozpoczęły bombardowanie Kijowa. W tych okolicznościach rząd Ukrainy musiał zgodzić się na zawarcie pokoju z Państwami Centralnymi w Brześciu Litewskim.

Hruszewskij przeżywał te wydarzenia jako własną tragedię — polityczną i osobistą. Obawiał się, że reakcyjne rządy Niemiec i Austro-Węgier zechcą podtrzymywać na Ukrainie również reakcyjne siły i zlikwidować reformę rolną, z wielkim rozmachem prowadzoną przez rząd ukraiński. I tak rzeczywiście się stało. 29 kwietnia 1918 roku Ukraińska Rada Centralna została rozwiązana pod naciskiem zbrojnych sił niemieckich. Wojskowe dowództwo niemieckie przekazało władzę generałowi Skoropadskiemu, który był wielkim obszarnikiem.

Ponieważ wielcy posiadacze ziemscy na Ukrainie w olbrzymiej swej większości nie byli narodowości ukraińskiej, reżym Skoropadskiego ustosunkował się wrogo do idei ukraińskiej niepodległości narodowej. Obszarnicza reakcja, które towarzyszyły okrutne represje na chłopach ukraińskich, przygotowała grunt dla bolszewickiej propagandy.

Skoropadski zakończył swoje siedmiomiesięczne rządy na Ukrainie ogłoszeniem „federacji” z Rosją białych generałów, którzy utworzyli nad Donem „rząd Rosji Południowej”. Niepodległość Ukrainy jako Ukraińskiej Republiki Ludowej została odbudowana w listopadzie-grudniu 1918 roku przez rewolucyjny ruch narodowy, pod kierownictwem ukraińskich stronnictw socjalistycznych. Jednak Ukraina nie mogła obronić wszystkich swoich granic: od północy, z Rosji rozpoczęła swoją ofensywę bolszewicka Czerwona Armia, od wschodu zagrażała Biała Armia, zaś na zachodzie, w listopadzie 1918 roku, zaczęła się w Galicji wojna polsko-ukraińska. W grudniu 1918 r. wojskowe oddziały francuskie i greckie zjawiły się na ukraińskim побереżu Morza Czarnego (Odessa, Cherson, Mykołajiw); ich celem było pomagać Rosyj-

skiej Białej Armii gen. Denikina w odbudowaniu wielkiej Rosji. Ukraińcom proponowano włączenie się do jednolitego frontu z rosyjskimi monarchistami pod ogólnym kierownictwem wojskowym dowódców państw Ententy.

Hruszewskij opuścił Ukrainę w roku 1919, w okresie najbardziej burzliwych wydarzeń i osiedlił się we Wiedniu. Założył tam Ukraiński Instytut Socjologiczny i prowadził nadal prace naukowe. Jeszcze będąc w kraju, Hruszewskij niejednokrotnie dochodził do wniosku, że Ukraina mogłaby uniknąć okupacji przez armię sowiecką, gdyby od razu przyjęła „sowiecką platformę”. Hruszewskij nie orientował się, że Lenin uznaje tylko taką „sowiecką władzę”, przy której ma wyłączny głos jego własna partia komunistyczna.

Pod tym względem Hruszewskij, podobnie jak wielu wybitnych politycznych działaczy innych krajów, padł ofiarą taktyki Lenina. Pod liberalnymi frazesami o „władzy pracujących” i „samostanowieniu narodów włącznie z odseparowaniem się”, Lenin potrafił ukrywać swoje dążenie do utworzenia monopartyjnego, totalitarnego reżymu.

W roku 1924 Hruszewskij wrócił do Kijowa, aby jako członek Ukraińskiej Akademii Nauk kontynuować swoją pracę naukową. Najwidoczniej, jak i przy carskim reżymie, pielęgnował nadzieję na ewolucję dyktatury komunistycznej i pragnął doczekać lepszych dni nie na obczyźnie, lecz wśród własnego narodu.

Nadzieję tę wyczuwa się w jego przemówieniu, wygłoszonym w Kijowie, w 1926 roku, podczas jubileuszu na sześćdziesięciolecie historyka. „Pragnę — mówił Hruszewskij, zwracając się do przyjaciół — żyć jeszcze, cierpieć i walczyć razem z wami” (Jubileusz akademika, M. S. Hruszewskiego, 1866-1926 — Kijów, 1927).

W Kijowie Hruszewskij rozwinął zdumiewająco wszechstronną działalność naukową: kontynuował pracę nad „Historią Ukrainy-Rusi”, redagował czasopisma naukowe, brał udział w licznych konferencjach itd. Należy podkreślić, że w jego pracach owego okresu nie ma nawet śladu wpływu komunistycznej „nauki partyjnej”: Hruszewskij aż do końca pozostał uczonym niezależnym.

W roku 1929, w związku z początkiem stalinowskiego tak zwanego „Żelaznego wieku”, nastąpił pogrom instytucji naukowych, w których pracował Hruszewskij. Pobyt na Ukrainie popularnej osobistości Hruszewskiego nie dogadzał partyjnej dyktaturze. W roku 1930 uczonego zmuszono do przeniesienia się do Moskwy. Śmiertelnie chorego przewieziono do Kisłowodzka na Kaukazie, gdzie zmarł 24 listopada 1934 roku. I tu nie obeszło się bez hipokryzji: komunistyczny rząd Ukrainy sprowadził zwłoki Hruszewskiego do Kijowa i urządził mu „pogrzeb państwowy”, z przemówieniami „ludowych komisarzy”.

Od czasu, gdy ustaliło się samoderżawie Stalina i aż do ostatnich lat nazwisko Hruszewskiego i jego prace były w Związku Sowieckim zakazane. Jeśli go wymieniano, to zawsze przy akom-

paniamencie obelżywych epitetów: „Najgorszy wróg ukraińskiego narodu”, „burżuazyjny nacjonalista” i tak dalej.

Oto, co pisze o Hruszewskim „Sowiecka Encyklopedia Ukraińska” (tom III, wydanie z 1960 roku): „W 1917 został on przewodniczącym kontrrewolucyjnej, burżuazyjno-nacjonalistycznej Centralnej Rady, która prowadziła krwawą walkę przeciw ukraińskim robotnikom i chłopom...”. „Po katastrofie niemieckiej oku pacji Hruszewskij uciekł z Ukrainy, podjął kontrrewolucyjną, antysowiecką działalność, podtrzymywał ściśle związki z przywódcami band kułackich, które wypowiedziały walkę narodowi ukraińskiemu...”.

O pobycie Hruszewskiego na Ukrainie po jego powrocie do Kijowa w roku 1924, Ukraińska Encyklopedia Sowiecka informuje, iż „pozostawał on w kontakcie z antysowieckimi, burżuazyjno-nacjonalistycznymi organizacjami, które prowadziły na terenie Sowieckiej Republiki Ukrainy nielegalną działalność wywrotową...”.

„Ukraiński Miesięcznik Historyczny”, wychodzący w Kijowie, w numerach z września i października 1966 roku, w ogóle stulecia Mychały Hruszewskiego nie zauważył. Jedynie tygodnik „Literacka Ukraina” (Kijów, 30 września) odezwał się na stulecie Hruszewskiego artykułem Iwana Bojki i Jewhena Kyryluka. W zestawieniu z licznymi artykułami, „demaskującymi” Hruszewskiego jako polityka i uczonego, w prasie sowieckiej w ostatnich latach należy uznać artykuł w „Literackiej Ukrainie” za zbliżony w pewnym stopniu do obiektywizmu.

Po potępieniu „naukowego zacofania” Hruszewskiego, który nie uznawał „prawidłowości procesów historycznych”, Bojko i Kyryluk mimo wszystko uznają olbrzymie zasługi naukowe Hruszewskiego.

„Spod jego pióra wyszło około dwóch tysięcy prac naukowych, dotyczących historii Ukrainy, historii literatury ukraińskiej, etnografii, folkloru, socjologii. Zawarta w nich jest olbrzymia ilość zebranego, opracowanego i ujętego w system faktycznego materiału, który rozszerza naszą historyczną i kulturalną wiedzę”.

Bojko i Kyryluk potępiają polityczną działalność Hruszewskiego podczas zmagania o niezależność Ukraińskiej Republiki Ludowej, ale nie ma w tym artykule takiego piętnowania jak w artykule „Ukraińskiej Encyklopedii Sowieckiej”.

Warto też zanotować, że w numerze z lipca-sierpnia 1966 roku, ukraińskiego naukowo-literackiego dwumiesięcznika, „Dukla”, wychodzącego w Priaszowie, we wschodniej Słowacji, ukazał się artykuł proponujący rehabilitację Hruszewskiego w Związku Sowieckim. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, ta propozycja „Dukli” pozostanie jedynie „pobożnym życzeniem”.

Gdyby obecny reżym zechciał zrehabilitować Hruszewskiego jako lojalnego „sowieckiego człowieka”, to musiałby wyrazić zgodę na ponowne wydania dzieł tego znakomitego uczonego. Ale jak już przekonał się, poglądy Hruszewskiego na historycz-

ny rozwój narodów Wschodniej Słowiańszczyzny sprzeczne są z kanonami współczesnej „nauki partyjnej”.

Nawet dzieła tych historyków rosyjskich, którzy podzielali poglądy Hruszewskiego, są obecnie w Związku Sowieckim zakazane. Tak na przykład książka profesora Aleksandra Priesniakowa — „Powstanie państwa wielkorusyjskiego” (Petersburg 1918), w której autor w całości podziela opinie Hruszewskiego na ten temat, została wycofana z bibliotek sowieckich i jest niedostępna.

POSTSCRIPTUM: Już po napisaniu tego artykułu otrzymałem numer „Ukraińskiego Miesięcznika Historycznego”, z listopada 1966 roku. Miesięcznik ten jest organem Instytutu Historii przy Akademii Nauk Sowieckiej Republiki Ukrainy. W numerze tym ukazał się artykuł F. P. Szewczenki pod tytułem „Dlaczego Mychajło Hruszewskij wrócił na Sowiecką Ukrainę?”. Autor wykorzystał cytaty z listów i artykułów Hruszewskiego, napisanych przed jego powrotem do Kijowa w roku 1924, a także już po powrocie.

Pod niektórymi względami artykuł Szewczenki stanowi postęp w zestawieniu z ogólną oceną naukowej działalności Hruszewskiego, rozpowszechnioną w Związku Sowieckim, poczynając od lat trzydziestych. Szewczenko pisze, że historycy powinni studiować i właściwie oceniać „to wszystko, co było pozytywne w twórczości M. Hruszewskiego”. Autor artykułu podkreśla również patriotyzm Hruszewskiego, który „dążył do tego, by zawsze być ze swoim narodem, ofiarować mu wszystkie siły i całą wiedzę”. Jednocześnie Szewczenko wyjaśnia nieporozumienie, którego ofiarą padł Hruszewskij i niektórzy z jego zwolenników, należących do Ukraińskiej Partii Socjalistycznych Rewolucjonistów.

Szewczenko przytacza słowa Hruszewskiego z jego listu do Wasyla Kuziwa, który był superintendentem Ukraińskiego Kościoła Ewangelickiego w Stanach Zjednoczonych. „Wybieram się z wielką trwogą — pisał Hruszewskij w liście z 10 listopada 1921. — Jakoś się tam dostanę, ale czy będzie można potem wydostać się — nie wiadomo. Wprawdzie donoszą mi, że życie obecnie stało się łatwiejsze, ale to po niesłychanych nieszczęściach minionych lat...”

Jeszcze jedno złudzenie Hruszewskiego: nie rozporządzał żadnymi faktycznymi danymi o planowej, świadomej akcji Moskwy, której zależało na możliwie największej liczbie ofiar głodu na Ukrainie, aby w ten sposób zlikwidować zbrojny opór stawiany komunistycznemu reżymowi przez masy ukraińskie; jednocześnie Hruszewskij sądził że rządy zachodnioeuropejskie i amerykańskie spróbują, pod pretekstem niesienia pomocy głodującym, odbudować na Ukrainie reżym obszarniczej reakcji.

Panas FEDENKO

(Przełożył Józef Łobodowski)

Komunikaty

25-LECIE POLSKIEGO INSTYTUTU NAUKOWEGO W AMERYCE

W związku z 25-leciem swego istnienia, Polski Instytut Naukowy w Ameryce zorganizował w dniach 25 i 26 listopada 1967 uroczyste zebranie oraz cykl wykładów. Przewodniczyli zebraniom: prof. Daniel Buczek, prof. Hilary Koprowski, prof. Ludwik Krzyżanowski oraz prof. Stanisław Mrozowski; wykłady wygłosili: prof. Zofia Borowska, prof. Peter Brook, prof. Feliks Gross, dr Aleksander Hertz, prof. Henryk Skolimowski, prof. Leon Smoliński, dr Zenon Szatrowski, prof. Stanisław Ulam, p. Damian Wandycz, prof. Wiktor Weintraub, p. Józef Wittlin oraz prof. J. K. Zawodny.

NAGRODA FUNDACJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ

Nagroda Fundacji Kościuszkowskiej za pracę doktorską na rok 1967 przyznana została Dr. Jerzemu Maciuszko za pracę pt. THE POLISH SHORT STORY IN ENGLISH TRANSLATION (POLSKIE NOWELE W TŁUMACZENIU ANGIELSKIM), przygotowaną na Uniwersytecie Western Reserve. Praca ta będzie opublikowana przy końcu bieżącego roku przez Wayne State University Press.

Nagroda za pracę doktorską przyznawana corocznie przez Fundację Kościuszkowską jest zachętą do wydawania wyróżniających się prac na tematy polskie. Nagroda w wysokości tysiąca dolarów przekazywana jest wydawcy, zainteresowanemu wydaniem pracy, uznanej przez Fundację Kościuszkowską za najlepszą w danym roku.

Pierwsza tego rodzaju nagroda została przyznana w 1964 r. dr. Metchie Budka za tłumaczenie Pamiętników Amerykańskich Juliana Ursyn Niemcewicza. Praca ta nosi tytuł UNDER THEIR VINE AND FIG TREE. W 1965 r. nagroda przypadła Dr Victor'owi Greene za jego pracę o udziale górników Polaków w ruchu ochrony pracy w kopalniach węgla w Pensylwanii. Praca jego została ostatnio zatwierdzona do wydania przez prasę Uniwersytetu Notre Dame. Praca dr. Joseph Wiczerzaka A POLISH CHAPTER IN CIVIL WAR AMERICA, za którą otrzymał on nagrodę w 1966 r., wydana będzie we wrześniu br. przez Twayne.

Po dalsze informacje należy zwracać się do Fundacji Kościuszkowskiej, 15 East 65th Street, New York, N.Y., 10021.

MIĘDZYNARODOWY KONKURS

R e g u l a m i n

Art. 1. — Państwowa Organizacja Turystyczna Prowincji Rieti przy współpracy z Autonomiczną Agencją Turystyczną Rieti-Terminillo i z Europejską Wspólnotą Dziennikarzy ogłasza

MIĘDZYNARODOWY KONKURS DLA DZIENNIKARZY „GRECCIO”

celem podtrzymania przy życiu tradycji szopki ustanowionej przez Św. Franciszka z Asyżu w noc Bożego Narodzenia w roku 1223.

Art. 2. — W Konkursie mogą brać udział dziennikarze i pisarze jakiegokolwiek narodowości, artykułami lub nowelami czy opowiadaniem opartymi na wydarzeniach, które miały miejsce w Sanktuarium w Greccio w noc Bożego Narodzenia w roku 1223;

Art. 3. — Prace winny być opublikowane w dziennikach albo czasopismach w okresie od 1 października 1967 do 31 stycznia 1968.

Art. 4. — Prace w 5 egzemplarzach dziennika czy czasopisma winny być przesłane pocztą poleconą do dnia 28 lutego 1968 roku na adres: **ENTE PROVINCIALE PER IL TURISMO - RIETI - ITALIA.**

Art. 5. — Specjalna Komisja, której decyzja jest nieodwołalną, przydzieli następujące nagrody:

1 nagroda	—	500.000	lirów
2 nagroda	—	300.000	"
3 nagroda	—	200.000	"
4 nagroda	—	100.000	"

Art. 6. — Państwowa Organizacja Turystyczna zastrzega sobie prawo przedruku prac nadesłanych (ewentualnie także i nie nagrodzonych) z nazwiskiem autora i z tytułem czasopisma.

Art. 7. — Państwowa Organizacja Turystyczna zapewnia jak najbardziej pełną współpracę dla dostarczenia wszystkich wiadomości potrzebnych do opracowania artykułów, nowel czy opowiadań.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Banda gangsterów

„Dosyć, mówię. Co to za aluzje? Jesteście w partii czy w bandzie gangsterów?”. Jest to kluczowe pytanie nowej powieści Jerzego Putramenta *Małowierni* (Czytelnik, 1967). Stawia je Lichtner — osławiony pułkownik Światło — młodemu publicyście partyjnemu Hliweckiemu w trakcie wysłuchiwania jego kolejnego donosu w UB. Czytelnik, zamykając powieść, ma na nie gotową i bezsporną odpowiedź, niezależnie od tego jakie intencje przyświecały naczelnemu powieściopisarzowi partyjnemu w ciągu sześciu lat mozolnej pracy nad *Małowiernymi*: są wszyscy trzej (albo wszyscy czterej, jeśli czytelnik należy również do partii) w bandzie gangsterów.

Małowiernych poprzedza ostrzeżenie: „Wszystko w tej powieści jest zmyśleniem. Zbieżność nazwisk, osób i faktów jest przypadkowa i nic nie znaczy”. Gdyby tak było w istocie, powieść Putramenta nie zasługiwałaby w ogóle na uwagę: jest jako powieść nic nie warta — prymitywna w kompozycji, niechlujnie napisana, beznadziejnie schematyczna w rysunku postaci, mimowoli komiczna wszędzie tam gdzie puszcza wodze „zmyśleniu” lub zanurza się w „lirycznej” opisowości. Talent autora *Pół wieku* jest wyłącznie pamiętnikarski, niknie natychmiast w zeknięciu z jakimikolwiek próbami „beletryzowania”. Podobnie jak poprzednie „powieści” Putramenta, *Małowiernych* ratuje więc tylko to że są zamaskowanym pamiętnikiem: że poza „przypadkową i nic nie znaczącą zbieżnością nazwisk, osób i faktów” rozpoznajemy bez trudu dobrze znane fakty i wielu dobrych znajomych (Bieruta, Bermiana, pułkownika Światło, Borejszę, przelotnie pokazanego i nienazwanego Gomułę, Jerzego Andrzejewskiego), domyślając się połowicznie innych w syntetycznych „zbitkach” postaciowych. To, i jedynie to, upoważnia do zrobienia Putramentowi komplementu że napisał książkę ciekawą. Cała „powieściowa” reszta porusza się niemrawo na krawędzi tandety.

Ciekawą w bardzo specyficznym zresztą tego słowa znaczeniu. Wiedzieliśmy od dawna o tych „osobach i faktach” dość dużo (choć naturalnie nie wszystko), ale była to wiedza jakby z parteru, nie poręczona autorytatywnie z najwyższego piętra. Działa tu zrozumiały mechanizm *inside story*, nie tyle nawet z racji spodziewanego bogactwa szczegółów niedostępnych dla „profanów”, ile z potrzeby weryfikacji obrazu u samego źródła: *Małowierni* napisani przez „beletrystę” antykomunistycznego jota w jotę tak jak ich wymalował Putrament przeszliby bez większego echa, wzbudzając zapewne na dodatek uczucie niesmaku swoją propagandową wulgarnością; z nazwiskiem Putramenta na okładce stają się niemal „rewelacją”. Analogicznym, i równie zasłużonym, powodzeniem cieszyły się niegdyś „rewelacje” pułkownika Światło: wiele z tego co opowiedział po swojej ucieczce z meliny gangsterskiej znano już z innych źródeł, i w jego zatem wypadku słuszny okrzyk *Mehr Licht!* był tylko pragnieniem posiadania autentycznej i najbardziej „miarodajnej” parafy ze strony jednego z „operatorów”. Wiadomo mnóstwo z literatury i filmu o życiu i działalności gangsterów amerykańskich, a przecież kiedy w Neapolu zamieszkał w bliskim moim sąsiedztwie odesłany do ojczyzny na emeryturę Lucky Luciano, namawiałem go często przez naszego wspólnego znajomego z policji włoskiej do pisania pamiętników: byłem ich ciekaw w takim samym sensie, w jakim z ciekawością przeczytałem przed laty broszurę Światły a teraz „powieść polityczną” Putramenta. Niestety, zanim moja dobra rada mogła być usłuchana przez zainteresowanego, umarł on w tajemniczych i po dziś dzień niewyjaśnionych okolicznościach na lotnisku neapolitańskim po wypiciu filiżanki *espresso*. Kto wie, czy jego byli i wciąż jeszcze „operatywni” towarzysze nie przyłożyli do tej śmierci ręki na wieść o moich usilnych namowach literackich.

Określenia „powieść polityczna” używa sam Putrament w autoapologii na łamach *Życia Warszawy*. Jest ono podwójnie nieściśle: ani to powieść, ani polityczna. Kto przy zdrowych zmysłach pomyśli na serio o polityce, przypatrując się w *Małowiernych* kolejnym „rozróbom” (tak brzmi tytuł jednego z rozdziałów)? Putrament powiada: „Chodziło mi o galerię ludzi, którzy między 1950 rokiem a początkiem 1956 roku dokonali dosyć gwałtownego zakrętu w swoich przekonaniach politycznych”. W partii musiano jednak z pewnym zakłopotaniem — jak prane publicznie intymne brudy rodzinne — oglądać w zwierciadle książki owe „przekonania polityczne”, bo nieco dalej dodaje: „Jest pewna kategoria przyjmujących krytycznie książkę, których opinia bardzo mnie obchodzi, zasmuca i boli. To są członkowie partii, którzy też w tej powieści dopatrują się historii ich partii — i nie mogą z tym się zgodzić. Którzy konfrontują swoje odczucia z owych czasów, swoją walkę, swoją wiarę — i nie mogą odnaleźć siebie na stronicach książki. Ależ tak być musiało! Nie byli małowierni, więc dlaczego musiałbym ich w książce pokazywać?”. To ja podkreśliłem słówko „też”, świadczące że poza

partią opinia która mniej „obchodzi, zasmuca i boli” autora była natychmiastowa i jednoznaczna. Pierwszy to chyba w kraju wypadek tak całkowitej zgodności obu opinii, partyjnej i publicznej. I obie są trafne. Chwył z opisanymi w książce „małowiernymi” i nieobecniymi w niej „dużowiernymi” wystawia Putramentowi świadectwo prowincjonalnego kauzyperdy. Czy do uwierzenia jest by czołowy powieściopisarz partyjny, pracujący sześć lat nad „powieścią polityczną” o sześcioletnim okresie „przełomowym” w historii własnej partii, pominął w niej świadomie i celowo (z poczucia politycznej skromności...) tak zwane „pozytywy”? Nie — wbrew składanym teraz w panice przysięgom i zapewnieniom ich autora, *Małowierni* byli zamierzeni jako partyjne „lustro w którym każdy snadnie przejrzeć się może”. I odbicie jest takie jakie jest, podobne do odbicia w powieści komunisty słowackiego Mnaczkii *Smak władzy*: galerią małych żulików i dużych szubrawców, z wyjątkiem więźnia Tamtej Sprawy (czyli Gomułki), żałosnego wraka Kranca, w miarę inteligentnego półwraka Ligęzy, zdesperowanego Świderskiego i młodego lecz dostatecznie już zimnego draniaszka „pozytywnego” Hliweckiego (z partyjnego „narybku”). Ten ostatni, obiecujący publicysta, prawdziwie rozczula. Po aresztowaniu Berii leży na zielonej trawce ze swoją Anką i głowi się nad tym, jak „rozwiązać problem Stalina”: „Nie miał jeszcze wyrobionego zdania o roli Stalina w tej całej sprawie. Wahał się między dwiema wersjami: nie wiedział, albo był tylko zabawką w ręku urzędników. Chciał się rozgniewać. Potem błysnęło mu: rzeczywiście, bez wyjaśnienia tego punktu nie ruszą z miejsca. Nachylił się nad Anką, pocałował. Przyciągnęła go do siebie. Już nie była niezaradna. Leżał potem przy niej i myślał: co za głupstwa ta cała polityka! Jestem młody, mam wspaniałą dziewczynę, o kogo mam się zamartwiać...”.

W krytyce literackiej panuje dziś moda na językową analizę tekstów. Nie należę do jej zwolenników, ale uważam ją za bardzo przydatną gdy chodzi o teksty z gatunku *Małowiernych*. W książce Putramenta uderza swoisty język, na pierwszy rzut oka jakby skrzyżowanie „jędrnej” mowy „plebejskiej” czy „proletariackiej” ze stylem domorosłych „strategów”. Z jednej strony „rozrabia się faceta”, „zawala” sprawę, „zasuwa” artykuł. Z drugiej: „Każde przyznanie się skazane było na przeciwdziałanie silnego i niegłupiego przeciwnika. Gdy nacierali, czuli zorganizowany przez niego opór. Gdy się cofali, czuli jego nacisk, zmierzający do zepchnięcia ich z wybranej drogi na tor wygodniejszy dla niego, dla tego wroga”. Miał to być przypuszczalnie język „rewolucyjny”, jest to w rzeczywistości — po bliższym wejrzeniu — typowy „operatywny” żargon gangsterski. Próbkę znamy z raportów Świątły, *Małowierni* wydają się ich bardzo wierną imitacją.

Jeszcze jedno zastanawia, i jest pouczające, w książce Putramenta: nieobecność społeczeństwa, wyzwolonych nareszcie i zbawionych mas ludowych. Dwukrotnie tylko, jak w krótkiej mi-gawce filmowej, pojawiają się znudzone i zmęczone twarze mło-

dych robotników na występie partyjnej „ekipy poetyckiej” oraz gorzkie i zawzięte twarze starych robotników podczas strajku w stoczni gdańskiej. Na pozostałych czterystu stronicach książki ziele z dołu milcząca pustka, a protagoniści na szczycie przenoszą się z urzędu do urzędu, czy z urzędu do swoich mieszkań prywatnych i *vice versa*, niewidzialnymi helikopterami nad głowami tłumu i dachami domów. Co jest niezłą i dość plastyczną ilustracją okrzyku rozpaczki pisarza komunistycznego Ludwika Vaculika, wyrzuconego ostatnio z partii: „Sądzę, że w naszym kraju nie ma już obywateli”.

Małowierni kończą się sensacyjną wiadomością, szepniętą na ucho Ligęzie przez Millera: „Słyszałeś? No, na tym Dwudziestym Zjeździe? Nie słyszałeś? Podobno trwał o dzień dłużej, Chruszczow wałnął takie przemówienie...”. W tym z grubsza momencie zaczyna się, pod innym piórem, ich ciąg dalszy: *Widziane z góry* Tomasza Stalińskiego. Jedynym tytułem do chwały Putramenta będzie zapewne w przyszłości to, że jego *Małowierni* staną się nieodłącznym wstępem do lektury doskonałej książki Stalińskiego, czymś w rodzaju rybki pasożytującej na wielorybie.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Recepta na polski best-seller

Powieść Żukrowskiego ma wszystkie szanse by stać się *best-seller'em*. Nie należy jednak brać stwierdzenia tego za jakieś potępienie „Kamiennych tablic” *a priori*; w ostateczności mamy tyle samo różnych kategorii *best-seller'ów* co książek, które z tych czy innych względów nie cieszą się powodzeniem. Książka Żukrowskiego stanie się jednak na pewno popularna, bo stanowi zręczne połączenie dwóch tematów, które naprawdę interesują czytelników: miłości i polityki. Dodajmy, że posiada ona ponadto mnóstwo *couleur local*, że zarysowuje tło, które jest na ogół nieznanne literaturze polskiej — Indie. Ludzie, którzy nigdy nie otworzą powieści o współczesnej (to znaczy powojennej) Polsce, tłoczyć się będą w czytelnich i księgarniach by zdobyć książkę opisującą tak pasjonującą historię miłosną, na tak egzotycznym tle, i zawierającą tak interesujące akcenty polityczne.

W rzeczywistości powieść ta jest egzotyczna z wielu powodów. Wprowadza nas do Indii, kraju fascynującego, który nasuwa nam czasami porównanie z górą lodową wystającą tylko w jednej dziewiątej ponad wodę, bo kraj ten żyje w teraźniejszości mając

* Wojciech Żukrowski, *Kamienne tablice*, I-II, Wydawnictwo MON, 1966.

resztę pogrążoną w przeszłości. Pozwala nam spojrzeć od wewnątrz na świat dyplomatów, świat pełen napięcia, pełen osobistych rywalizacji i intryg, który rozświetla od czasu do czasu rozmach dyplomatycznych przyjęć i obiadów. I wreszcie zawieramy w niej znajomości z główną postacią książki, poetą węgierskim Istvan Terey, który będąc urzędnikiem Ambasady przeżywa jednocześnie dwa dramaty: miłość do dziewczyny australijskiej oraz pamiętny przewrót polityczny z października 1956.

Autor, jak wydaje się, zna dobrze Delhi i te części Indii, które opisuje. Wiemy, że zetknął się z życiem i obyczajami Indii podczas swego oficjalnego pobytu w tym kraju, w latach między 1955 a 1957. Żukrowski posługuje się umiejętnie zaobserwowanymi faktami; jego liryczne opisy starej dzielnicy Delhi, Agry, czy też „martwego miasta” Fatephur Sikri są interesujące i kolorowe, mimo, że zajmuje on krytyczne stanowisko wobec społeczeństwa hinduskiego, wyczuwa się jego realne dążenie do zrozumienia „duszy Indii” i często irracjonalnego sposobu myślenia. Hindusów. Ta mieszanina sympatii do kraju i jego ludzi z uczuciem oburzenia na prymitywne warunki społeczne i przesady jest, nawiasem mówiąc, charakterystyczna dla poważnie myślących Europejczyków, którzy spędzili dłuższy okres czasu w krajach azjatyckich.

Historia miłosna, która rozwija się na tym tle, jest również przekonująca. Terey, przeintelektualizowany lecz szlachetny Węgier (żona jego pozostała oczywiście na Węgrzech i nie może połączyć się z mężem) zakochuje się w uroczej Margit (dziewczyna jest wprawdzie bogata, lecz społecznie nie nasuwa zastrzeżeń gdyż będąc lekarzem należy do postępowej inteligencji) i miłość tych dwojga spala się w częstych, namiętnych spotkaniach. Ponieważ oddalenie stwarza kochankom nieustanne przeszkody, Żukrowski stara się odmalować każdą scenę miłosną w sposób możliwie interesujący, chociaż na ostatnich dwustu stronach zaczyna się zdecydowanie powtarzać. A może jest to po prostu chwyt, który ma dać do zrozumienia, że Terey ma już naprawdę dosyć Margit, mimo, że nieustannie zapewnia ją o swej miłości.

Jeżeli chodzi o dyplomatów węgierskich w Delhi, owych kolegów Terey'a, to nie wypadają szczególnie dobrze. Są raczej nie-sympatyczni, albo nieszczęśliwi, lub jedno i drugie; i dlatego zapewne Żukrowski zaznaczył na wstępie książki, że „nie mają oni żadnego podobieństwa z ówczesnymi dyplomatami węgierskimi, których tam poznałem”. Ambasador jest starym stalinistą o chytłym, twardym i mało pociągającym charakterze; pozostali zaś to: były członek węgierskiej policji bezpieczeństwa, kobieta, która przeszła bolesne doświadczenia w rosyjskim obozie koncentracyjnym, stary towarzysz partyjny, który rozpił się. Wszyscy szpiegują się wzajemnie: Terey stwierdza, że przytrzymuje się jego listy, otwiera i fotografuje. W porównaniu z innymi Terey jest nieomal przykładem „pozytywnego bohatera”, mimo, że na przestrzeni książki ma dwie intrygi miłosne, utrzymuje kontakty z podejrzanymi figurami i zmienia poglądy polityczne z dnia na dzień.

Wszyscy ci członkowie Ambasady wyglądają bardzo prawdopodobnie i jest rzeczą możliwą, że istnieją oni naprawdę, a o ile nie są Węgrami to mogą być Polakami... czy też mieszaniną przedstawicieli tych dwóch narodów.

Żukrowski, gdy mówi o Węgrzech, posługuje się, jak było do przewidzenia, utartymi kliszami o koniach i puszcze, o ostatniej wojnie i o udziale w niej Węgier. Jego znajomość pisowni węgierskiej pozostawia wiele do życzenia. Zamiast *Ferenc* pisze on „Ferenz”, zamiast *Góra Gellerta* — „Ghelerta”, zamiast *Szabad Nép* — „Sabat Nep”, zamiast *szalasowcy* — „szilasowcy” (od przywódcy węgierskich faszystów Szalasi) i tak dalej *ad infinitum*. Niektóre z tych błędów są po prostu śmieszne: „towarzysz Karamara”, ofiara przemocy węgierskiej rewolucji, brzmi jakby Żukrowski mieszał Węgry z Bengali, gdyż oba te języki są dla niego w równym stopniu niezrozumiałe. Warto też wspomnieć o innych nieporozumieniach, na przykład „Margit” jest po prostu węgierskim odpowiednikiem „Małgorzaty”, podczas gdy Terey (a widocznie również i Żukrowski) nie zdaje sobie z tego sprawy, sądząc, iż jest to stare, pocziwe imię angielskie. Gdy ktoś wypytuje się Terey’a o kult dla Tagore na Węgrzech, nie mówi on o dobrze znanym fakcie, że przed wojną Tagore był na Węgrzech na kuracji w Balatonfüred.

Tego rodzaju drobne przeoczenia nie wpłynęłyby jednak na ocenę książki gdyby Żukrowski wiernie odmalował wydarzenia polityczne z 1956 roku. Jeżeli nawet przyjmijemy, że powieściopisarze mają prawo przeinaczać fakty historyczne po to, by pasowały do stworzonego przez nich opowiadania, to jednak jest rzeczą zdumiewającą, że człowiek o inteligencji Żukrowskiego może pozwolić sobie na tak daleko posunięte (świadome czy też wskutek ignorancji) fałszowanie historii. Dodajmy nawiasem, że to właśnie sprawia, że reakcja Terey’a na wydarzenia nie wydaje się prawdziwa. Żukrowski przedstawia go jako węgierskiego patriotę i socjalistę, a tymczasem Terey po raz pierwszy wymienia nazwisko Imre Nagy w nocy z 23 października, to znaczy już po wybuchu rewolucji w Budapeszcie! Żukrowski usiłuje stworzyć wrażenie — w moim przekonaniu całkowicie fałszywe — że w 1956 Węgrzy nie wiedzieli jaki przywódca mógłby zastąpić Rakosi’ego lub Gerö. Otóż w owych dniach dziewięćdziesiąt procent anty-stalinistów w partii miało nadzieję, że Imre Nagy powróci do władzy i to w najbliższym czasie. Żukrowski jednak ignoruje go jako możliwego przywódcę, może dlatego by „zrobić miejsce” dla dużo mniej znanego Kadara, który jego zdaniem na początku 1956 r. przebywał jeszcze w więzieniu. A przecież każdy wie na Węgrzech, że właśnie Imre Nagy wypuścił na wolność Kadara jeszcze w 1954. Wielki przyjaciel Terey’a, Bela, pisze do niego wzruszający list o tym jak AVH (węgierska policja bezpieczeństwa) prześladowała tysiące komunistów i nie-komunistów; w pewnym sensie przygotowało to psychologicznie wybuch ogólnego buntu. Jeżeli chodzi o samo powstanie, to Żukrowski przeinacza wszystko, świadomie czy nie — tego nie potrafię powie-

dzieć. I tak, utrzymuje on, że Radio Kalkutta już *pierwszego dnia* wspomniało o „rozruchach”: „Zaczęły się od wieców akademickich, demonstracji robotników, a kończą się samosądami...” Wprowadza on tutaj zdumiewające „zbliżenie” wydarzeń. Tak zwane „samosądy” rozpoczęły się zaledwie na czwarty dzień powstania, już po okrutnym zmasakrowaniu nieuzbrojonej ludności na Placu przed Parlamentem... A poza tym, kiedy powstańcy „opanolali komitet stołeczny partii”? Według Żukrowskiego w czasie pierwszej nocy. W rzeczywistości 30 października, po wycofaniu się wojsk rosyjskich z Budapesztu. Pożar Muzeum Narodowego (a nie Muzeum Sztuk Pięknych jak to wydaje się Żukrowskiemu), spowodowały walki uliczne; nie podpalił go więc wzburzony tłum, co stara się wmówić nas autor. (Tom II, str. 217). I tak dalej. Niesposób wymienić wszystkich fałszywych informacji, które Żukrowski potrafił stłoczyć na pięciu czy sześciu stronach, zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Jeszcze tylko jeden błąd zasadniczy: Małeter został stracony w 1958 roku a nie natychmiast po zgnieceniu powstania (Tom II, str. 290). Gdyby Żukrowski przestudiował jakiegokolwiek opracowanie zachodnie o powstaniu, uniknąłby tych wszystkich błędów.

Powieść kładzie nieustannie nacisk na „trudności” na jakie natrafia Kadar w stosunkach z robotnikami i stawia interesujące pytanie: „czy naród może mu (Kadarowi) wierzyć skoro armaty za nim agitowały?” Żukrowski zajmuje raczej ostrożne stanowisko w tej sprawie mówiąc, że jedynie czas pokaże czy Kadarowi uda się „wzbudzić na nowo zaufanie” narodu. Ale z drugiej strony pada ofiarą złudzenia, że „Kadar przejął wszystkie hasła powstańców”. Nie odpowiadało to prawdzie nawet w dniu 14 listopada 1956, kiedy to Kadar, zwracając się do delegatów Rady Robotniczej, zapewniał, że wojska sowieckie wycofają się z Węgier w najbliższym czasie. Mimo, że Terey i jedyny Polak występujący w powieści, dziennikarz Trojanowski, są pod głębokim wrażeniem uporczywości i „odwagi” Kadara gdy stawia czoła wrogiemu mu krajowi, to jednak trudno sobie wyobrazić, by człowiek o takiej inteligencji jak poeta węgierski mógł naprawdę wierzyć, że Kadar dotrzyma złożonych obietnic. Od powstania minęło przecież jedenaście lat a Rosjanie są ciągle w kraju, i o ile atmosfera „strachu i donosów do policji” należy do przeszłości, nie znaczy to, że Węgry stały się prawdziwą demokracją socjalistyczną i że można piętnować publicznie i odrzucać oficjalne kłamstwa. Czas pokazał, że Kadar zdobył wprawdzie pewną osobistą popularność ale partia i struktura władzy pozostały niezmienione a naród odsunięty jest w dalszym ciągu od rządów.

Żukrowski nie przekona nas — i to właśnie pragnę podkreślić — że Terey może myśleć i działać tak, jak to robi w powieści. Gdy w czasie powstania Imre Nagy ogłasza neutralność Węgier, bohater Żukrowskiego myśli, że „stracił on zmysły” i zapytuje z rozpaczą: „Neutralność wobec czego? Socjalizmu? Kapitalizmu?” Tymczasem jest rzeczą jasną, że Imre Nagy ogłasza neutralność, by zapobiec mieszaniną się *jakiegokolwiek obcej potęgi* do

wewnętrznych spraw Węgier i to bez względu na system społeczny owej atakującej potęgi i zasłony dymne uprawianej przez nią propagandy. Nie sądzę by w 1956 roku istniał jakiś Węgier — wykluczam oczywiście zatwardziały stalinistów i ludzi cierpiących na schorzenia umysłowe — który przypuszczałby, że neutralne Węgry *muszą z konieczności* stać się „wysuniętą placówką” imperializmu amerykańskiego. Czy Finlandia lub Austria stały się takimi placówkami? Wydaje się, że Żukrowski, za pośrednictwem Terey’a daje tutaj wyraz własnym obawom, a raczej oficjalnym obawom Polski, które przyjmuje bez kwestionowania ich wartości. Z chwilą zaś gdy wykluczyło się koncepcje Imre Nagy’ego a naród odrzucił stalinizm, nie pozostaje nic innego jak żywić pobożną nadzieję, że zamiary Kadara są godne pochwały i że jest on „człowiekiem opatrznosciowym Węgier”.

W pewnym sensie powieść kończy się zgodnie z przewidywaniami: nasz smutny, bardzo smutny dyplomata węgierski powraca do swego kraju i bez żadnych rozsądnych wyjaśnień opuszcza biedną australijską dziewczynę. Żukrowski odkłada jednak tę decyzję do samego końca książki; dzięki temu w drugim tomie Terey może walczyć z pokusą by zdezerterować i ożenić się z Margit („ci, co chcą walczyć, prawdziwi patrioci, opuścili Węgry” — mówi ona znacząco) a jednocześnie szuka powodów, by tego nie zrobić. Na szczęście jest on poetą, a autentyczną poezję tworzyć można jedynie w swoim własnym języku. Jest dyplomata i jako taki reprezentuje Węgry, a więc ciążą na nim pewne obowiązki. Nie możemy jednak wyzbyć się podejrzenia, że zdezerterowałby z przyjemnością, gdyby był kawalerem. Ma jednak żonę i dwóch synów na Węgrzech i nawiedzają go wyrzuty sumienia gdy myśli o nich. Mimo wszystko jest katolikiem, wierzy w Boga i nie może popełnić równie diabelskiego grzechu jak porzucenie żony, by poślubić inną kobietę. To nie lojalność wobec socjalistycznych Węgier powstrzymuje go od dezerccji, lecz dziesięć przykazań i strach przed wiecznym poczuciem winy, a może nawet, przed wiecznym potępieniem.

W rezultacie wszyscy są szczęśliwi: Żukrowski miał własną przyjemność i doznając jej rozkoszował się niewątpliwie. Napisał przyjemną, romantyczną powieść z religijnym zakończeniem, co prawda niezbyt szczęśliwym, ale mocnym zadowolić pseudo-patriotów i (miejmy nadzieję) pseudo-katolików. A, jak już powiedziałem, czyta się ją łatwo. Żukrowski zna swoje rzemiosło i upodobania czytelników. Dlaczego jednak książka wydana została nie przez PAX ale przez dom wydawniczy Ministerstwa Obrony Narodowej? Bo armia polska nie ma nic przeciwko zdrowym seksualnym rozrywkom, z których potem w kościele można się wypowiadać: wiadomo, *szanujemy* uczucia religijne naszych żołnierzy. A poza tym lepiej pogrześć i na czas położyć temu tamę, niż zostać agentem australijskich imperialistów.

George GÖMÖRI

(Przełożył z angielskiego Paweł Zdziechowski)

Nadeślane nowości wydawnicze

- HEMAR (Marian). *Awantury w rodzinie*. Wybór felietonów, wspomnień i notatek z okresu 25 lat. Str. 400. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- KONARSKI (Szymon). *Bomberaki, cacypubki i lapiduchy*. Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- SOBOTKIEWICZ (Stanisław). *Czarnym szlakiem*. Powieść historyczna. Str. 318 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- STYPUŁKOWSKI (Jerzy). *Droga do wojska*. Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- WASIUTYŃSKI (Wojciech). *Nowy świat*. Ameryka 1958-1966. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- KONARSKI (Szymon). *O heraldyce i „heraldycznym” snobizmie*. Str. 88. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1967).
- SKWARCZYŃSKI (Paweł). *Szkice z dziejów reformacji w Europie Środkowo-Wschodniej*. Str. 173, mapa. (Wyd. „Odnowa”, Londyn, 1967).
- Scherzo wigilijne, poemat pieśni. W stulecie urodzin Marii Skłodowskiej-Curie. Str. 28. (Wyd. J. Fontana, Paryż, 1967).
- CAPEK (Karel). *L'affaire Selvin*. Nouvelles. Str. 271 i 9 nlb. (Wyd. Calmann-Lévy, Seria „Traduit de”, Paryż, 1967, cena F. 16,65).
- PRÉVERT (Jacques). *Spacer Picasso i inne wiersze*. Przełożył Stanisław BALIŃSKI. Str. 32. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- ZAMOYSKA (Hélène). *La femme en U.R.S.S.* Str. 387-450. (Odbitka z pracy „Histoire mondiale de la femme”. Wyd. Nouvelle Librairie de France, Paryż, 1967).
- SINJAVSKIJ (Andrej). *Pensieri improvisti*. Trad. Alberto Pescetto. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Jaca Book, Milano, 1967, cena 800 lit.).
- Die Goldene Freiheit der Polen*. Wybór, przekład i objaśnienia Günter Wytrzens. Str. 478. Tom VI serii „Slavische Geschichtsschreiben pod red. prof. dr. Günther Stökl'a”. (Wyd. Styria Verlag, Graz-Wien-Köln, 1967, cena DM. 16,50).
- DRZEWIENIECKI (Walter M.) *The Knowledge of China in XVII Century. Poland as Reflected in the Correspondence between Leibnitz and Kočański*. Str. 16. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. XII, No 3, Summer 1967, pp. 53-66, New York, N.Y.).
- STANKIEWICZ (W. J.). *Hugenots*. Str. 201-204. (Odbitka z „The New Catholic Encyclopedia”, 1967, Vol. 7).
- STANKIEWICZ (W. J.). *Wars of Religion*. Str. 812-815. (Odbitka z „The New Catholic Encyclopedia”, 1967, Vol. 14).

DATA	POLITYKA
16-10-67	Jugosłowiańska <i>Polityka</i> krytykuje projekt zwołania międzynarodowej konferencji partii komunistycznych pisząc, że np. rozpatrywanie problemów Bliskiego Wschodu z udziałem tylko komunistów byłoby absurdem.
17-10-67	Plenum KC Rumuńskiej Partii Komunistycznej zapowiada wprowadzenie programu reform gospodarczych.
18-10-67	Zdaniem czołowych dzienników brytyjskich prez. de Gaulle przywiązuje większe znaczenie do przywrócenia jedności Europy na linii Wschód-Zachód, niż do przyłączenia W. Brytanii do Wspólnego Rynku.
19-10-67	Po raz pierwszy w historii stanu Mississippi sąd skazał Białych za przestępstwa wobec Murzynów.
20-10-67	W Oakland, w stanie Kalifornia 10-tysięczny tłum demonstruje przeciw wojnie w Wietnamie.
21-10-67	Na Zachód dotarły wiadomości o tajnej instrukcji Czechosłowackiej Partii Komunistycznej nakazującej zaostrzenie walki z Kościołem.
22-10-67	Egipskie łodzie torpedowe typu „Komar”, produkcji sowieckiej, zatopiły przy użyciu pocisków kierowanych niszczyciela izraelskiego „Eilat”.

KULTURA I NAUKA

Na uniwersytecie Karola Marksa na Węgrzech zapoczątkowano po raz pierwszy studia socjologiczne.

Jeden z redaktorów jugosłowiańskiego pisma *Praxis*, P. Vranicki, wypowiedział się za odebraniem partii monopolu na środki informacji i za przyznaniem mniejszości prawa wypowiedzania opinii.

W Warszawie zakończyła się uroczysta sesja naukowa fizyków z całego świata zwołana z okazji obchodów 100-rocznicy urodzin Marii Curie Skłodowskiej.

Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny za badania procesów fizjologicznych i chemicznych oka otrzymali łącznie profesorowie: Fin, R. Granit i Amerykanie, H. Hartline i G. Wald.

W skład nowego zarządu Związku Dziennikarzy Czechosłowackich weszli ludzie „oddani partii”. Na Zjeździe ujawniono, że spośród 4.539 dziennikarzy 1/4 cierpi na neurozę lub dolegliwości serca a ponad 30 % zażywa stale środki uspakajające.

Ambasador Guatemali w Paryżu, Miguel Angel Asturias, otrzymał nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

RÓŻNE

Radio Tirana w programie w języku polskim uznało „Gomułkę, Kliszkę i Spychalskiego, którzy mają żony Żydówki” za ukrytych agentów syjonistycznych.

Pułkownik KGB E. Runge zwrócił się do władz amerykańskich o prawo azylu politycznego.

Radio Tirana twierdzi, że d-ca lotnictwa w okręgu wrocławskim, gen. J. Paździor, zwolniony został ze stanowiska „na tle wydarzeń na Bliskim Wschodzie”, a pułk. lotnictwa Z. Ostrowski popełnił samobójstwo.

Architekci warszawscy: Chmielewski, Kazubiński i Kuraś otrzymali I-szą nagrodę na konkursie na projekt miasta „satelity” Helsinek.

Organ Związku Dziennikarzy Bułgarskich *Pogled* krytykuje milicję za „stosowanie metod administracyjnych wobec młodzieży ubierającej się na wzór zachodnich „beatników”.

Na Zachód dotarły wiadomości, że w mieście Czimkent w Kazachstanie wybuchły rozruchy skierowane przeciw brutalności policji. 3 osoby skazano później na śmierć.

DATA	POLITYKA
23-10-67	Min. Couve de Murville oświadczył, że W. Brytania musi wyrównać deficyt w bilansie handlowym i zrezygnować z międzynarodowej roli funta szterlinga, zanim będzie mogła być przyjęta do EWG.
24-10-67	Artyleria izraelska zbombardowała i prawie całkowicie zniszczyła rafinerie egipskie w porcie sueskim, które pokrywały 80 % zapotrzebowania Egiptu na ropę naftową.
25-10-67	Sowiecka <i>Prawda</i> zamieszcza artykuł komunisty argentyńskiego Gioldi atakujący „bakuninowski, awanturniczy komunizm” w Południowej Ameryce. Artykuł ten skierowany jest wyraźnie przeciwko Fidelowi Castro.
26-10-67	Okręty sowieckiej floty wojennej wpływają do Port Saidu.
27-10-67	Brytyjski minister Skarbu, Callaghan, wyraził gotowość rządu brytyjskiego rozpatrzenia propozycji w sprawie zmiany międzynarodowej roli funta szterlinga.
28-10-67	Prezes banku amerykańskiego Chase Manhattan, D. Rockefeller, oświadczył, że jeśli W. Brytania nie dostanie się do Wspólnego Rynku to powinna utworzyć strefę wolno-cłową ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą. Grupa ekonomistów brytyjskich opracowała już konkretny projekt takiego porozumienia.

KULTURA I NAUKA

Uczni zachodni określają sowiecki eksperyment kontrolowanego lądowania rakiety na planecie Wenus, jako w pełni udany.

W Paryżu otwarto dwie wystawy poświęcone M. Curie-Skłodowskiej: w Bibliothèque Nationale i na Uniwersytecie Paryskim.

Poeta A. Wozniesiński stwierdził, że nie ma nic wspólnego z ludźmi, którzy chcieliby go użyć w propagandzie antysowieckiej. Nie jestem również agentem Kołczaka — dodaje Wozniesiński.

Po czteromiesięcznej zwłoce wybrano Prezydium Związku Pisarzy Czechosłowackich. Stanowisko przewodniczącego jest nadal nie obsadzone.

Prasa zachodnia zamieszcza obszerne artykuły dotyczące skazania przez sąd w Warszawie na 3 lata więzienia Niny Karłow, sekretarki niewidomego pisarza Szymona Szechtera. Miała ona rzekomo przytótowywać materiały do publikacji zagrańcą.

RÓŻNE

Uroczysty obchód 25-lecia utworzenia Pomocniczej Służby Kobiet odbył się z udziałem ponad 1.000 osób w Londynie.

Rzecznik prasowy Watykanu zaprzeczył doniesieniom *Życia Warszawy* jakoby depesza Papieża do kardynała Wyszyńskiego została zatrzymana przez Watykański Sekretariat Stanu. Oświadczył on, że depeszy nie wysłano wskutek nieporozumienia.

W Stanach Zjednoczonych odbyły się uroczystości z okazji jubileuszu stulecia pracy O.O. Zmartwychwstańców na terenie Ameryki. Zgromadzenie powstało w 1842 roku w Rzymie, założone przez O. Piotra Semenenkę.

Patriarcha Atenagoras, głowa greckiego Kościoła Prawosławnego, spotkał się w Watykanie z Papieżem. Jest to pierwsza wizyta patriarchy w Watykanie od 1451 roku.

Trzej biskupi z Przemyśla I. Tokarczuk, S. Jakiel i B. Taborski złożyli protest wobec zburzenia kościoła we wsi Wołkowyja. Władze lokalne odmówiły pozwolenia wybudowania nowego kościoła. W Wołkowyji buduje się sztuczne jezioro.

W Londynie ukazała się książka, której autorzy twierdzą, powołując się na pamiętniki marszałka Sejmu Rataja, że gen. Sikorski sfałszował słynny „list Zimnowiewa”, którego opublikowanie w Anglii w 1924 r. wpłynęło na wynik wyborów zapewniając zwycięstwo konserwatyistom.

DATA	POLITYKA
29-10-67	Premier brytyjski zaprzeczył doniesieniom, że W. Brytania zamierza wycofać się ze swych zobowiązań w Europie, jeśli nie dostanie się do EWG. Według tych doniesień, Londyn miałby uznać m.in. Wschodnie Niemcy i granicę na Odrze i Nysie.
30-10-67	Moskiewska <i>Prawda</i> zamieściła obszerny artykuł Gomułki pt. „Wielka Rocznicą”, w którym potępia on Chiny, nawołuje do konferencji partii komunistycznych i twierdzi że „podział Niemiec nie narusza interesów żadnego państwa w Europie”.
31-10-67	Uczeni sowieccy przeprowadzają przy pomocy zdalnego kierowania połączenie dwóch sztucznych satelitów znajdujących się w orbicie ziemi. Uczeni zachodni uważają to za zasadniczy krok w wysłaniu człowieka na księżyc.
1-11-67	Rząd brytyjski zapowiada ograniczenie uprawnień Izby Lordów oraz zniesienie zasady dziedziczności.
2-11-67	Premier Izraela wyraził gotowość udania się do stolicy Jordanii Amanu na rozmowy pokojowe z królem Husseinem.
3-11-67	Min. Spraw Zagranicznych PRL, Rapacki, przeprowadza w Brukseli rozmowy na temat bezpieczeństwa Europy.
4-11-67	Amerykański min. Obrony, McNamara, oświadczył, że Rosjanie konstruują nową orbitalną broń atomową.

KULTURA I NAUKA

Sowiecki minister Kultury, Furcewa, oświadczyła, że książka B. Pasternaka „Dr Żiwago” nie będzie opublikowana w Sowietach. Furcewa dodała, że w sowieckich galeriach sztuki otwartych dla publiczności, nie ma miejsca dla malarzy „dekadenckich”.

Nagrodę Nobla w dziale Chemii otrzymali łącznie profesorowie: Anglicy G. Porter i R. Norrish oraz Niemiec z Getyngi M. Eigen.

RÓŻNE

W Waszyngtonie zmarł 43-letni W. Tykociński, b. szef Misji Wojskowej w Berlinie, który w 1965 r. zwrócił się do Amerykanów o azyl polityczny. Był on zaocznie skazany w Warszawie na karę śmierci.

Zamknięcie „Expo 67” w Montrealu.

Tow. im. Tadeusza Kościuszki w New Haven, Conn., USA obchodzi 50-lecie swego istnienia.

W Polsce aresztowano kilku księży za niestosowanie się do przepisów dotyczących nauki religii oraz inwentaryzacji dóbr kościelnych. Episkopat polski wyraził solidarność z aresztowanymi i wezwał wiernych do udzielenia im pomocy.

Wielka manifestacja dla uczczenia ofiar komunizmu odbyła się w londyńskim Albert Hall'u.

Ukraińskie Centrum Państwowe połączyło się z Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów OUN.

W sali Biblioteki Polskiej w Londynie odbyła się wystawa „poloników” z kolekcji Elżbiety i Romualda Werników.

Papież Paweł Szósty poddał się operacji prostaty.

DATA	POLITYKA
5-11-67	Przemawiając na jubileuszowej sesji KC partii i Najwyższego Sowietu, Breżniew, wyraził uznanie dla „tych najlepszych synów Chin, którzy walczą o utrzymanie linii partyjnej uchwalonej w 1956 r.”
6-11-67	Po ogłoszeniu, że wojska brytyjskie wycofają się z Południowej Arabii w ciągu miesiąca, w Adenie wybuchły walki między zwalczającymi się grupami nacjonalistycznymi.
7-11-67	Na defiladzie z okazji 50-lecia rewolucji w Moskwie pokazano nowe rakiety o zasięgu ponad 10 tys. km.
8-11-67	W jednym z największych miast amerykańskich — Cleveland w stanie Ohio, oraz w ośrodku przemysłu stalowego Gary w stanie Indiana, Murzyni wybrani zostali na stanowiska burmistrzów.
9-11-67	Amerykańskie ministerstwo Obrony ogłosiło dane wykazujące, że Stany Zjednoczone dysponują znacznie większym arsenałem broni nuklearnych niż Sowiety.
10-11-67	
12-11-67	
13-11-67	
15-11-67	Centralne władze partyjne w Jugosławii rozważają możliwość przyznania poszczególnym republikom federacji jugosłowiańskiej większej autonomii politycznej.

KULTURA I NAUKA

Pisarz słoweński M. Rozanc skazany został na karę 6 miesięcy z zawieszeniem za opublikowanie artykułu w piśmie wychodzącym w Trieście, w którym oskarżył partię o „zdradę ideałów, o które walczyliśmy w czasie wojny”.

Malarz Tadeusz Kantor zdobył jedną z 10 równorzędnych nagród na Międzynarodowym Biennale Sztuki w Sao Paolo.

Moskiewski *Nowyj Mir* zamieścił obszerny artykuł atakujący w najostrzejszych słowach cenzurę stosowaną w okresie... caratu.

W Litewskim Teatrze Dramatycznym w Wilnie odbyła się premiera sztuki Sł. Mrożka pt. „Tango”.

Z okazji 50-lecia rewolucji bolszewickiej w Polsce wydano 80 publikacji książkowych i wystawiono 30 sztuk sowieckich. Odbywa się również festiwal filmów sowieckich.

Nagrody za publicystykę teatralną otrzymali w Polsce: W. Natanson, J. P. Gawlik i K. Świerczewska. Nagrodę dziennikarską otrzymał J. Świdorski.

RÓŻNE

Bulgaria zgodziła się na repatriację 30 tysięcy Turków do Turcji.

PEN-Club uchodźczy (Centre for Writers in Exile) powziął następującą uchwałę:

Pisarz, który z własnej woli drukuje swe utwory w swym kraju, za zgodą rządu z racji którego jest na uchodźstwie, przestaje być automatycznie pisarzem na uchodźstwie i członkiem PEN-Clubu, centrum dla pisarzy emigracyjnych.

Na Polski Fundusz Biblioteczny w Londynie wpłynęła dotąd od ofiarodawców polskich i brytyjskich kwota £ 14.089.10.

Smirnow, przewodniczący Sądu, który wydał w Moskwie wyrok na pisarzy Siniawskiego i Daniela — odznaczony został Orderem Lenina za zasługi w „utrzymaniu praworządności w ZSSR”.

Z okazji 90 rocznicy urodzin Patriarcha Prawosławnego Rosji Aleksy odznaczony został przez premiera Kosygina Orderem Sztandaru Pracy.

W ramach „rewolucji kulturalnej” w Albanii zamknięto 2.169 kościołów, meczetów i klasztorów.

Humor krajowy

REMINSKENCJE Z POBYTU GEN. DE GAULLE'A W POLSCE

Wysiadającego z samolotu gen. de Gaulle'a powitał na lotnisku prezydent Ochab w otoczeniu rządu i przedstawicieli dyplomatycznych państw sprzymierzonych.

Najpierw Ochab długo czytał z kartki przygotowane przemówienie powitalne, a potem odpowiedział mu de Gaulle, jak zwykle „z pamięci” kończąc zdaniem wygłoszonym w języku polskim.

Gdy skończył, z szeregów przedstawicieli dyplomatycznych rozległ się okrzyk:

— *Gienierał, a niegramotnyj!*



— Po co de Gaulle przyjechał do Polski?

— Żeby francuskim kluczem odkręcić rosyjską śrubę.



Żegnając się z Ochabem de Gaulle westchnął:

— Ah, jaki trudny jest język polski!

— Mnie Pan to mówi, panie Prezydencie! — odparł Ochab.



Ochab wprowadza de Gaulle'a do przygotowanych dla niego apartamentów w Wilanowie. Generał wchodząc do sypialni zauważył piękne stylowe łóżce.

— To hebanowe! — zauważył.

— E nie — odpowiedział Ochab — cheba stare!



OSTATNIE ANEGDOTY ZE SPATIF'u. (Ostatnie, gdyż ta znana restauracja literatów i dziennikarzy, została zamknięta pod pretekstem, że za dużo się w niej... pije. Faktycznym powodem było to, że Starewicz z KC Partii będąc kiedyś późnym wieczorem w tej restauracji słyszał jak zebrani śpiewają Legionowe piosenki i opowiadają dowcipy pro-izraelskie).

Podział klasowy

Polacy dzielą obecnie członków partii na 5 kategorii:

- 1) Mercedes, whisky, artystki.
- 2) Wołga, starka, sekretarka.
- 3) Syrenka, eksportowa, koleżanka biurowa.
- 4) Tramwaj, czerwona, własna żona.
- 5) Taczka, małe piwo, sprzątaczką.

W związku ze zwalczaniem alkoholizmu rozlepiono w Warszawie plakaty z napisem: „Alkohol to twój wróg”. Po kilku godzinach zauważono dopiski: „Lej go w mordę!”.

◆

W kawiarni spotyka się dwóch przyjaciół. Jeden z nich zdenerwowany mówi do drugiego:

— Wiesz, co za przykrość, złożyłem podanie o przyjęcie mnie do partii. Poddano mnie egzaminowi i nie zdałem...

— Czy były takie trudne pytania?

— Nie, wszystko było w porządku, ale pod koniec zapytano mnie jaką mamy teraz Polskę. — Odpowiedziałem: „Ludową”. — A jaką mieliśmy przedtem? — zapytał egzaminujący. — Odpowiedziałem: „Niepodległą” i to mu się widać nie spodobało...

◆

Do kiosku z piwem w Warszawie podszedł jakiś facet i wręczając sprzedającej 1000-złotowy banknot prosił, aby wszystkim chętnym wydawała piwo za darmo. Po małej chwili przed kioskiem zebrał się olbrzymi tłum, ruch na jezdni zatrzymano, popychano się i krzyczano. Wreszcie amatorzy bezpłatnego piwa przewrócili kiosk, stratowali kilku przechodniów, pobili sprzedającą i zrobiło się niesamowite zamieszanie. Przybyłej milicji ktoś wskazał sprawcę tego wszystkiego, który stał z boku i spokojnie przyglądał się całej awanturze.

— Jak śmieliście obywatelu wywołać takie zamieszanie — zawołał milicjant.

— To, proszę panów, było tylko takie małe doświadczenie — odpowiedział zapytany. — Chciałem zobaczyć jak to będzie w obiecywanym nam komunizmie...

◆

W Moskwie zapanowała plaga myszy. Żadne środki krajowe nie pomagały. W końcu Rosjanie nie mogąc sobie już dać rady, zdecydowali się skorzystać z ofiarowanej im pomocy amerykańskiej. Za duże pieniądze w dewizach Amerykanie przysłali swój radykalny środek na myszy. Była to mała paczuszka, w której znajdowała się klateczka, a w tej ostatniej — biały szczurek. Załączona instrukcja głosiła, że szczurka należy wypuścić z klatki w noce na placu Czerwonym. Gdy nie bardzo przekonani Rosjanie zastosowali się ściśle do instrukcji, zobaczyli ze zdumieniem, że ze wszystkich nor i zakamarków zaczęły wylazić myszy i biec za białym szczurem, który wyprowadził je do rzeki Moskwy, gdzie się potopiły.

Następnego dnia wysłano z Moskwy do Waszyngtonu depeszę:

„Czy przypadkiem nie macie także małego białego Chińczyka?”

◆

AUTENTYCZNE

Rodak z Kraju ogląda w księgarni książki polskie wydane na zachodzie. Bierze do ręki książkę M. Gardera: „Agonia reżymu w Z.S.S.R.” i mówi: „Tę chciałbym wziąć. Co prawda nie znam się na tych problemach i właściwie mnie nawet nie interesują, ale *taki piękny tytuł...*”

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Londyn, 15. X. 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Widzę, że nawet Juliusz Mieroszewski aprobeuje, choć z zastrzeżeniami, interwencję Johnsona w Wietnamie.

A trzecia część brytyjskich komunistów nie należy do partii bo w epoce powstania węgierskiego wystąpili albo zostali wykluczeni. Czy niepodległościowcy są gotowi aprobeować każdą akcję każdorazowego rządu amerykańskiego? To tym gorzej dla niepodległościowców.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Adam BARDECKI



Londyn, 11. X. 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwą przykrością — po kilkunastu latach — będę zmuszony wymówić prenumeratę *Kultury*, gdyż wybitnie jednostronne bezkrytyczne pro-żydowskie stanowisko, jakie zajęła *Kultura*, absolutnie mi nie odpowiada. Zapomina Pan, Panie Redaktorze, że każdy medal ma dwie strony — a od *Kultury* oczekiwałem i oczekuję zawsze bardziej obiektywnego naświetlania i ujmowania spraw, niż od innych wydawnictw emigracyjnych.

Dlatego też, przez tak długi okres czasu jestem stałym prenumeratorem.

Nawet tutejsze czołowe liberalne dzienniki jak *Guardian* i *Observer* — mające w swym zespole redakcyjnym dużą ilość dziennikarzy Żydów (o ile nie większość), są bardziej obiektywne od polskiej *Kultury*, gdyż drukują materiały wybitnie krytyczne w stosunku do kampanii czerwcowej oraz polityki Izraela w stosunku do Arabów.

A składanie hołdów Dajanowi (Obserwatorium Nr 7/8) w dodatku w imieniu Narodu i Emigracji — przekracza granice zwykłej przyzwoitości. Trochę umiaru i godności narodowej moi Panowie. I nie sądzę, żeby *Kultura* (oraz p. Czapski *et consortes*) była upoważniona do przemawiania w imieniu Narodu, czy nawet Emigracji.

Poza tym, jestem przekonany — że bałwochwalcze zachwyty *Kultury* nie zmienia ani na jotę antypolskiego nastawienia większości Żydów mieszkających na Zachodzie czy w Stanach Zjednoczonych.

Również stanowisko *Kultury* odnośnie wojny w Wietnamie, aprobeujące nieludzkie bombardowania — powodujące śmierć i kalectwo tysięcy i tysięcy niewinnych kobiet i dzieci, budzi osłupienie i zaskoczenie — że do podobnych wniosków doszedł polski emigracyjny dziennikarz. Według p. Mieroszewskiego — to biedni Amerykanie nie innego w tych warunkach nie mogą zrobić. (*Kultura* Nr 6, ustęp końcowy: „... polityka prez. Johnsona wydaje się jedynie właściwa”).

Łączę wyrazy szacunku,



R. GUTOWSKI

Melbourne, 16. X. 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie w Pańskim poczytnym piśmie tych kilka uwag.

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury* artykuł bez podpisu pt. „Konfrontacje”. Jako niedawny przybysz z Polski z treścią jego całkowicie się zgadzam, chociaż niektóre ustępy są zaledwie pesymistycznie przedstawione. Mam tylko jedno zastrzeżenie. Nie zgadzam się z opinią autora dotyczącą stosunku Polaków do Kresów Wschodnich i Ziemi Odzyskanych. Autor pisze: — „...Polacy wyrzekli się sami wobec siebie Kresów Wschodnich, co gorsze uczynili to przedtem nim przyswoili sobie Ziemię Odzyskaną...”. Niestety, moim zdaniem, w jednym i drugim wypadku jest to krzyczący nonsens. To tak samo, jakby ktoś po przeczytaniu artykułów pp. Krygiera czy Klausa von Bismarcka napisał, że Niemcy wyrzekli się byłych prowincji wschodnich, gdyż zrozumieli że je stracili przez własną politykę. Niestety tak myśli tylko tysiące Niemców, natomiast miliony zięją chęcią odwetu i ponownego zaboru ziem za Odrą i Nysą. I nie chodzi w tym wypadku tylko o przesiedleńców, ale przede wszystkim o politykę wschodnią kanclerzy Republiki Federalnej. Wiemy dobrze jak rząd NRF zareagował na niedawną wypowiedź prezydenta de Gaulle, który Zabrze (przedwojenne miasto niemieckie) nazwał najbardziej polskim miastem w Polsce. To jest przyczyną ogólnej antypatii w stosunku do Niemców i osobiście bardzo wątpię czy do pojednania polsko-niemieckiego kiedykolwiek dojdzie. W związku z tym Polacy będą się starać o stworzenie federacji Europy środkowo-wschodniej lub o *prawdziwy* sojusz z Rosją, która wcześniej czy później przed groźbą ze strony Chin, będzie musiała ułożyć sobie względne stosunki w Europie środkowo-wschodniej.

A więc znaczna większość Niemców nie wyrzekła się ziem za Odrą i Nysą. Jak więc wszyscy Polacy mogli wyrzec się Kresów Wschodnich? W latach 1944-45 w całej Polsce można było przeczytać na murach napisy: „Nie damy Ziemi Wschodu!” Czy wszystkie osoby wypisujące na murach te słowa (za co groziło więzienie) zmieniły dzisiaj zdanie? Czy wszyscy sponad dwu milionowej rzeszy przesiedleńców zrezygnowali z Lwowa, Wilna, Krzemieńca, Nowogródka czy czarującej poleskiej głuszy? Na pewno nie! Oto jeden z tysięcy przykładów.

Niedawno w Krakowcu (rejon jaworowski, obłast' lwowska) odbył się przygraniczny polsko-sowiecki wiec przyjaźni. Polska delegacja liczyła około 2.000 ludzi. Kiedy sekretarz rejonowego komitetu partii komunistycznej w Jaworowie zaczął przemawiać, nawiązując do bogatej tradycji przyjaźni polsko-radzieckiej — z tłumy polskiego padły okrzyki „oddaj Lwów”. W tłumie doszło do szarpaniny i bijatyki, po czym całe zajście załagodzono i „sprawcy” znaleźli się „pod opieką władz polskich”.

Natomiast co się dotyczy stosunku Polaków do Ziemi Odzyskanych, to można śmiało powiedzieć, że większość ich mieszkańców (sami Polacy) uważa swe nowe siedziby za swoje własne i jedyne. Wiem o tym dobrze, gdyż sam w kilku miejscowościach na Ziemiach Odzyskanych mieszkałem. W Koszalinie miałem znajomego warszawiaka, który mówił, że nigdy by Koszalin nie zamienił na Warszawę. Dodać do tego trzeba, że na tych ziemiach rodzi się już drugie pokolenie polskie.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Marian KAŁUSKI

Londyn, 2 listopada 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

List b. min. Karola Popiela we wrześniowej *Kulturze* w sprawie rozkazu gen. Sosnkowskiego na rocznicę niemieckiego napadu, podtrzymuje wersję, że ten rozkaz dzienny Naczelnego Wodza został ogłoszony przez radio berlińskie na 24 godziny wcześniej jak przez Radio Polskie.

Wobec zapytań czym wiedział o tym jako członek rządu, muszę stwierdzić, że tego nie słyszałem. Trudno ustalić godziny nadania w rozgłoszeniach radiowych, zanim jednak rozkaz ten ogłoszony był przez radio, kursował w setkach powielanych egzemplarzy i trafiał może do dziennikarzy nie tylko polskich. Nic mi również nie wiadomo by „ten szczegół” — co do kolejności w radio — spowodował interwencję min. Edena u Prezydenta R.P. Jak była uzasadniona reakcja brytyjska miarodajne być mogą świadectwa b. min. Romera i amb. Raczyńskiego. Z żadnym zaś czynnikiem angielskim nie byłem wtedy w kontakcie i nie mówiłem o tym rozkazie z Anglikami.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego poważania,

M. KUKIEL

Montreal, 27 października 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem od lat wielu stałym i uważnym czytelnikiem *Kultury*, której rolę w polskim życiu politycznym i kulturalnym w pełni doceniam. Ale rubryka listów do Redakcji znajduje się z reguły na ostatnim miejscu moich zainteresowań. Dlatego zapewne, że treść tych listów wiąże się zbyt często z polemikami osobistymi a zbyt rzadko z poszukiwaniem historycznej prawdy.

Tym tłumaczy się, że dopiero gdy mi na to zwrócono uwagę z Europy, zapoznałem się we wrześniowym numerze *Kultury* z datowaną 22 lipca z Rzymu wypowiedzią min. Karola Popiela, mego Kolegi w rządzie śp. premiera Mikołajczyka, na temat wydarzeń, które poprzedziły ustąpienie w 1944 r. gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych.

Daleki jestem od zamiaru „przyłączania się do kampanii” przeciw komukolwiek, ale ponieważ list min. Popiela zdaje się w konkluzji dyskutować moje milczenie, pragnę stwierdzić co następuje.

Po raz pierwszy spotykam się z wersją, że w pełni działań wojennych radio berlińskie wyprzedziło radio polskie w Londynie w przytoczeniu rozkazu dziennego Nr 19 Naczelnego Wodza. Nawet jeżeli tak było istotnie, czego sprawdzić obecnie nie mogę, to obciążanie odpowiedzialnością z tego tytułu naszych czynników wojskowych musiałbym uznać za zarzut gołosłowny i z tej również racji niedopuszczalny. Jako ówczesny minister spraw zagranicznych wiadom byłam, że wywołane wiadomym naciskiem sowieckim, niewłaściwe zabiegi władz brytyjskich, by doprowadzić do zmiany Naczelnego Wodza, powoływały się na treść jego wspomnianego rozkazu dziennego, nie zaś na warunki w jakich rozkaz ten dotarł do wiadomości publicznej.

Proszę Pana, Panie Redaktorze, o przyjęcie wyrazów mego prawdziwego szacunku.

Tadeusz ROMER

San Francisco, 23. X. 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. J. Czapskiego pt. „Solidarność” (*Kultura* Nr 9/239) uważam za swój obowiązek zaprotestować przeciwko listowi p. T. Różyckiego, z którego wyjątki ukazały się w tymże artykule. Zwłaszcza ostatnie zdanie p. Różyckiego: „poprzez nasze swojskie pogromy...” uważam za wybitnie anty-polskie i niezgodne z prawdą.

Wątpię, czy p. Różycki będzie mógł przytoczyć chociaż jedno poważne źródło informacji o pogromach Żydów przez Polaków. Jeżeli jednak myślę się, wzywam go tą drogą do ujawnienia źródeł na łamach *Kultury* z dokładnym wymienieniem miejscowości, daty, liczby ofiar oraz autora i tytułu publikacji.

Pełnię obowiązki referenta prasowego Kongresu Polonii Amerykańskiej na Stany Kalifornia i Arizona, z tego tytułu wysyłam listy i artykuły wyjaśniające i protestujące przeciw wszelkim materiałom, w prasie amerykańskiej, szkodzącym sprawie polskiej lub zniesławiającym nasze imię; nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będę zmuszonym wysłać sprzeciw o podobnym charakterze do jakiegokolwiek pisma polskiego.

Pragnę zaznaczyć, iż o ile p. Różycki pominię milczeniem niniejszy list, będzie to potwierdzeniem fałszywości jego oskarżenia.

Z poważaniem,

Czesław SEYFERT

Philadelphia, 24. X. 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

Instruktor ateizmu w szkole wojskowej PRL twierdził, że żadnego „cudu nad Wisłą, nie było, bo „samiśmy Moskali w d... naprali”, Piotr S. Wandycz brawurowo, ale i rzeczowo, zwolnił z odpowiedzialności za „cud” gen. Weyganda (*Journal of Central European Affairs*, 4, 1960, 357-66), ale gwoził zabawy i uciechy swych nadmiernie „kochających” Ukraińców czytelników, Londyńczyk wymyślił *Cud nad Wisłą* Nr 4 — ukraiński (*Kultura*, 10, 55-56). Byłoby to bardzo zabawne, gdyby równocześnie nie było całkowitym przekręceniem, a nawet fałszerstwem twierdzeń publicysty ukraińskiego — Dra D. Doncowa (*ABN Correspondence*, Munich, July, 1967).

Otóż znany ten publicysta ukraiński wcale nie twierdził, że „armia ukraińska gen. Bezruczki odegrała decydującą rolę w krytycznym momencie” (cudu nad Wisłą? — L.S.) i że gen. Bezruczko „najpierw zatrzymał Czerwoną Armię, maszerującą ku Zachodowi, a następnie zmusił ją do ucieczki” tylko twierdził, że „w krytycznym momencie w pobliżu Zamościa (*at the critical moment near Zamoscie* — te dwa słowa Londyńczyk przezornie opuścił, ażeby fałszerstwo nie rzucało się w oczy — L.S.), gen. Bezruczko „najpierw zatrzymał oddziały czerwone (*Red troops*, a nie *Red Army* — L.S.) które później udało mu się odeprzeć” (*later he succeeded in driving them back* — L.S.). Myślę, że każdy czytelnik artykułu Dra Doncowa, który zna przebieg polsko-ukraińskiej wojny przeciwko komunistycznej Rosji w roku 1920, pogodzi się z nim bez powoływania się na gen. Weyganda, a mianowicie, że ukraiński gen. Bezruczko „*played a decisive part at the critical moment near Zamoscie* i że „*at first he checked the Red troops who were marching towards the West, and later he succeeded in driving them back*” (*ABN Correspondence*, Vol. XVIII, Nr 4, July-August 1967, str. 5).

Nawiasem mówiąc, bitwa pod Zamościem miała miejsce 29-31. VIII. 1920 roku, a więc dwa tygodnie po „cudzie nad Wisłą”. W bitwie tej grupa gen. Bezruczki (6-ta dyw. A. ukr., 31 pp A. pol., baony etapowe, pociągi pancerne — razem 3.500 bagnetów i szabel, 12 armat, 3 pociągi pancerne) stawiała czoło konnej armii Budiennego (12.000 bagnetów i szabel, 40 armat, samochody pancerne), która, w pieszym szyku, szturmowała Zamość. Nie tylko gen. Weygand twierdził, że bitwa ta miała duże znaczenie w kampanii 1920 roku (konna armia Budiennego na lewym skrzydle i 3-ci korpus kawalerii sowieckiej Gaja na skrzydle prawym otrzymały rozkazy sowieckiego dowództwa naczelnego do przerwania się na tyły Armii polskiej i do wykonywania rajdów kawaleryjskich po Polsce), ale stwierdził to również naczelną dowódca sowiecki — S. S. Kamieniew (b. oficer carski, a nie działacz komunistyczny — Rozenfeld-Kamieniew) w artykule swym na łamach *Wo-jennego wiestnika* (Nr 12, 1922, str. 7-15), w którym stwierdził, że plan sowiecki nie udał się, ponieważ konna armia Budiennego — ów przysłowio-
wy „as z rękawa” ówczesnych sowieckich sił zbrojnych, została zupełnie unie-
ruchomiona pod Zamościem...

Prawda, jakie to proste kochany Londyńczyku?

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Lew SZANKOWSKI

**PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERATY
« KULTURY »
I ZESZYTÓW
HISTORYCZNYCH
NA ROK 1968**

Indeks autorów i tematów

« Kultury » za rok 1967

Spis autorów

ANDERS Władysław, gen., ANDRZEJEWSKI Bogumił, A. S., AUCOUTURIER Michel, A. V. — BARDECKI Adam, BARTHEL DE WEYDENTHAL Jan, BETTIZA Enzo, BIENKOWSKA Danuta Irena, BORKOWSKI Piotr, BORWICZ Michał, BÓBR-TYLINGO Stanisław, BRAGIN Michaił, BRODSKIJ Josif, BYKOW Wasilij. — CHCIUK Andrzej, CHMIELOWIEC Michał, CZAJKOWSKA Magdalena, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZARNOCKA Halina, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAWSKI Adam, CZERNIAWSKI E. J. — DANILEWICZOWA Maria, DEMBSKA Zofia, DOBEK Czesław, DUGLAS Jan, DZIEWANOWSKI M. K. — ERKA. — FAY Victor, FEDENKO Panas, FLEMMING George J., FREJLICH Józef, FRENKIEL Stanisław, FUZ George C. — GAJEK Jerzy, GAŁANSKOW Jurij T., GARDER Michel, G. J. F., GLIKSMAN Łucja, GOMBROWICZ Witold, GÖMÖRI George, GÖRLICH Joachim Georg, GRUBY Maciej, GRZĘDZIŃSKI January, GRZYBOWSKI HOLM Jan, GUTOWSKI R. — HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HŁASKO Marek, HOLZER Leon, HOSTOWIEC Paweł. — IWANIUK Wacław, IWAŃSKA Alicja. — JANTA Aleksander, JELEŃSKI K. A., JĘDRZEJEWICZ Wacław, J. Ł., JORDAN Zbigniew A., J. S. — KAŁUSKI Marian, KAMIENIECKI A., KAWCZAK Maria, KLIN Dawid, KOPIELOW Lew, KORABIEWSKI J. J., KORCZAK Borys, KORSON J., KOZŁOWSKI S. W., KROK-PASZKOWSKI Jan, KRÓLIKOWSKI Roman, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUKIEL Marian. — LEDNICKI Wacław, LESZCZA Jan, LIBRACH Jan, LIPSKI Leo, LISIŃSKI Michał, LONDYŃCZYK, LUBELSKI Andrzej, LUBODZIECKI Stanisław, LWOWIANIN. — ŁOBODOWSKI Józef. — MARKIEWICZ Zygmunt, MIECZKOWSKI Bogdan, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MITKIEWICZ Leon, MOSTWIN

Danuta, MOŻAJEW B., MROCZKOWSKI Stanisław. — NAGÓRSKI Zygmunt, sr., NAKOV Andrzej, NOWACKI Tadeusz, NOWAK Wojciech, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OKULICZ Kazimierz, ÖRKENY Istvan, OSTASZEWSKI Jan, OSZELDA Władysław. — PAWLIKOWSKI Michał, K., PERKOWICZ Janina, PFAU Aleksander, PIEKUT Stanisław, PLESZCZYŃSKI Andrzej, POPIEL Karol, PRAGIER Adam, PRUSZYŃSKI Ksawery, PUACZ Edward. — RACZYŃSKI Edward, RADZIWIŁŁ Janusz, REALE Eugenio, REDAKCJA, ROMER Tadeusz, RYCHLEWSKI Janusz, RYNKIEWICZ Artur. — SCHERER Olga, SCHOENFELD Henryk, SEYFERT Czesław, SIERIEBRIAKOWA Galina, SŁOMIŃSKI Ludwik, SOBIESKI Jakub, SOJKA Wojciech, ks., SOŁŻENICYN Aleksander I., STALIŃSKI Tomasz, STYPUŁKOWSKI Andrzej, SUKIENNICKI Wiktor, SWIANIEWICZ Stanisław, SZANKOWSKYJ Lew, SZNARBACHOWSKI Włodzimierz. — ŚMIEJA Florian, ŚWIĘCICKI Tadeusz. — TARNAWSKI Wit, TARNOWSKI Artur, TERLECKI Tymon, TYRMAND Leopold. — VINCENZ Stanisław. — WANDYCY Piotr, WAT Aleksander, WIERZYŃSKI Kazimierz, WOŁYŃSKIJ Leonid, WOYNO C., WOZNIESIENSKIJ Andrej, W.S. — ZALESKA Antonina, ZAŁĘSKI J., ZAREMBA Zygmunt, ZDZIECHOWSKI Paweł, ZWIERIEW Ilja. — ŻOCHOWSKI Stanisław.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

- BETTIZA Enzo: *Karlove Vary* (9/239), przeł. z włoskiego Paweł Zdziechowski.
- BORWICZ Michał: „*Sprzymierzeniec*” *Gomułki* (10/240).
- CZAPSKI Józef: *O Niemcach* (5/235).
- FAY Victor: *Sowiecki bilans październikowej rewolucji* (12/242), przeł. z francuskiego Tadeusz Święcicki.
- FLEMMING George J.: *Z wizytą u agresora* (9/239, 10/240).
- GARDER Michel: *Konflikt chińsko-sowiecki* (3/233), przeł. z francuskiego Zofia Hertz.
- G. J. F.: *Sugestie* (9/239).
- HERTZ Aleksander: *Ideologia: treść i zakres* (5/235).
— *Szkice o ideologiach* (1/231-2/232).
- HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Garder M.
- JORDAN Zbigniew A.: *Perspektywy ewolucji marksizmu* (4/234).
- KORSON J.: *Wydarzenia miesiąca* (1/231-2/232, 3/233, 4/234, 5/235, 6/236, 7/237-8/238, 9/239, 10/240, 11/241, 12/242).
- LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/231-2/232, 3/233, 4/234, 5/235, 6/236, 7/237-8/238, 9/239, 10/240, 11/241, 12/242).
- MIEROSZEWSKI Juliusz: „*Ani z Rosją ani z Niemcami*” (9/239).
— *Atlantyk-Pacyfik* (1/231-2/232).
— „*Duchowy jagiellonizm*” (10/240).
— *Pewne rzeczy nazwane po imieniu* (4/234).
— *Polsko-francuskie metamorfozy* (11/241).
— *Refleksje globalne* (6/236).

- *Refleksje rewolucyjne* (5/235).
- *Tytuł pozostaje ten sam* (12/242).
- *Wartości wyższego rzędu w polityce* (7/237-8/238).
- MOSTWIN Danuta: *Dwie czarne prababki* (3/233).
- NAGÓRSKI Zygmunt, sr.: *Argumenty logiczne w sprawach międzynarodowych* (6/236).
- NOWAKOWSKI Tadeusz: *Wiosna w Grecji* (7/237-8/238).
- PRAGIER Adam: *Moja ocena „Kultury”* (5/235).
- PRUSZYŃSKI Ksawery: *Konsekwencje Palestyny* (10/240).
- ŚWIĘCICKI Tadeusz (tłumacz) ob. Fay V.
- TYRMAND Leopold: *Jak być dzieckiem?* (11/241).
- ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. Bettiza E.

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- BARTHEL DE WEYDENTHAL Jan: *Notatki amerykańskie* (9/239).
- BYKOW Wasilij: *Pisarz białoruski o wolności sztuki* (6/236),
przeł. z włoskiego Włodzimierz Sznarbachowski.
- GOMBROWICZ Witold: *Fragment z dziennika* (4/234, 10/240,
11/241, 12/242).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Literatura i rewolucja* (7/237-
8/238).
- HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Sołżenicyn Aleksander I.
- HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (4/234).
- MIŁOSZ Czesław: *O wierszach Aleksandra Wata* (9/239).
- NAKOV Andrzej: *Mikołaj Ciurlionis* (6/236).
- PAWLIKOWSKI Michał K.: *Stanisław Mackiewicz w listach do przyjaciela* (5/235).
- SCHOENFELD Henryk: *Zawitości i uproszczenia* (5/235).
- SOŁŻENICYN Aleksander I.: *List do Zjazdu Pisarzy* (7/237-8/238),
przeł. z francuskiego Zofia Hertz.
- SZNARBACHOWSKI Włodzimierz (tłumacz) ob. Bykow W.

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- CZAPSKI Józef: *„Kosę zapleść”* (3/233).
- CZERNIAWSKI Adam: *Koniec* (4/234).
- DOBEK Czesław: *Człowiek na czworakach* (4/234).
- HŁASKO Marek: *List z Ameryki* (5/235, 7/237-8/238, 10/240).
- KLIN Dawid: *„Wenecja”* (7/237-8/238).
- KORCZAK Borys: *Człowiek z Atlantydy* (10/240).
- *God Dag* (10/240).
 - *Szlak* (10/240).

- KROK-PASZKOWSKI Jan: *Bobuś żywy* (1/231-2/232).
LISIŃSKI Michał: *Uczta* (6/236).
LUBELSKI Andrzej: *Bóg, honor, Ojczyzna* (10/240).
— *Pies* (6/236).
ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Możajew B., Sieriebriakowa G., Zwieriew I.
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Z zapisków oficera czasu wojny* (7/237-8/238, 10/240).
MOŻAJEW B.: *Z życia Fiodora Kuźkina* (dok.) (1/231-2/232), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
ÖRKENY Istvan: *Modlitwa* (7/237-8/238), przekład z węgierskiego.
PFAU Aleksander: *Wilk* (11/241).
RYCHLEWSKI Janusz: *Dno stuleci* (1/231-2/232).
SIERIEBRIAKOWA Galina: *Smiercz* (7/237-8/238), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
STALIŃSKI Tomasz: *Sejm* (9/239).
TERLECKI Tymon: *Dziennik z Ghany* — 1966 (11/241, 12/242).
TYRMAND Leopold: *Coctail party* (7/237-8/238).
ZWIERIEW Ilja: *Obrońca Siedow* (7/237-8/238), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.

Utwory poetyckie

- ANDRZEJEWSKI Bogumił: *Dziwy na pływalni* (7/237-8/238).
— *Zamach stanu* (4/234).
BIENKOWSKA Danuta Irena: *Na horyzoncie snów* (4/234).
— *O Adamie zawsze* (4/234).
— *Tabletki* (4/234).
BRODSKIJ Josif: *Bóg na wsi* (4/234), przekład z rosyjskiego.
— *Piosenka* (4/234), przekład z rosyjskiego.
— *Przepowiednia* (4/234), przekład z rosyjskiego.
CZAYKOWSKI Bogdan: *Point-no-point* (9/239).
— *Strofa i tren* (9/239).
CZERNIAWSKI Adam: *Widok Delft* (11/241).
IWANIUK Wacław: *Arkadia* (3/233).
— *Chór* (3/233).
— *Cyfry* (3/233).
— *Elegia* (3/233).
— *Oczyszczenie* (3/233).
— *Święty Franciszek* (3/233).
— *Tylko droga do światła* (3/233).
LESZCZA Jan: *Brat Sebastian* (12/242).
— *Nowoczesny witraż w kościele Metodystów w Palo Alto* (12/242).
— *Umarli wiszą w powietrzu* (12/242).

- MIŁOSZ Czesław: *Biel* (6/236).
 — *Jak było* (11/241).
 — *Kronika* (6/236).
 — *Okno* (11/241).
 — *Wydziedziczony* (6/236).
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Iłła* (5/235).
 — *Nie lękaj się* (5/235).
 — *Pietà* (5/235).
 — *Poezja* (5/235).
 — *Powiedziane szeptem* (5/235).
 — *Z myślą o Albercie Camus* (5/235).

Najnowsza historia Polski

- BRAGIN Michaił: *Kryzysy bitwy* (4/234), przekład z rosyjskiego.
 FREJLICH Józef: „*Polski antykomintern*” (10/240).
 JANTA Aleksander: *Ucieczka z więzienia* (1/231-2/232).
 ŁOBODOWSKI Józef (opr.) ob. *Wspomnienia Janusza Radziwiłła*.
 OKULICZ Kazimierz: *Życie wyteżone* (7/237-8/238).
 REALE Eugenio: *Dwa raporty* (5/235), przeł. z włoskiego Włodzimierz Sznarbachowski.
Stalin i najazd hitlerowski na ZSSR (4/234), przeł. z włoskiego Włodzimierz Sznarbachowski.
 SWIANIEWICZ Stanisław: *Witold Staniewicz* (6/236).
 SZNARBACHOWSKI Włodzimierz (tłumacz) ob. Reale E. i *Stalin...*
Wspomnienia Janusza Radziwiłła (11/241, 12/242) opracował Józef Łobodowski.
 ZAREMBA Zygmunt: *Sprawa Tadeusza Żarskiego* (11/241).

Sprawy krajowe

- BETTIZA Enzo: *U Schaffa i Kołakowskiego* (3/233), przeł. z włoskiego Włodzimierz Sznarbachowski.
 DUGLAS Jan: *Warszawa 6-10 czerwca* (9/239).
 FLEMMING George J.: *Flemming jedzie na Zachód* (5/235, 9/239).
 GRUBY Maciej: *List do przyjaciela* (9/239, 10/240).
 GRZĘDZIŃSKI January: *Konserwatyzm i kłamstwo* (12/242).
 — *W cieniu ojca Wirgiliusza* (7/237-8/238).
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (3/233, 4/234, 5/235, 10/240, 11/241, 12/242).
Jeszcze o A. Brychcie (9/239).
Konfrontacje (7/237-8/238).
 KROK-PASZKOWSKI Jan: *Na linii Warszawa-Paryż* (11/241).
Kronika warszawska (1/231-2/232).
 „*Krytyk*” *Flemminga* (10/240).
 LWOWIAN: *Lwów 1966* (1/231-2/232).

- MIECZKOWSKI Bogdan: *Cykliczne wahania w ustroju komunistycznym* (12/242).
 — *Produkcja przemysłowa Polski 1917-1960* (3/233).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Maneken-pis* (6/236).
 STYPUŁKOWSKI Andrzej: *Polska a GATT* (6/236).
 TYRMAND Leopold: *Fryzury Mieczysława Rakowskiego* (10/240).
 — *Jasność barw tęczy* (12/242).
 — *Porachunki osobiste* (3/233).
 — *Smutno mi Boże — kiedy na Zachodzie...* (9/239).
 — *Z notatnika dyletanta* (5/235).
Uniwersytet Warszawski (4/234).

Sąsiedzi

- AUCOUTURIER Michel: *Niezaproszeni na uroczystość* (12/242),
 przeł. z francuskiego Zofia Hertz.
 A. V.: (tłumacz) ob. Wołynskij L.
Charakterystyczny dokument (3/233), przekład z rosyjskiego.
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Po wyroku* (1/231-2/232).
 HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Aucouturier M.
 J. Ł.: *Na Ukrainie* (3/233).
 KOPIELOW Lew: *Nad trumną Anny Achmatowej* (1/231-2/232),
 przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
 KOZŁOWSKI S. W.: *Przegląd niemiecki* (1/231-2/232).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Kopielow L.
 WOŁYŃSKIJ Leonid: *Pod ochroną państwa* (4/234), przeł. z rosyjskiego A. V.
O obecnej sytuacji na Ukrainie (12/242), przekład z angielskiego.

Obserwatorium

- GAŁANSKOW Jurij T.: *Koszary Szołochowa* (11/241).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Manifest Praski* (10/240).
 — *Zweig i Erenburg* (11/241).
 HERTZ Aleksander: *Problem murzyński* (10/240).
Izrael (7/237-8/238).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BORKOWSKI Piotr: *Znakomity podręcznik* (7/237-8/238).
 BORWICZ Michał: *Major Armii Czerwonej Kabanow* (7/237-8/238).
 — *Ten jest z ojczyzny mojej* (9/239).
 BOBR-TYLINGO Stanisław: *Das ist Polen* (7/237-8/238).
 CZAJKOWSKA Magdalena: *Obrazy i znaczenia* (3/233).
 — *Owady w bursztynie* (5/235).
 CZAPSKA Maria: *Szlachectwo rodu Mickiewiczów* (4/234).

- CZERNIAWSKI Adam: „Nieposkromione bestie słów” (9/239).
 — *Poeci polskiego baroku* (1/231-2/232).
 — *Stanisław Jerzy Lec* (1/231-2/232).
- DANILEWICZOWA Maria: *Uwagi o pasjonującej książce* (5/235).
- ERKA: *Historia Węgier* (7/237-8/238).
- GAJEK Jerzy: „Kisiel” i muzyka współczesna (3/233).
- GARDER Michel: *O książce Jana Libracha* (4/234), przeł. z francuskiego Olga Scherer.
- GÖMÖRI George: *Recepta na polski best-seller* (12/242), przeł. z angielskiego Paweł Zdziechowski.
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Banda gangsterów* (12/242).
- HERTZ Aleksander: *USA w oczach Francuzów* (7/237-8/238).
- HEYDENKORN Benedykt: *Dwie orientacje* (4/234).
- IWANIUK Wacław: *Niedoszły polski bard* (4/234).
 — *Poezja i polityka* (11/241).
 — *U poetów* (7/237-8/238).
 — *Żywe i martwe słowa* (9/239).
- JĘDRZEJEWICZ Wacław: *Amerykanka o Polsce przedwojennej* (10/240).
- JORDAN Zbigniew A.: *O książce Kołakowskiego* (3/233).
- KAWCZAK Maria: *Polska filozofia analityczna* (11/241).
- KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Hemingway polskiego Września* (11/241).
 — *O pisarstwie Andrzeja Brychta* (3/233).
- LEDNICKI Wacław: *Moja odpowiedź Z. Markiewiczowi* (4/234).
- MARKIEWICZ Zygmunt: *Tołstoj a Polska* (1/231-2/232).
- MIECZKOWSKI Bogdan: *Wędrownica czy błąkanina* (7/237-8/238).
- MOSTWIN Danuta: „Dwadzieścia cztery szyby mam w oknie” (10/240).
- Nadesłane nowości wydawnicze* (1/231-2/232, 3/233, 4/234, 5/235, 6/236, 7/237-8/238, 9/239, 10/240, 11/241, 12/242).
- NOWACKI Tadeusz: *Słowa a czyny* (7/237-8/238).
- OSZELDA Władysław: *Czerwień beskidzkiej jesieni* (1/231-2/232).
- PIEKUT Stanisław: *Synteza literatury emigracyjnej* (3/233).
- SCHERER Olga (tłumacz) ob. Garder M.
- SUKIENNICKI Wiktor: *Psychologia więźnia* (6/236).
- ŚMIEJA Florian: *Dwie cywilizacje* (1/231-2/232).
 — *Polska historia literatury hiszpańskiej* (5/235).
- WANDYCZ Piotr: *Dwa wydawnictwa* (4/234).
- ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. Gömöri G.

Kronika kulturalna

- BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Gaude Mater Polonia* (3/233).
- BOBR-TYLINGO Stanisław: *Zjazd nowojorski* (3/233).
- CZAPSKI Józef: „Jaki on piękny!” (11/241).
 — *Solidarność* (9/239).
- CZERNIAWSKI Adam: *Owen, Douglas i poezja wojny* (10/240).

- FEDENKO Panas: *Na stulecie Mychały Hruszewskiego* (12/242),
 przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
- FRENKIEL Stanisław: *Wystawa T. Beutlicha* (3/233).
- GAJEK Jerzy: *Dziesięć „jesieni” w Warszawie* (4/234).
- GLIKSMAN Łucja: *Anna Weintraub* (7/237-8/238).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Kafka wraca do kraju* (1/231-2/232).
 — *Listy Pasternaka* (10/240).
- HEYDENKORN Benedykt: *Dwie konferencje slawistyczne* (10/240).
 — *Wystawa E. Koniuszego* (5/235).
- IWAŃSKA Alicja: *Nowojorskie millenium* (3/233).
- LISIŃSKI Michał: *Niebezpieczna rewizja prawa autorskiego* (10/240).
- ŁOBODOWSKI Józef: (tłumacz) ob. Fedenko P.
Nagrody literackie „Kultury” (5/235).
- NAKOV Andrzej: *Forma otwarta czyli nie próbujemy bilansu* (7/237-8/238).
 — *Na marginesie estetyki* (7/237-8/238).
 — *Plastyka w Paryżu* (3/233).
 — *Problemy romantyzmu wciąż aktualne* (11/241).
- PAWLIKOWSKI Michał K.: *„Nowy Żurnal”* (7/237-8/238).
- REDAKCJA: *Dwadzieścia lat* (5/235).
 — *Zaskakujące nagrody* (11/241).
- ZDZIECHOWSKI Paweł: *Paskudny zawód re-writera* (5/235).

Komunikaty

- Apel Polskiej Rady Bibliotecznej* (3/233).
- Biblioteki polskie w Londynie* (9/239).
- Komunikat „Polonia Technica”* (4/234).
- Komunikat Uniwersytetu Jagiellońskiego* (5/235).
- Konkurs na dziennikarską nagrodę „Greccio”* (12/242).
- Konkurs na utwór poetycki o Najświętszej Marii Pannie* (1/231-2/232).
- Nagroda Fundacji Kościuszkowskiej* (12/242).
- Odszkodowania niemieckie* (3/233).
- Polacy w CNRS* (9/239).
- Polski księgozbiór w Canberra* (1/231-2/232).
- Prof. Józef Trypućko* (1/231-2/232).
- Przedpłata na książkę J. i A. Tomaszewskich* (3/233).
- Przedpłata na „Towarzystwo Wolnego Mularstwa Polskiego”* (3/233).
- Siniawski i Daniel w Izraelu* (5/235).
- Subskrypcja na tom wierszy Aleksandra Wata* (6/236).
- Wynik Konkursu* (9/239).
- 25-ciolecie Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce* (12/242).

Sprawy i troski

- CHCIUK Andrzej: *Jewtuszenko i inne sprawy* (6/236).
 DEMBSKA Zofia: *Mazowiecka Hindmarsh Island* (7/237-8/238).
 KROLIKOWSKI Roman: *Polski misjonarz wśród Hotentotów* (6/236).
 PUACZ Edward: *Polonia w wyborach amerykańskich* (6/236).
 — „*Sejm odrodzenia życia polonijnego w Ameryce*” (11/241).
 WOJNO C.: *Działalność POSK'u* (1/231-2/232).

O religii bez namaszczenia

- CHMIELOWIEC Michał: *Dwie stare moralności* (4/234).

Wolna trybuna

- JELEŃSKI K. A.: *Wbrew utopiom i apokalipsom* (1/231-2/232).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- GÖMÖRI George: *Recepta na polski best-seller* (12/242), przeł. Paweł Zdziechowski.
O obecnej sytuacji na Ukrainie (12/242).

Z języka francuskiego

- AUCOUTURIER Michel: *Niezaproszeni na uroczystość* (12/242), przeł. Zofia Hertz.
 FAY Victor: *Sowiecki bilans październikowej rewolucji* (12/242), przeł. Tadeusz Święcicki.
 GARDER Michel: *Konflikt chińsko-sowiecki* (3/233), przeł. Zofia Hertz.
 — *O książce Jana Librachy* (4/234), przeł. Olga Scherer.
 SOŁŻENICYN Aleksander I.: *List do Zjazdu Pisarzy* (7/237-8/238), przeł. Zofia Hertz.

Z języka rosyjskiego

- BRAGIN Michał: *Kryzysy bitwy* (4/234).
 BRODSKIJ Josif: *Bóg na wsi* (4/234).
 — *Piosenka* (4/234).
 — *Przepowiednia* (4/234).
Charakterystyczny dokument (3/233).

- MOŻAJEW B.: *Z życia Fiedora Kużkina* (dok.) (1/231-2/232), przeł. Józef Łobodowski.
POPIELOW Lew: *Nad trumną Anny Achmatowej* (1/231-2/232), przeł. Józef Łobodowski.
SIERIEBRIAKOWA Galina: *Smiercz* (7/237-8/238), przeł. Józef Łobodowski.
WOŁYŃSKIJ Leonid: *Pod ochroną państwa* (4/234), przeł. A. V.
ZWIERIEW Ilja: *Obrońca Siedow* (7/237-8/238), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka ukraińskiego

- FEDENKO Panas: *Na stulecie Mychajły Hruszewskiego* (12/242), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka węgierskiego

- ÖRKENY Istvan: *Modlitwa* (7/237-8/238).

Z języka włoskiego

- BETTIZA Enzo: *Karlove Vary* (9/239), przeł. Paweł Zdziechowski.
— *U Schaffa i Kołakowskiego* (3/233), przeł. Włodzimierz Sznarbachowski.
BYKOW Wasilij: *Pisarz białoruski o wolności sztuki* (6/236), przeł. Włodzimierz Sznarbachowski.
REALE Eugenio: *Dwa raporty* (5/235), przeł. Włodzimierz Sznarbachowski.
Stalin i najazd hitlerowski na ZSSR (4/234), przeł. Włodzimierz Sznarbachowski.

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1967 (12/242).

Noty biograficzne

- ANDRZEJEWSKI Bogumił (4/234).
FEDENKO Panas (12/242).
KLIN Dawid (7/237-8/238).
LISIŃSKI Michał (6/236).
LUBELSKI Andrzej (10/240).
ÖRKENY Istvan (7/237-8/238).
PFAU Aleksander (11/241).
RYCHLEWSKI Janusz (1/231-2/232).
STYPUŁKOWSKI Andrzej (6/236).

Listy do Redakcji

ANDERS Władysław, gen. (11/241), A.S. (11/241), BARDECKI Adam (12/242), BEREZA M. (11/241), CZAPSKA Maria (7/237-8/238), CZAPSKI Józef (7/237-8/238), CZARNOCKA Halina (11/241), CZERNIAWSKI Adam (11/241), CZERNIAWSKI E. J. (6/236), DZIEWANOWSKI M. K. (3/233), FUZ George C. (10/240), GOMBROWICZ Witold (11/241), GÖRLICH Joachim Georg (9/239), GRZYBOWSKI-HOLM Jan (4/234), GUTOWSKI R. (12/242), HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (9/239), HŁASKO Marek (3/233), HOLZER Leon (6/236), JANTA Aleksander (4/234), JELEŃSKI K. A. (7/237-8/238, 11/241), JĘDRZEJEWICZ Wacław (3/233, 11/241), J.S. (10/240), KAŁUSKI Marian (12/242), KAMIENIECKI A. (11/241), KORABIEWSKI J. J. (3/233), KUKIEL Marian (12/242), LIBRACH Jan (7/237-8/238), LIPSKI Leo (3/233), LUBODZIECKI Stanisław (4/234), ŁOBODOWSKI Józef (10/240), MARKIEWICZ Zygmunt (5/235), MIŁOSZ Czesław (6/236), MITKIEWICZ Leon (11/241), MROCZKOWSKI Stanisław (7/237-8/238), NOWAK Wojciech (9/239), OSTASZEWSKI Jan (7/237-8/238), PAWLIKOWSKI Michał K. (6/236), PERKOWICZ Janina (3/233), PLESZCZYŃSKI Andrzej (9/239), POPIEL Karol (9/239), RACZYŃSKI Edward (3/233), ROMER Tadeusz (12/242), RYNKIEWICZ Artur (9/239), SEYFERT Czesław (12/242), SŁOMIŃSKI Ludwik (7/237-8/238), SOBIESKI Jakub (11/241), SOJKA W., ks. (10/240), SUKIENICKI Wiktor (11/241), SZANKOWSKYJ Lew (12/242), SZUBSKA Barbara (9/239), TARNAWSKI Wit (10/240), TARNOWSKI Artur (3/233), TYRMAND Leopold (11/241), VINCENZ Stanisław (7/237-8/238), WAT Aleksander (7/237-8/238), W.S. (3/233), ZALESKA Antonina (7/237-8/238), ZAŁĘSKI J. (9/239), ŻOCHOWSKI Stanisław (3/233).

Różne

Komunikaty redakcyjne (1/231-2/232, 3/233, 4/234, 5/235, 7/237-8/238, 11/241).
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/231-2/232, 3/233, 4/234, 5/235, 6/236, 7/237-8/238, 9/239, 10/240, 11/241, 12/242).

Wydawnictwa książkowe w roku 1967

Biblioteka « Kultury »

Tom 140 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11), str. 240.
 Tom 141 — Scherer Olga: *W czas morowy*, str. 208.
 Tom 131 — Flemming George J.: *Polska mało znana* (Wydanie drugie), str. 164.

- Tom 142 — Zawadzka-Wetz Alicja: *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”), str. 240.
Tom 143 — Miązek Bonifacy: *Ziemia otwarta* (Poezje), str. 40.
Tom 144 — Mieroszewski Juliusz: *Polityczne neurozy*, str. 192.
Tom 44 — Pasternak Borys: *Doktor Żiwago* (Wydanie trzecie wraz ze Stenogramem ogólnego zebrania Pisarzy Moskiewskich z 31. X. 1958), str. 544.
Tom 145 — *Zeszyty historyczne* (Zeszyt 12), str. 240.
Tom 146 — Hertz Aleksander: *Szkice o ideologiach*, str. 160.
Tom 147 — Sukiennicki Wiktor: *Legenda i rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”), str. 128.
Tom 148 — Staliński Tomasz: *Widziane z góry*, str. 320.
Tom 149 — Sieriebriakowa Galina: *Huragan* (Seria „Archiwum rewolucji”), str. 112.
Tom 150 — Allilujewa Swietlana: *Dwadzieścia listów do przyjaciela* (Seria „Archiwum rewolucji”), str. 256.
Tom 151 — Weissberg-Cybulski Aleksander: *Wielka czystka* (Seria „Archiwum rewolucji”), str. 576.
Tom 152 — Tyrmand Leopold: *Życie towarzyskie i uczuciowe*.
235 zeszyt „Kultury” (maj 1967) zawierał str. 176 zamiast 160.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860

◆
Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆
Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK.
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetinga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584. Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guirara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Prosimy o przysylanie prenumerat na adres Redakcji.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont. K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, téléphone : 233-7212.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; Stefan Kozlowski, 1212 Donald Ave., Lakewood, Ohio 44107; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book C° 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing C°, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 148 — TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR
Str. 320 Cena egz. 18,50 F (dol. 4,00; 27/6)



**TOM 149 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
GALINA SIERIEBRIAKOWA**

HURAGAN

Nowy wstrząsający dokument z okresu stalinowskiego
Przełożył Józef Łobodowski
Wstęp Gustawa Herling-Grudzińskiego
Str. 112 Cena egz. 8 F (dol. 1,75; 12/3)



**TOM 150 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
SWIETLANA ALLILUJEWA**

DWADZIEŚCIA LISTÓW DO PRZYJACIELA

Przełożył z rosyjskiego L. Perzanowski
PRZEDMOWA GUSTAWA HERLING-GRUDZIŃSKIEGO
Str. 256. Cena 15 F (dol. 3,25; 22/6)



**TOM 151 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
ALEKSANDER WEISSBERG-CYBULSKI**

WIELKA CZYSTKA

Przekład Adama Ciołkosza
Ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego
Najbardziej wstrząsający dokument z okresu stalinizmu.
Str. 576. Cena egz. 30 F (dol. 6,50; 45/6)

Cena 5,00 F